

De. II. 1.  
OGÓLNEGO ZBIORU TOM 138.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1875.

SERYA V.

Czerwiec.

TOM II. — ZESZYT VI.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

*Ukończono druk dnia 31 maja 1875 r.*

# T R E Ś Ć.

stron.

I. FILOZOFIA. Religia Pozytywna, czyli nowa powszechna religia Ludzkości. Napisał Seweryn Smolikowski. . . . .	357
II. POWIEŚĆ. Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	381
III. NAUKI SPOŁECZNE. Przesilenie spekulacji w 1873 roku, czyli Krach wiedeński. Przez Al. Oskierkę. (Dokończenie). . . . .	403
IV. LITERATURA. Pamiętnik z pobytu w Ameryce. III. Przez Krystynę Narbuttównę. . . . .	429
W sprawie rodowodu i nazwiska rodziny Moniuszków. Przez Zygmunta Glogera. . . . .	452
V. NAUKI PRZYRODZONE. Z dziedziny przyrodznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . .	439
VI. KRONIKA ZAGRANICZNA, naukowa, literacka i artystyczna.—Podróż po Niemczech p. Tissot. Berlin: arsenał, bursa, francuzkie lupy, akademie berlińska, professorowie.—Legendy Paladynów p. Autran; Król Franków, Las dębowy.—Podróż do Stanów Zjednoczonych p. Simonin.—Abraham Linkoln, historia obalenia niewolnictwa w Północnej Ameryce p. Jouault.—Listy Prudhona: wojna z poetami i autorkami.—Anatomia pszczoły p. Michała Girtwojna, w przekładzie francuzkim.—Nowa mapa Eugeniusza Cortembert: wpływ miejscowości na rozwój gieniuszu.—Zebranie Towarzystw naukowych z miast prowincjonalnych w Sorbonie.—Wystawa rolniczo-archeologiczna w Blois.—Kongresa tegoroczne.—Protestacya p. Leger przeciw bulgarskim pieśniom.—Zmarły Amodeusz Achard.—Powieści z nad zatoki Juan pani Lambert.—Rozprawa o Heroogowinie, p. de Sainte Marie.—Stodziesięcioletni malarz Waldeck.—Jubileusz Michała Anioła we Florenoyi.—Konkurs dramatyczny na stoletnią uroczystość ogłoszenia niepodległości w Stanach Zjednoczonych.—Nowa geografia powszechna, Elizeusza Reclus. . . . .	455
VII. PRZEGLĄD PISMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO. Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgnowaniu ciała ludzkiego, przez Dr. St. Jerzykowskiego członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Warszawa, nakład Czerwińskiego i Sp. str. 254 in 8-vo, z 20 drzeworytami w tekście. Przez D-ra W. Szyszło . . . . .	482
Einleitung in die slavische Literaturgeschichte und Darstellung ihrer älteren Perioden, von Dr. Gregor Krek, Professor der slavischen Philologie und Literatur an der Universität Graz. (Wstęp do	

*(Dalszy ciąg na trzeciej stronie okładki).*



De II 1

RELIGIA POZYTYWNA,  
CZYLI NOWA POWSZECHNA RELIGIA  
LUDZKOŚCI.

ROZBIÓR DRUGIEJ POŁOWY DZIAŁALNOŚCI UMYSŁOWEJ COMTE'A.  
Z POWODU NOWEGO WYDANIA JEGO KATECHIZMU \*).

NAPISAŁ

*Seweryn Smolikowski.*

Działalność stowarzyszenia pozytywistów, powstałego jeszcze w 1848 r. z inicjatywy Comte'a, objawia się od czasu do czasu na polu wydawnictwa dzieł popularyzujących zasady pozytywizmu. Między innymi p. Lafitte, który w 1848 r. wraz z panami Littré i Magnin należał do redakcji jednego z głośniejszych wówczas projektów tegoż stowarzyszenia, przygotował obecnie nowe wydanie „Katechizmu pozytywnego.”

Jak sam tytuł szczegółowy wskazuje, jest to wykład głównych zasad „*Religii powszechnej*,” wypracowanej dla ludzkości przez Comte'a. Katechizm ów, mający ją propagować, był po raz pierwszy wydany w 1852 r., za życia Comte'a; obecne wydanie jest drugim z kolei, zaszły w niem jednak pewne zmiany, co do porządku wykładu, a to stosownie do życzenia samego autora, wypowiedzianego jeszcze w czwartym tomie jego „*Polityki pozytywnej*,” w której wykładając zasady swęj „*Socjologii*” rozwija i nową religię ludzkości.

Dziełko to należy do owego peryodu pracy Comte'a, który on sam nazwał „drugą częścią swęj naukowej działalności,” albo drugą połową „swęj filozoficznej kariery.”

W pierwszym peryodzie pracy swojęj, który możnaby nazwać *icoretycznym*, wypracował Comte ogólny pogląd na całość wiedzy ludzkęj, usystematyzował ją, opierając się na wewnętrznym jęj związku i stopniowym rozwoju myśli ludzkęj, podał historję tego rozwoju i wskazał zasady, które nim kierowały. Owocem tych trudów jest jego „*Kurs filozofii pozytywnej*,” jedyne z dzieł Comte'a, mające pewną wartość naukową i to względną, zważywszy na postęę, jaki od czasu wydania takowego, w zakresie nauk ścisłych dokonany został.

\*) *Catéchisme positiviste* ou Sommaire Exposition de la Religion Universelle en treize entretiens systématiques entre une femme et un prêtre de l'Humanité, par Auguste Comte. Paris, 1874.



Druga część jego „karyery filozoficznej,” jest ciągłym dążeniem ku zastosowaniu wyrobionego już systematu pozytywizmu do życia społecznego, ku wskazaniu ludzkości praw niewzruszonych i norm wiecznych dla przyszłej jej egzystencji i dalszego rozwoju. Jednym słowem, teoretyk, filozof-historyk, doszedłszy do wyników wiedzy właściwą mu metodą, jedyną w jego pojęciu, wkracza na to pole ujmujące, które od wieków przyciągało szlachetnych myślicieli, prawdziwych przyjaciół ludzkości ale również i niedorzecznych utopistów.

Im człowiek jest głębiej myślącym, im szlachetniejszym, tém trudniej mu żyć się z warunkami w których widzi współczesne mu społeczeństwo, tém więcej czuje on zboczenia od owego ideału ludzkości, jaki mamy w myśli i sercu naszym. Ileżto szlachetnych choć bardzo nierozumnych nieraz myśli przelatuje przez młodzieńcze głowy, ile projektów dla uszczęśliwienia ludzkości! Toż samo, choć na więcej filozoficzną skalę dzieje się z „przespoleczniaczami,” jak ich nazywa *Br. Trentowski*, z owymi pisarzami „romansów politycznych” jak trafnie ich zcharakteryzował *Robert Mohl*. Niepomni nieraz na własne teoretyczne zasady, w których bądźco bądź przyznają jednak organizm w ciele społecznym, obalają oni to, na co wieki się złożyły a chcą wtłoczyć ów organizm w niewzruszone formy, jakie mu bujna ich fantazyja gotuje.

Reglamentacya schodząca do najdrobniejszych szczegółów codziennego życia staje się główną ich zasadą, ale nie zaniedbują oni przytém i na większą skalę urządzeń: krzyżują rasy, rozrzucają narodowości po całej kuli ziemskiej, rozdrabniają państwa na gminy, falanstery, falangi i t. d.; organizują władze, administracyę, wskazują prawidła dla życia, myślenia, wierzenia i pracy. A wyswabadzając ludzkość od warunków społecznych, krępujących, ich zdaniem, normalny jej rozwój, gotują dla niej swobodę dotąd niewidzianą, czarowny raj na ziemi.

Posłuchajmy co w tym względzie wygłosił światu, jeszcze w 1814 roku *Saint-Simon*:

„Wyobraźnia poetów, mówi on, widziała złote czasy ludzkości przy jej kolébce, wśród ciemności i grubości obyczajów pierwszych wieków; należałoby raczej mianować tę epokę żelaznym wiekiem. Złote czasy ludzkości nie są poza nami, ale widnieją one przed nami, w przyszłości, w udoskonalonym porządku społecznym. Ojcowie nasi nie zaznali ich, dzieci nasze ujrzą kiedyś takowe, do nas zaś należy utworować im drogę” <sup>1)</sup>.

Jeśli jednak zwiastuny przyszłej jutrzeńki szczęścia i rajskiego stanu ludzkości brali na swe barki tę ciężką, tę mozolną misyję jej odrodzenia; to zawsze pod tym warunkiem, że obywatele powołani do uczestniczenia w owocach ich pracy, muszą być szczęśliwymi w poję-

<sup>1)</sup> Oeuvres choisies de C. H. Saint-Simon. Bruxelles 1859, t. 2, str. 323.

ciu mistrza, że im niewolno będzie odstąpić ani na jotę od wskazanych norm i prawideł, zastosowywać się do których zmuszani nawet będą, a to dla własnego ich dobra.

Przypuściwszy takim sposobem możność uszczęśliwienia ludzkości pomimo jęj wiedzy i woli, dojść można do największych paradoksów, dość tylko być konsekwentnym w dalszych wywodach i ich zastosowaniach. A jednakże konsekwencya jest zasługą i to nie małą, w myślicielach: ona jest nietylko miarą logicznego rozumowania, ale i probierzem prawdziwości zasadniczych myśli każdego systematu filozofii; bo jeśli wyniki, do jakich drogą logicznej dedukcyi dochodzi konsekwentny myśliciel, okażą się w końcu absurdami, zaprzeczą najelementarniejszym pojęciom o prawdzie ludzkiej; to cały systemat, cała podstawa jego będą już tęp samęp, same przez się zachwiane i obalone. To tęp jeśli Comte doszedł do rezultatów nader smutnych dla siły jego umysłu, to dlatego, że był konsekwentnym w rozwijaniu i zastosowywaniu swojej teoryi o *socjologii* do życia społecznego.

Wielu bardzo myślicieli ogranicza się na samęp tylko wypowiedzeniu swych teoryj o ludzkości i to w najogólniejszym ich zarysie; ale rzadko który stara się doprowadzać je do ostatecznych możliwych krańców ich rozwoju, a to zastosowując takowe do wszystkich objawów życia społecznego. Takięp pracy podjął się Comte, nieprzeczuwając widać, że tęp samęp przyśpieszy upadek swojej nauki; ścisłości bowiem z jaką pracy tęp dokonał, powinien on głównie zawdzięczać jaskrawe uwydatnienie fałszywości zasad stanowiących podstawę całej jego teoryi.

Dodać jednakże musimy, że tęp konsekwencyi, jaką w niektórych dziełach Comte'a podziwiamy, nie należy brać za charakterystykę całej jego pracy umysłowej, za przymiot całego jego systematu naukowego, jak to między innymi czyni *John Stuart Mill* <sup>1)</sup>. Zdaniem naszym, jest to tylko cecha znamionująca pojedyncze jego prace, w których dedukcyę doprowadza Comte do ostatecznych granic. Jestto mianowicie konsekwentne rozwijanie zasadniczych myśli (nieraz fałszywych, często sprzecznych z innymi dawniej wypowiedzianymi, a zawsze nieuzasadnionych), konsekwentne w tęp znaczeniu, że w takiej dedukcyi, Comte nie cofa się nawet przed największymi śmiesznościami, jeśli te tylko są logicznęp następstwem podstaw jego teoryi. Słowem, nie postępuje on tak jak niektórzy z uczniów jego, którzy przyjmując zasadnicze podstawy pozytywizmu, nie przyznają się do następstw, bądźco bądź z tegoż systematu wypływających. Ale uważać go za konsekwentnego myśliciela w całym słowa tego znaczeniu, uważać wszystkie prace jego za jeden łańcuch nieprzerwany myśli; uważać te myśli za wypływające jedna z drugiej, nie widzieć wreszcie tęp ogromnej różnicy, tęp sprzeczności niemal, jaka istnieje między metodą badań w pierwszej i drugiej połowie jego życia: jest to, albo z całą

<sup>1)</sup> Aug. Comte and Positivism, by J. S. Mill. London, 1865.

dobrodusnością, *jurare in verba magistri* a raczej wierzyć słowom Comte'a, który przy każdej zdarzonej sposobności chwali się wytrwałym przeprowadzeniem jednej jakoby myśli, ożywiającej całe jego życie; albo nieznać całości prac jego, lub co gorsza, podstaw takowych nie rozumieć.

Nie mając zamiaru przedstawiania wszystkich prac Comte'a, ale tylko niektórych nowszych jego pomysłów, nie możemy tu wdawać się w krytykę pozytywizmu w ogóle, ani też w ocenę całej działalności naukowej Comte'a; praca taka przybrałaby nieodpowiednie pismu temu rozmiary. Ztąd też zmuszeni jesteśmy ograniczyć się na dogmatycznym o ile możności przedstawieniu zasad jego religii pozytywnej, o innych zaś pomysłach Comte'a wspominać będziemy o tyle tylko, o ile to jest koniecznym dla wykazania stosunku katechizmu pozytywnego do poprzednich dzieł jego.

Otóż podając charakterystykę o ile można najogólniejszą tej fazy umysłowych przekonań Comte'a, w której porzuciwszy poprzednie swe studia nad światem nieorganicznym czyli *kosmologią*, jał się wyłącznie badaniu społeczeństwa ludzkiego to jest *socjologii*; poprzestać musimy na wypowiedzeniu stanowczo zdania naszego: że o ile prace rozbieranego przez nas peryodu działalności umysłowej Comte'a, to jest drugiej połowy jego życia, są złowrogim jak dla niego wzorem dokładności wywodowych następstw, to jest logicznej dedukcy; o tyle znowu, odniesione do pierwszego peryodu prac jego, są zupełnie sprzeczne z zasadniczą teorią pozytywizmu, nie dającą prawa wzbijać się zbyt wysoko, ani też wyprzedzać fakta, jak to czyni Comte. To też bynajmniej to nas nie dziwi, że prawdziwi zwolennicy pozytywizmu nie uznają za dalszy rozwój metody pozytywnej badań, tych marzeń, zbaczającego ich zdaniem z prawdziwej drogi, chorobliwego umysłu <sup>1)</sup>.

Dlatego też, jakkolwiek zgadzamy się z *Mill'em*, gdy ten, streszczając swój rozbiór filozofii Comte'a i porównyując go z *Descartem* i *Leibnitzem*, właśnie dlatego, że tak jak i oni nie cofał się Comte przed nieubłaganą konsekwencją doprowadzającą często do absurdów; gdy, powtarzamy, Mill konsekwencję tę uważa za przymiot najbardziej charakteryzujący prace Comte'a: nie możemy jednak zgodzić się z nim w pojęciu tej konsekwencji, to jest w stosowaniu jej do *całej* działalności umysłowej Comte'a. Niemówiąc już o niezbyt trafnym porównaniu Comte'a z tymi dwoma znakomitemi filozofami, stanowczo przeczymy, by można było dopatrzeć logicznego związku między teorią pozytywizmu, rozwiniętą z rzadką systematycznością w głośnym „Kursie” Comte'a, a wywodami, jakie zdawało mu się, że z niej wypro-

<sup>1)</sup> Patrz w tym względzie zajmujące dzieło *Littre'go: Aug. Comte et la philosophie positive*. Paris, 1864, zwłaszcza zaś str. 584, gdzie przedstawiają swe wyznania filozoficzne, streszczoza w końcu zasadnicze punkta, w których różni się z Comtem, a mianowicie z myślami wypowiedzianymi przezeń w *Politica pozytywnéj* i w *Syntezie podmiotowój*.

wadził, a które właściwie są płodem zupełnie innej metody badań, innego kierunku umysłowego.

Kto w świecie różnorodnych zjawisk widział tylko materję a negował, odrzucał to co choć niedościgłe w swęj istocie rozumowi naszemu, tęp niemniej istnieje, ten nie miał prawa, ani marzyć o stanowisku „założyciela nowej religii ludzkości,“ jak sam siebie Comte nazywał, ani stać się jęj „arcykapłanem.“ Była to sprzeczność zbyt widoczna; ale nie w tęp tylko upatrujemy brak konsekwencyi, ważniejszym jeszcze braku jęj dowodem jest, zdaniem naszym, zupełna zmiana metody badań. Ze bowiem metoda jaką Comte zastosował w przeprowadzeniu myśli tęp drugiej kategorii prac swoich, nie jest odpowiednią metodzie jakięj trzymał się w pierwotnych swych badaniach, to jest że metoda ta wcale nie jest pozytywną, że nawet da się pokonać teorią wygłoszoną przez samegoż Comte'a w jego „Kursie filozofii pozytywnej;“ zbyt to widoczne, aż nadto uwydatniające się w ostatnich jego pracach, by owoce dobyte tą drugą metodą badania, uważać za naturalny, za istotny wynik systemu pozytywizmu, zwłaszcza po przeczytaniu ostatniego jego dzieła to jest *Syntezy podmiotowej*.

To tęp *Stuart Mill* usiłując w swęj ocenie teorii Comte'a wykazać nadzwyczajną ścisłość przenikającą jakoby całą jego działalność umysłową, nieraz sam z sobą jest sprzeczny. I tak przedstawiając jako główną cechę umysłu Comte'a ścisłą jego konsekwencyę, zapomniał widać *Mill* o tęp co mówił właśnie z powodu tylko co przytoczonej przez nas ostatniej pracy Comte'a, a mianowicie, że „*Synteza podmiotowa*“ jest jeszcze smutniejszym, niż poprzednie dzieła, dowodem upadku i wyrodzenia się jego umysłu (intellectual degeneracy).

Stowem, chociaż i my także mówimy o konsekwencyi Comte'a, to jednakże inaczej ją pojmujemy niż *Mill* i wielu zwolenników pozytywizmu. Dla jasności powtarzamy jeszcze raz w streszczeniu to o częm usiłowaliśmy przekonać czytelnika. Otóż w pierwszej fazie umysłowej działalności swojej, Comte jest, zdaniem naszym, konsekwentnym o tyle, o ile trzymając się ściśle metody badań, jaką uznał za jedynie prawdziwą, nie silił się przynajmniej na wyjaśnienie tych zjawisk duchowej strony wszechświata, które nigdy nie będą dostępnymi pozytywizmowi; konsekwentnie więc wyrugował z zakresu swych badań metafizykę, mylnie jednakże system swój nazwał filozofią pozytywną, bo jakaż to filozofia co wyrzeka się myśli stanowiących jęj podstawę? Co zaś do drugiego peryodu prac jego, był on konsekwentnym o tyle, o ile starał się z całą ścisłością rozwijać swoje nowe, acz z pierwszemi sprzeczne, myśli zasadnicze, doprowadzając takowe do możliwych rezultatów logicznej ich dedukcyi. Jak widzimy więc była to tylko pozorna konsekwencya: bo obok tego umysł jego nie miał żadnej stałej podstawy i różnych dróg używał w swoich badaniach; bo walka wewnętrzna, którą Comte ciągle usiłował zagłuszyć pozytywizmem, pozbawiała go pewności w obranej przezeń drodze; bo ogłosiwszy pozytywizm za kryterium prawdy, w subiektywnych myślach szukał dopełnienia osta-

tnich swoich teoryj, a co gorsza tę *subiektywną*, jak nazywał, *metodę* uważał za pozytywną t. j. której dawniej się trzymał, tylko ulepszoną.

To też wszystkie teorye, które Comte stworzył w tej drugiej połowie swego życia t. j. począwszy od 1845 r., uważać należy za wyniki tej właśnie drugiej metody, w którą umysł jego wpadł przy schyłku życia, tej metody, która bezwiednie idąc równolegle z obiektywną jego metodą, objawiała się tu i owdzie fantastycznymi myślami, aż wreszcie pod jej wpływem taki pozytywny i krytyczny napozór umysł, jak Comte'a, uległ mamiącym, porywającym widokom, jakie zrazu obiecuje ona każdemu umysłowi, nie nawykłemu do roztrząsania metafizycznych pytań. Ten dualizm z którym walczyć przychodzi wszystkim myślicielom nie mającym stałej metafizycznej osnowy w badaniu świata i jego zjawisk, to przerzucanie się od realizmu do idealizmu i wracanie znowu do porzuconego stanowiska, tę chwiejność i przemienność skrajność;—charakteryzuje i dowodzi zarazem jej bytności w Comte'cie, długo przezeń obmyślana, ale wydana dopiero na rok przed zgonem jego, *Synteza subiektywna*. Streszcza ona tę nową fazę jego myśli i zdradza poniekąd usiłowanie pogodzenia nowych przekonań z poprzednim czysto-pozytywnym kierunkiem <sup>1)</sup>. Samo to usiłowanie pokazuje już, zdaniem naszym, pewną niekonsekwencyę, a przekonanie jakie miał Comte o ścisłej łączności i spójni między jego „Kursem filozofii pozytywnej“, „Socjologią“, „Religią ludzkości“ i „Syntezą podmiotową“, ostatecznie dowodzi, że, jak każdy jednostronny myśliciel, wpadł i on na tor marzeń z natury swój płonnych.

*Littré* tłumaczy ten przełom w poglądach swego mistrza chorobą umysłową, jakiej rzeczywiście uległ niezmordowany ten myśliciel w końcu 1826 roku, w skutek zapewne zbyt ciężkiej pracy. W niej też jedynie widzi on źródło mistycyzmu, którego sentymentalny nastrój, zdaniem jego, zawdzięczać należy silnemu erotycznemu uczuciu Comte'a względem pani de Vaux <sup>2)</sup>. My zaś widzimy w tém tylko naturalną kolej rzeczy ludzkich i nie dziwimy się wcale, że Comte czując czczość i braki swój jednostronnej teoryi, a nie mogąc wejść na drogę pytań metafizycznych, zamknawszy im poprzednio wrota metodą indukcyjną, wpadł przy schyłku swego życia w niekonsekwencyę, zaprzeczył sam sobie. Z drugiej zaś strony obdarzony będąc z samej natury umysłem silnie organizacyjnym i myślą systematyczną, do czego nawykł jeszcze bardziej opracowując umiejętności ścisłe; zachował te cechy umysłu we wszystkich swoich pracach i tym sposobem z równą ścisłością jak wywody swoje matematyczne starał się przeprowadzić i marzenia swe o nowym ustroju społecznym. Dziwna rzecz tylko, że te nowe zdobycze na polu socjologii i religii, czerpane po większej

<sup>1)</sup> Bardzo trafnie wyraził się *Littré* (l. o. p. 534) o tej nowej *subiektywnej*, jak ją Comte nazywa, metodzie badań, że jest to „une méthode avec une tête positive et une queue subjective ou métaphysique.“

<sup>2)</sup> *Littré*, l. o. p. 581.



części w oderwanych myślach jakie nasuwało mu moralne jego usposobienie w danej chwili; że te zupełnie indywidualne myśli, uważał Comte za wynik swój filozofii pozytywnej i zrywał się nawet na dawnych swoich adeptów, którzy tych wywodów, mianowicie zaś w dziedzinie socjologii i nowej wiary, nie chcieli uznać za ściśle naukowe.

Ze *Mill* i *Littre*, najznakomitsi zwolennicy a zarazem i krytycy Comte'a, zgadzając się w głównej ocenie prac jego i w potępieniu w nich pewnych zbroczeń, z różnej na nie zapatrują się strony, widzimy w tém bardzo naturalne przyczyny psychiczne, wpływające z charakteru ich umysłów.

*Mill* przeczuwał trochę prawdy w dążeniach subiektywnych, w myślach metafizycznych. To też jakkolwiek gani i potępia całość drugiej części prac Comte'a <sup>1)</sup>, tém niemniej jednak w niektórych jej szczegółach widzi wysokie zalety moralne. Ta jego sympatya dla niektórych nawet śmiesznych przepisów Comte'a w jego religii uniwersalnej, da się poczęści wytłumaczyć podobieństwem stanu moralnego, w jakim ci dwaj myśliciele znaleźli się po stracie jedynych osób, które w zupełności pojmowały ich i starały się prawdziwém swém przywiązaniem wynagrodzić im choć w części ich ciężką, mozolną pracę i ubarwić nieco to jednostajne i pełne trudów życie, jakie oni obaj pędzili.

Mówię tu naturalnie o pani *Taylor* i pani *de Vaux*, o tych dwóch istotach, które długo drzemiące uczucia tych zimnych, surowych napozór filozofów, powołały do życia i uszczęśliwiły ich na chwilę, by, rychło znikając, znamieniem smutku i tęsknoty nacechować ich myśli i całą dalszą, złamaną ich egzystencję. „Wspomnienie jej,“ pisze *Mill* w swoich pamiętnikach, mówiąc o stracie żony, „stało się dla mnie religią; całe też życie moje nastrajam do spełniania tego co wy-

<sup>1)</sup> *Aug. Comte et le positivisme, par. J. S. Mill; tłumaczenie D-ra Clemenceau, 1868 r., str. 5:*

„...Au lieu de reconnaître, comme dans le *Cours de Philosophie Positive*, une vue essentiellement saine de philosophie, avec un petit nombre d'erreurs capitales, nous estimons que c'est dans leur caractère général que les spéculations subséquentes sont fausses et trompeuses, tandis que, tout à travers cette mauvai se tendance générale, nous trouvons, un détail, une foule de pensées et de suggestions précieuses.“

Przytaczając ten ustęp, zwracam jeszcze raz uwagę czytelnika na sprzeczności spotykane u *Mill*'a w jego ocenie prac naukowych Comte'a. I tak, gdy przy końcu tego dziełka stanowczo przyznaje on umysłowi Comte'a za główną cechę jego, konsekwentność, to jednakże w powyższym ustępie, trudno nam dopatrzyć podobnegoż sądu; przeciwnie zaś, druga część przytoczonego zdania, zdaje się nam raczej dowodzić braku związku między pierwszym peryodem działalności Comte'a a rezultatem pracy ostatnich dziesięciu lat jego życia, aniżeli takowy potwierdzać.

nika z tych cnót i zasad, które wiem, że mają jęj uznanie.“<sup>1)</sup> W takiż sposób wyraża się Comte mówiąc o pani de Vaux; jeśli i czuł się na siłach pracować umysłowo po stracie tęg, którą nazywał „Nową Beatrixką,“ swoim „aniołem-stróżem,“ to jedynie dlatego, że żył z nią nadal „subiektywnie“ jak się wyraża, że ciągle czcil jęj pamięć stosownie obmyślanym obrzędem religijnym, a w tęg „czci nieporównanego anioła,“ jak sam mówi, znajdował on źródło wszystkich swych natchnień i najważniejszych swoich poglądów<sup>2)</sup>.

Littré znowu, konsekwentny uczeń Comte'a, usiłujący oderwać się zupełnie od wszelkich myśli nie z tego świata, nie prześladowany pojęciami metafizycznymi, które jak ów duch na ruinach Palmiry ukazujący się niegdys Volney'owi, dręcą innych filozofów; nie widzi potrzeby iść ślad w ślad za swym mistrzem, skoro ten zbacza z prostęj drogi, i nie uznaje tego co, zdaniem jego, przeczyłoby samemu pozytywizmowi. Przeciwnie, wierny dawnym nauczaniom Comte'a, Littré gani nawet jeszcze za życia swego mistrza, to przedwczesne wyprowadzanie przezeń praw z danych na małą badanych skalę, to zbyt pośpieszne uogólnianie zjawisk zaznaczonych i tęg zbytnią pochopność do stosowania niestwierdzonych jeszcze wyników nowęj nauki, jaką, zdaniem jego, jest socjologia, do życia społecznego.

Wychodząc z zasad czystego pozytywizmu a nawet logiki, nie można zaprzeczyć w tym względie Littré'mu zupełnęj słusznosci i jego tęg a nie Comte'a uważać należy, zdaniem naszém, za typ konsekwentnego myśliciela, naturalnie tylko w zakresie jednostronnęj teoryi, któręj Comte jest twórcą a Littré znakomitym obecnie i prawie jedynym zupełnie wiernym przedstawicielem. O ile zaś nawet i Littré'mu trudném jest wytrwanie w tym jednostronnym kierunku myśli ludzkieję, widać to najlepiej w jednym z ostatnich artykułów jego o pozytywizmie, gdzie bezwiednie wpada to w najgrubszy materyalizm, którego pozytywizm wypiera się w zasadzie, to znowu w niczém nieuzasadniony dogmatyzm wcale nie różniący się od najabsolutniejszych pojęć metafizycznych<sup>3)</sup>.

W każdym razie studyum nad tą metamorfozą zaszła w umyśle Comte'a, w rękach psychologa a nie pozytywisty, uznającego tylko frenologię, dostarczyłoby więcéj zajmującego obrazu tęg potęgnęj umysłowości upadająceję czczością własnéj swęj teoryi. Nie izbyśmy upatry-

1) *John Stuart Mill, Autobiography, London. Longmans's edition 1873.* Dosoż zresztą przeczytać przedmowę do dziełka Mill'a „*On liberty,*“ by przekonać się o ile żona jego miała wpływu nawet na literacką jego działalność a ztąd by zrozumieć sympatyę jego dla religii Comte'a.

2) Patrz koniec przedmowy do piérwszego wydania „*Katochizmu pozytywistów*“ 1852.

3) Patrz w tym względie ciekaawy artykuł prof. D-ra *Struve* pomieszozony w *Bibl. Warsz.* 1874 r. w miesiącu grudniu p. t. *Filozofia pozytywna i jęj stosunek do psychologii angielskieję.* str. 462.

wali jak inni w tych zboczeniach Comte'a, *główny* dowód słabości jego teorii, bynajmniej, to nie filozoficzny argument; ale widzimy w nich ową walkę dwóch pierwiastków, dwóch skrajnych kierunków umysłowych, walkę, która charakteryzuje ludzkość całą, a zwłaszcza obecne nam społeczeństwo. Bo jakżeż mało zadawalniających się jedną stroną zjawisk wszechświata, jakżeż trudne znowu, przy wyłącznym badaniu materji, pogodzenie dwóch tak sprzecznych z sobą napozór pierwiastków jak duch i materya. I cóż z drugiej strony znaczy eklektyzm, jeżeli nie sztuczne tylko zestawienie tego co nie możemy związać organicznie, jak nie omamianie naszego umysłu, który bez podstawy metafizycznej nigdy nie pojmie téj jednolitości, téj spójni, jaka przenika wszystkie objawy ducha bezwzględego, zarówno w nieorganicznym jak i organicznym świetle, zarówno w materji jak i duchu ludzkim. Gdzie nie ma metafizyki, tam nie może być mowy o filozofii, bo tam nie ma przewodniej nici dla objaśnienia zjawisk wszechświata.

To téż żadne postępy w dziedzinie filozofii ani nauk ścisłych, żadne rugowanie ani tworzenie nowych religij, nie zaspokoi tego co leży na dnie istoty ludzkiej i co ma swą przyrodzoną przyczynę w naszej naturze.

„Dusza i ciało to tylko dwa skrzydła,

„Któremi czasu i przestrzeni siadła

„Duch mój rozcina, w postępowym locie!

(Zygmunt Krasiński).

*Diis extinctis Deoque successit humanitas* <sup>1)</sup>).

Zcharakteryzowawszy choć w najogólniejszym zarysie tę drugą epokę działalności umysłowej Comte'a, przyjrzyjmy się teraz bliżej jego katechizmowi, streszczającemu, zdaniem samegoż autora, wszystkie praktyczne wyniki pracy całego jego życia.

Katechizm ów składa się z trzech zasadniczych części: pierwsza mówi o obrzędach nowéj religij, druga o dogmatach, trzecia o regulach czyli o przepisach dla czynności ludzkiej. To rozdzielenie katechizmu na trzy części odpowiada podziałowi działalności ludzkiej objawiającej się w uczuciu, myśli i czynności. Prócz tego nierozdzielna całość katechizmu stanowią wstęp i zakończenie; w pierwszym określa Comte ogólną teorię téj nowéj wiary, w drugim podaje on w streszczeniu historję religij w ogólności.

Zacniemy od przedstawienia charakteru téj nowéj religij, „religij ludzkości“ jak ją Comt'e nazywa.

<sup>1)</sup> Jest to dewiza książki p. *Constant-Rebecque* wydanéj w Haadze 1856 r. w celu propagowania religij pozytywnej. Dewiza ta wyobraża przedmiot czci religij pozytywnej „ludzkość“ jako mającą zastąpić cześć bogów t. j. wielobóstwo a nawet wiarę w jedyne Boga.

Jeżeli mówiliśmy wyżej, że pojęcie wiary, jaka tę religię ożywiać powinna nie jest sprzeczne z zasadami pozytywizmu, to dla tego, że co zapewne zadziwi czytelnika, religia ta jest religią bez Boga. Tak, wedle przekonania Comte'a, nie człowiek jest stworzeniem boskiem ale Bóg jest tworem myśli ludzkiej. I rzeczywiście religia jaką Comte ludzkości przepisuje nie opiera się na żadnej *wierze*, w zwykłym pojmowaniu tego słowa; odrzuca ona bowiem wszystko co tylko ma cechę nadprzyrodzoną: jest to raczej doktryna uniwersalna (*doctrine universelle*), są to zasady, które łączą ludzkość w jedną nierozdzielną całość, w ową jedynolitość (*état de complète unité*) charakteryzującą zdaniem Comte'a, nasz byt zarówno jednostkowy jak i społeczny, byt, którego wszystkie strony tak fizyczne jak i umysłowe dążą do jednego celu. To też wyraz synteza oznaczałby lepiej, wedle samego Comte'a, to co on nazywa religią, jeślibyśmy go nie ograniczali zwyczajnie tylko do przedstawienia pewnego kierunku pracy umysłowej, do odznaczania pewnej metody badań.

Religia więc, wedle słów Comte'a, „zasadza się na reglamentacji (*à régler*) każdej natury z osobna i na łączeniu ich (*à rallier*) w jedną całość:“ „jest ona typem niewzruszonej harmonii tak indywidualnej jak i zbiorowej,“ mówi on w inném miejscu, „typem do którego wicznie dążyć będą usiłowania ludzkie“ (str. 42, 43). Zarówno więc szczęście nasze jak i zasługa zasadzają się właśnie na zbliżeniu się o ile można do téj jedności, stopień zaś tego zbliżenia jest zarazem miarą prawdziwego udoskonalenia się tak każdego pojedynczego człowieka jak i całego społeczeństwa.

Wszystkie religie miały na oku, zdaniem Comte'a, ten stan syntezy, jedności; dążyła doń jednak każda właściwą sobie drogą, biorąc najczęściej środek za sam cel: dopiero więc teraz, po przejściu stanu przygotowawczego, możebnym jest uformowanie się jednej powszechnej religii. Pogodzi ona wszystkie te niezgodne nieraz z sobą dążenia, a to zawdzięczając swemu głównemu charakterowi, którym jest *względność* (*rélativité*). Absolutyzm w prawdach i wierze, cechujący, jak utrzymuje Comte, chrystyanizm, ustąpić musi względności, relatywności, która jedynie, zdaniem jego, zdolną jest zaspokoić potrzeby nasze moralne.

„Ten charakter względny pozytywizmu, powiada Comte, nie mało też przyczyni się do prędkiego zjednania sobie wyznawców i przyciągnięcia do swéj jedności charakterystycznej (*unité caractéristique*) wszystkich narodów (str. 321).“

I jedność ową zasadniczą pojmuje Comte nie jako absolutną, zewnętrzną, formalną, jedném słowem, obiektywną, ale jako względną, ludzką, subiektywną. To też „ludzkość“ owa Wielka Istność (*le Grand-Être*), przedmiot czci nowéj religii, nie jest pojętą w znaczeniu obiektywném, przedmiotowém; przeciwnie, „naszą Wielką Istność,“ powiada Comte, „stanowią bardziej umarli i narodzić się mający ani-

żeli żyjący w danej chwili, większość których ma tylko cechę jój sług nie zaś prawdziwych jój organów“ (str. 79 a także 68 i 69).

Na miejsce więc dawnego Boga, pozytywizm stawia *prawdziwą*, realną istotę, jaką jest *ludzkość* odradzająca się w bez przerwy po sobie następujących pokoleniach.

Każdy członek „ludzkości“ przechodzi takim sposobem dwa byty kolejno po sobie idące: jeden czasowy, stanowiący nasze życie doczesne; drugi wieczny, zaczynający się ze śmiercią jego; pierwszy materialny, cielesny czyli zwykle nasze życie, jest to tak zwany *byt obiektywny*, drugi żyjący w sercu i myśli współbraci, nazywa się *bytem subiektywnym* i trwać będzie tak długo jak planeta nasza a raczej jak system słoneczny w którym się obracamy. Ów drugi byt stanowi właśnie *nieśmiertelność duszy*, jak ją Comte pojmuje.

Prawdziwa więc masa ciała społecznego składać się będzie takim sposobem z dwojakiego rodzaju istot: żyjących i umarłych, mówiąc zaś słowami Comte'a, z istot żyjących obiektywnie i subiektywnie, z których pierwsze warunkują działalność i jój skutki, drugie zaś pobudki i prawidła życia.

Odziedziczywszy spadek wiekowy po naszych przodkach, przekazujemy go przez wdzięczność następnym pokoleniem, zadarmo, a nagrodą jest życie subiektywne przez które uwiecznimy nasze zasługi i mozoly. To poczucie zaś obowiązku naszego względem owęj „Wielkiej Istności Zbiorowej“ (le Grand-Etre Collectif) i praca jaką podejmujemy jedynie z miłości dla niej, podnosi nas moralnie i rozwija silne poczucie własnej naszej osobistości. Samo to przekonanie, że jesteśmy niezbędni dla istnienia i rozwoju ludzkości i że ona od nas ciągłych potrzebuje usług, pokazuje nam znaczenie i wagę naszą we wszechświecie (stronnica 70, 71).

Ze zaś „ludzkość“ potrzebuje naszej pomocy, bardzo to naturalne i zrozumiałe, zdaniem Comte'a. Jakkolwiek bowiem—mówi on—nieporównane to nasze bóstwo (Notre incomparable Déesse, str. 73) jest abstrakcyjne, gdyż na pojęcie jego składają się przeszłe i przyszłe wieki, umarli i żyć kiedyś mający; to tém niemniej element obiektywny, ludzie danej chwili i przestrzeni, stanowią niezbędny organ łączący rozstrzelone w nieskończoność wieków, krańce tej istoty, organ przez który urzeczywistniają się jój idee, przez który objawia się jój życie.

Każdy mimowolista w pytanie, i nader słusznie, jak zapalać miłością do idei oderwaną, jak pokochać pojęcie abstrakcyjne, ogólne, które sami wytwarzamy? Comte a nawet *J. Stuart Mill* nie uważają tego za trudne, owszem powiadają oni, ponieważ wszystko zawdzięczamy ludzkości, bo jój winniśmy nasz byt, życie i majątek, zdolności i wykształcenie, odwagę i wzniosłe uczucia i t. d., wdzięczność przeto nakazuje nam kochać ją i służyć jój. Miłujemy więc ideę, która nam ją wyobraża. Z drugiej zaś strony miłujemy te cele, te myśli, które ojcowie

nasi czerpiąc z pojęcia ludzkości, przeprowadzali w swém życiu; te idee, które odziedziczywszy po nich, wykształcamy i przechowujemy jako drogą dla nas spuściznę; te myśli wzniósłe, które przekazujemy następnym pokoleniom i które z radością widzimy w najodleglejszej nawet przyszłości przeprowadzane i rozwijane przez naszych potomków.

I rzeczywiście, któż żyje daną tylko chwilą, doczesnym tylko a krótkim naszym życiem? Ta chwila mozolnej pracy przeminie prędko, jak przemija nasze realne, obiektywne życie. Bo też nie jest ono niczem innym jak tylko przygotowaniem do wyższego, nieśmiertelnego życia, gdy przeniesiemy się w subiektywną jego sferę, gdy wiecznie żyć będziemy w pamięci i sercu naszych dzieci i wnuków.

W przyszłości więc wyraz śmierć, zdaniem naszym, może być wyrugowanym z potocznej mowy; zastąpi go wyraz *przekształcenie się* albo *przeobrażenie* (la transformation), oznaczający jeden z dziewięciu sakramentów religii Comte'a. Tak bowiem jak początek naszej wędrówki ziemskiej znamionuje się sakramentem *przedstawienia* czyli *prezentacji*, to jest zaniesieniem i przedstawieniem nowonarodzonego w „świątyni ludzkości” (le temple de l'Humanite), tak znowuż śmierć, ten ostatni akt naszej działalności na ziemi, namaszcza się tym sakramentem transformacji.

„W naszej transformacji,“ — mówi Comte — „kapłan ludzkości, jednocząc żal społeczeństwa ze łzami rodziny, ocenia całość życia ni-  
knącej istoty.“ Otrzymałszy obietnicę zadosyćuczynienia za przewinienia, robi jęj najczęściej nadzieję tak zwanego „wcielenia subiektywnego.“

To wcielenie albo inkorporacja odbywa się w siedm lat po śmierci każdego i stanowi ostatni sakrament. Jest to uznanie zmarłego, jeśli życie jego było odpowiednie, za godnego należeć do ludzkości w pojęciu owém abstrakcyjnym, o którym mówiliśmy.

Sąd należy do *socyokracyi* to jest do kapłanów tworzących panujące ciało społeczne. Uroczyste przeniesienie zwłok tymczasowo złożonych na *ementarzu obywatelskim* do *świątych gajów* otaczających każdą świątynię ludzkości, jest formalną stroną tego sakramentu. Groby nosić mają skromne napisy, nagrobki ozdobione będą popiersiami, statuami etc., a to stosownie do zasług zmarłego <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Sądźmy, iż nie będzie obojętną dla naszych czytelników wiadomość, że i Stanisław Staszko znany nasz mąż stanu i filantrop marzył o podobnym uznaniu onót zasłużonych krajowi mężów. W dziełku swém w 1785 r. w Heilsbergu wydaném p. t. „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego.... etc.“ oto co mówi Staszko kończąc pochwałę tego wielkiego kanclerza i hetmana:

Będą prócz tego i pustkowiec przeznaczony na chowanie niegodnych członków tej nowej społeczności religijnej; za takich między innymi uważa Comte: traconych przestępców, samobójców i zabitych w pojedynku.

Bardzo to rzecz nęcająca, ta nadzieja przyszłego życia subiektywnego, ale taka nieśmiertelność duszy w jaką nam Comte wierzyć nakazuje, czyż nie wygląda raczej na ironię? zwłaszcza gdy jeden z najwierniejszych jego uczniów doktor Robinet <sup>1)</sup>, przedstawivszy jego teoryę życia subiektywnego, wykrzykuje z zapałem:

„Oto uszlachetniona nieśmiertelność jaką pozytywizm przyznaje duszy człowieczej! Oto spotęgowana całość moralnych, umysłowych i praktycznych zdolności, które charakteryzować odtąd będą każdego sługę ludzkości.“

Jeśli żyć będziemy tylko w myśli czyjś nie mając tego poczucia i to jedynie przy wielkich zasługach względem społeczeństwa, czyż można to nazwać *nieśmiertelnością duszy*? Cóż dla większości znaczy ten dogmat, dla tych zwłaszcza, którzy nie są wielkimi ludźmi? Cóż im obiecuje ta nieśmiertelność w zamian za ich krwawą pracę, za cierpienia całego życia? Czyż ta myśl zlania się subiektywnego z ideą o ludzkości, zdolną będzie, jak sądzi Comte, pobudzić wszystkich ludzi do pracy dla tejże idei, do poświęcenia się już nie dla innych współbraci, ale dla tego wymarzonego pojęcia?

Wiele zapewne szlachetnych dusz, prawdziwie wielkich ludzi, dla jednej idei dobra powszechnego, dla jednej idei prawdy poświęca cały swój żywot; ale to nie jest cechą wszystkich ludzi jak dowodzi Comte, jest to wyjątkowym tylko heroizmem, zwłaszcza gdy w tém ani podtrzymuje, ani ożywia wiara przyszłego życia. Takie też widzenie gotowości do poświęcania się we wszystkich ludziach, to zbytne przecenianie szlachetnej strony człowieka; widzenie zaś we współczesnych Comte'owi czasach większej niż dawniej możliwości do zastosowania tego systematu, to zbytne przecenianie danej mu chwili. Jest to bardzo wzniosłe pojęcie o człowieku, porównające nawet, ale tém niemniej zostaje ono zawsze tylko utopią, utopią jak wszelkie inne, wynikającą z nieznamomości natury ludzkiej.

Słusznie uważa J. Stuart Mill, że Comte popełnił tu błąd, który najczęściej jakkolwiek niesprawiedliwie zarzucają tak zwanym utylitarnym moralistom, a to sądząc, że „prawidła postępowania będą zarazem jedyną pobudką do działania“ to jest, że środek dla dopięcia celu może zastąpić sam cel.

„Ale bo to religia doskonała!“ odpowiedzą na to jej wyznawcy; sam Comte nazywa ją *altruistyczną*. Uczucie przewyższa w niej roz-

„Życzylbym aby Rzeczpospolita wyznaczyła jedno miejsce do pochowania wielkich obywateli. To miejsce nazwie *mentarzem cnoty*. To miejsce tylko sojm wyznaczać ma władzę.“

<sup>1)</sup> Notice sur l'Oeuvre et sur la Vie d'Auguste Comte. Paris 1860.

mowanie, działamy tu z pobudek miłości jedynie, nie zaś dla zapewnionej nam już z góry nagrody, główną zaś myślą ożywiającą jej wyznawców jest realizowanie dobra dla niego samego. Nawet owe istoty żyjące subiektywnie, to jest nieśmiertelnie, oczyszczamy w myśli naszej ze wszelkich przewinień a zachowujemy o nich wspomnienie oddzielone od skaz, jakie mogły one nosić w życiu swém doczesném.

Dante przeczuwał tę wzniosłą zasadę religii pozytywnej, jak utrzymuje Comte, gdy stwarzał ów piękny obraz poetyczny przedstawiający jak istoty zmarłe mające unieść się w krainę błogosławioną, gaszą swe pragnienie u „źródeł zapomnienia“ i piją następnie ze strumienia *Fuono*, które ma własność przechowywania w duszach tylko dobrych wspomnień.

Umarli oswobodzeni od potrzeb życiowych i cielesnych, nabierają większego dla nas znaczenia i większy wpływ na nas wywierają. Oryginalność ich bardziej uwidacznia się, gdy modyfikacja w pojęciach ich już jest niemożliwą; cnoty zaś ich jaśnieją odtąd podwójnie, bo żadne nowe zboczenia takowych nie zmniejszają. Nie przestają oni ani kochać, ani myśleć, z tą różnicą tylko, że to odbywa się „w nas i przez nas,“ głównym bowiem celem podwójnego życia każdej istoty jest zawsze postęp moralny indywidualu i całego społeczeństwa.

Słowem religia pozytywna udoskonala dogmat nieśmiertelności duszy i, że użyjemy słów Comte'a, „utrwała wieczną naszą egzystencję, przenosząc pojęcia wieczności ze świata obiektywnego w subiektywny“ (str. 93).

Oto tak zwana „teorya ludzkości“ owęj potężnej istoty będącej przedmiotem czci nowej religii i mającej zastąpić ludziom Boga, i nie-mniej subtelna „teorya życia subiektywnego.“

I wzniosłą instytucję modlitwy, która stanowi nader ważną część obrządku tej nowej religii, pozytywizm, zdaniem Comte'a, rozwija.

„Modlitwa,“ mówi on przez usta kapłana objaśniającego zasady katechizmu kobiecie, jako przyszłej krzewicielce wiary pozytywnej, „modlitwa u nas nie zależy na prośbach egoistycznych, często nawet o dobra doczesne, materyalne, jak w „*teologizmie*“<sup>1)</sup>; przeciwnie staje się ona ideałem życia, bo modlić się „znaczy u nas: kochać, myśleć i działać“ (str. 93).

Modlitwa więc wedle tej nowej religii jest niczém inném jak wynurzeniem wdzięczności i miłości względem „wielkiego bóstwa“ (notre grande Déesse) lub godnych jej przedstawicieli i członków. Żaden wzgląd interesu lub samolubstwa nie kala jej, bo

<sup>1)</sup> „*Teologizm*“ oznacza u Comte'a wszelkie pojęcie nacochowane wiarą w siły nadprzyrodzone, a zatem wszelkie religie a również i systematy filozoficzne, które uznają osobistego Boga jako przyczynę wszechwzrostu.



jeśli i prosimy w niej czasem o moralne nasze udoskonalenie się, to już sam ten fakt, samo to wynurzenie pragnienia wewnętrznego polepszenia naszej istoty, warunkuje ziszczenie się szlachetnych tych żądań.

„Sama już modlitwa,“ powiada Comte, „wpływa na otrzymanie żądanego rezultatu,“ a to w tém rozumieniu, że przez sam akt ten stajemy się lepsi i mędrsi. Kto bowiem pragnie postępu moralnego i usiłuje ćwiczyć się w cnotach i naukach, ten niechybnie ujrzy udoskonalenie i postęp zarówno w swém sercu jak i umyśle.

Pytamy teraz, dlaczegożby modlitwa wywołana wiarą teologiczną, że użyjemy nomenklatury Comte'a, nie miała wpływać na polepszenie człowieka? Jeżeli kto modli się o wewnętrzne swe udoskonalenie, to znaczy, że tego pragnie, samo zaś to pragnienie, zarówno wygłaszane Bogu (którego Comte uważa jedynie za wytwór metafizycznej myśli człowieka), jak i metafizycznemu pojęciu jego ludzkości (bo czemże jest pojęcie abstrakcyjnej ludzkości Comte'a, jak nie wymarzoną i to arcy wymarzoną Istotą), samo to pragnienie, powtarzamy już jest wysoką stroną moralną i każe przewidywać odpowiednie postępowanie a ztąd i rezultat modlitwy. Czy zaś modlitwa stosowana do „ludzkości“ daje większą rękojmię wytrwania w szlachetnych zamiarach, słowem czy jest skuteczniejszą niż modlitwa do Istoty, którą uznajemy za jej twórcę, tego pozwalamy sobie zaprzeczyć i to stanowczo.

Przystępując teraz do obrzędowej strony religii ludzkości, czyli do jej kultu, zaznaczamy najprzód, że takowy dzieli się na dwie części: obrządek *prywatny* i *publiczny* (culte privé, culte public). Tak pierwszy jak i drugi ma na celu uczczenie ludzkości, tylko że kult prywatny oddaje cześć kobiecie jako jej symbolowi, kult zaś publiczny, społeczeństwu żyjącemu w danej chwili a to jako realnemu przedstawicielowi idei człowieczeństwa.

Modlitwa o której już mówiliśmy jest podstawą obrządku prywatnego. Nią czcimy „ludzkość“ oddając należną cześć najgodniejszemu jej przedstawicielowi; a gdy symbolem tego nowego bóstwa jest kobieta, gdyż w niej, zdaniem Comte'a, najwyżej są rozwinięte zasadnicze jego elementa: uczucie i miłość; modlitwa więc ma głównie na celu uwielbienie niewiast zmarłych, zasługujących na życie subiektywne.

Każdy człowiek mniej więcej, powiada Comte, ma w ciągu swego życia trzech przynajmniej aniołów-stróż, jakiemi są: matka, żona i córka. Po stracie jednej z nich niepocieszone nasze serce znajduje ulgę we czci jaką otaczamy po śmierci tych nieodżałowanych istot, ich

wspomnienia. Otóż modlitwy nasze mają na celu rozpamiętywanie, wspomnianie ze czcią tych przedstawicieli ludzkości, któremi jednak prócz trzech wyżej wymienionych, mogą być i inne, w ogóle każda kobieta zasługująca na to a pamięć której jest dla nas moralnym obowiązkiem serca.

Katechizm rozwija dalej zbawienny wpływ religii pozytywnej w ogóle a modlitwy poszczegóło. Rozróżnia przytem wpływ tej ostatniej na serce i umysł, które ona w rozmaity sposób ma udoskonalać. Przedstawia nareszcie i warunki idealnej dobrej modlitwy i rozmaite formy jęj uskuteczniania <sup>1)</sup>.

Otóż każda modlitwa składa się z dwóch części: *biernej*, w której przywołujemy na pamięć drogą nam osobę, wzbudzamy ku niej akt miłości; i *czynnej*, w której uzewnętrzniamy formą te nasze uczucia wygłaszając je ustnie lub objawiając odpowiednimi znakami. Pierwszą część nazywa Comte *rozpamiętywaniem*, drugą *wylaniem uczuć*.

Sam nawet twórca pozytywizmu ułożył małą modlitewkę zawierającą jakby streszczenie jego wyznania i charkteryzującą ducha, który je ma ożywiać, a to w tych wzniostych słowach: „*Zasadą naszą miłość ludzkości, podstawą porządek społeczny a celem postęp.*” (L' Amour pour principe et l'Ordre pour base, le Progrès pour but). Głośne i częste wymawianie tego zdania, które uważa on za świętą, zasadniczą formułę pozytywizmu, zaleca Comte swoim wyznawcom, zwłaszcza w ważniejszych chwilach życia. Formułę tę oraz wiele innych podobnych wykrzykników, jak: „*Porządek i postęp!*” (Ordre et Progrès), „*Życ dla drugich!*” (Vivre pour autrui) spotykamy także i na tytułowych okładkach prawie wszystkich dzieł, tak samego Comte'a, jak i jego uczniów, propagujących teorię przeobrażenia społecznego i odrodzenia ludzkości.

Nadto na wzór żegnania się chrześcian, wprowadził Comte inne znaki odznaczające wyznawców pozytywizmu. Za zasadę dziwnęj tej znakologii przyjął on wiadomości dostarczane przez frenologię a mianowicie ukazywanie ręką na różne części czaszki modlącego się, odpowiadające przewadze w danęj chwili pewnego kierunku myśli lub uczucia.

Wynalazek ten, jak i wiele innych bardziej jeszcze komicznych wybryków bujnej jego wyobraźni, był przedmiotem bardzo słusznych

<sup>1)</sup> Pewien zapalony wyznawca tej nowej wiary ułożył nawet szereg modlitw na wszystkie dnie tygodnia; Comte w jednym z listów swoich a także i w katechizmie bardzo je chwali i wiernym poleca. Jest nim p. *Joseph Longchamp*, a książka jego wydana w Lyonie w 1852 r. nosi tytuł: *Essai sur la prière*.

choć niemiłosiernych żartów i często nawet w niezbyt stosownej formie wyrażanych krytyk sarkastycznych. Ale bo też z drugiej strony, dla nieprzejętych ważnością téj obrzędowej formy religii Comte'a, nader śmiesznym wydaje się czytanie tych przepisów tak szczegółowo obmyślanych i opisywanych z taką lubością, nie mówiąc już o wrażeniu jakie wywołałby w nich sam widok téj praktyki religijnej. To też *J. Stuart Mill*, najłagodniejszy może z krytyków Comte'a, radzi trzymać w sekrecie ten sposób objawiania swéj czci dla ludzkości przez chwytanie się za głowę, aż dopóki pozytywizm nie ugruntuje się silniej w społeczeństwie. Słusznie dziwi się on, że Comte, nie przewidział śmieszności na jaką naraził tym sposobem swoją religię, w głównych zasadach nawet badzo cenioną przez Mill'a. Bardzo trafnie objaśnia on to tém, że dowcip i w ogóle duch gustu i żartobliwości były zupełnie obce Comte'owi. Bo jeśli nawet Molière był jego ulubionym pisarzem, to nietylko dla silnie rozwiniętych w nim właśnie tych stron umysłu, ile, jak to sam Comte przyznaje, dla zdrowego rozsądku, który go także w wysokim stopniu charakteryzuje. Słusznie też uważa *Stuart Mill*, że są ustępy w dziełach Comte'a, zwłaszcza odnoszących się do téj drugiej epoki jego działalności, nasuwające mimowoli myśl, że pisał je człowiek na ustach którego uśmiech nigdy nie gościł.

Widzimy więc, że Comte nie opuszcza żadnego ze znanych mu szczegółów obrzędowych innych religij, tak, że można o nim powiedzieć, iż zachowuje wszystkie możliwe formy odrzuciwszy ducha, ducha, który właśnie w innych religiach stwarza te formy, będące od niego jedynie zależne i niemające same żadnego znaczenia.

Comte zna nawet *modlitwy publiczne*: głośno i wspólnie odmawiane, zdaniem jego są one wyższe od *prywatnych* odbywanych najczęściej samotnie i cicho; głośną modlitwę zaleca on przedewszystkiém i ją też uważa za jedynie kompletną.

Teorya modlitwy jest jednym z tych przedmiotów, którym autor katechizmu wiele w nim miejsca poświęca i które z prawdziwą lubością traktuje; zwłaszcza gdy chodzi o przedstawienie jéj zalet i wykazanie jéj jakoby wyższości względem modlitw religii chrześcijańskich. Nie mówiąc już o wykształceniu w nas uczuć szlachetnych, które przez zaniedbywanie ich tracą swą siłę, jak wszelkie zaniedbywanie funkcyj jakiegobądź organu zwierzęcego organizmu <sup>1)</sup>, modlitwa nadto, charakter której, jak się wyraża Comte, jest przeważnie poetyczny, rozwija w nas, zdaniem jego, poczucie piękna i wykształca smak estetyczny, tak nawet, że postępując coraz wyżej w swych formach, modlitwa staje się w końcu, wedle słów jego, „prawdziwém dziełem sztuki.“

<sup>1)</sup> Nie trzeba bowiem zapominać, że tak jak cała nauka socyologii Comte'a opiera się bezpośrednio na biologii, bez znajomości której, zdaniem jego, nie można nawet pojąć ustroju społecznego; tak też i z biologii czerpie Comte porównania dla objaśnienia organizmu społecznego.

Tak jak nauka jest duszą dogmatu, przemysł administracyi nowój społeczności religijnej; tak znowu duszą jej obrządku, jej „kultu estetycznego,” jak mówi Comte, jest *poezya*.

To też nie ma tu stałych, określonych form dla modlitwy, jak nie ma naprzód obmyślanych form od których utworu poety nie mógłby już zbroczyć, naturalnie nie mówiąc o ogólnych prawach harmonii języka. Jakkolwiek więc każdy powinien dążyć do tego, by ułożyć sobie stałe modlitewki; to jednak wszelkie stosowne wypowiedzenie uczuć począwszy od najprostszych zdań, do bogatych i kwiecistych okresów wyższej prozy; od odpowiedniego dwuwierszu, do całych wzniosłych i pełnych harmonii strof ulubionych poetów, dawnych lub nowych: wszystko to stoi do wyboru dla pobożnych pozytywistów, w tém nie ma żadnego stopniowania.

Ta swoboda w wyborze jest nawet dziwném zjawiskiem u Comte'a, który w ogóle nie lubi owój „wolności anarchicznej“ (la liberté anarchique), jak ją nazywa, a ztąd wszystkiemu stara się nadać stałe prawa, dla każdej czynności obmyśla odpowiednią formułkę, wszystko podprowadza pod miarę i liczbę, słowem nader despotycznie występuje w roli *arcykapłana* (le grand Pontif de l'humanité) i *założyciela nowój religii* (fondateur de la religion de l'humanité<sup>1)</sup>). Nie ma rzeczy którejby nie przewidział a wszystko podciąga pod swoją wszechwładzę wszechurządzania; lubuje się w cyfrach i wszystko detalicznie niemi określa. I tak modlitwa ma trwać kwadrans, pół godziny, godzinę, półtoręj i t. d., a to stosownie do pory dnia w której się odmawia; ranna najdłużej, dzienna to jest w czasie pracy, wśród samych zajęć najkrócej, przed spoczynkiem bez szczegółowego oznaczenia czasu, tak jednak by usnąć z nią na ustach, pod wpływem jej zbawiennych skutków, a to, żeby oddziałać tym sposobem na mające nas nawiedzić sennie marzenia nadając im charakter wzniosły, poetyczny. W ogóle zaś czas poświęcony na zwykłe codzienne modlitwy nie ma być krótszym od dwóch godzin; co do sposobu zaś odmawiania ich, pierwszą koniecznie mówić należy na kolanach, drugą w odpowiedniej postawie (zostawia się to do uznania każdego), trzecią w łózku i t. d.

Sprawiedliwie i dowcipnie zauważał *John Stuart Mill*, że w tém zamięłowaniu do wynajdywania reguł dla najdrobniejszych szczegółów życia codziennego, Comte posunął do ostateczności tę szaloną manię urządzania wszystkiego, tę „manię reglamentacyi,” jak się wyraża Mill, „którą Francuzi odznaczają się pomiędzy Europejczykami a Comte wśród Francuzów.“

Co zaś do wpływu modlitwy na prace nasze naukowe, to takowo objawia się w rozwinięciu metody myślenia, bo „logika uczuć“

<sup>1)</sup> Tak podpisuje się Comte w drugiej połowie swego życia. Wszystkie broszury, kalendarze jego, tablice tak umiętności jak i rozmaitych grup społecznych, tego dowodem; podpis taki naturalnie jest i w przedmowie do jego katechizmu.

mówi Comte, objawia się w logice znaków myślenia, to jest w logice zdania; pod wpływem bowiem chęci wiernego wypowiedzenia tego co odczuwamy głęboko w danej chwili, myślą mimowoli wypracowujemy odpowiednią drogę czyli metodę przedstawienia potrzeb naszego serca i wpływających z niego uczuć.

To trochę niejasne może i nie ściśle naukowe, ale trzeba się z tém oswoić czytając Comte'a, zwłaszcza ostatnie jego prace, zbyt bowiem często wypowiada w nich dziwaczne myśli na niczém nie oparte i rzeczywiście stwierdzające na nimże samym to jego zdanie, że myśl ma często swe źródło w sercu. Inna rzecz czy to normalny stan myślenia, czy takie zdania mają znaczenie prawdy; dość, że wiele jego myśli zdają się być rzeczywiście wywołanemi jedynie usposobieniem jego moralném w danej chwili, usposobieniem często zupełnie indywidualném, powstałym w skutek zmian zaszłych w jego życiu. Ileż np. pomysłów socjalnych powstało w jego głowie jedynie pod wpływem wspomnień pani *de Vaux*, wspomnień, które koily wprowadzić zbolełe serce Comte'a, ale miały osobiste i to tylko dla niego samego znaczenie. W ogóle przebija w nim dążność sądenia wszystkich ludzi podług siebie samego; to co jemu w danej chwili czyniło przyjemność lub wywoływało w nim bolesne wspomnienia, uważa on za niezmiennie prawa dla wszystkich. Zresztą tak jak moralne usposobienie ludzi podlega częstym zmianom, co i w nim naturalnie dziać się musiało, to i zdania Comte'a nieraz są z sobą w sprzeczności i grzeszą brakiem logicznego związku, a jeśli i chce być zupełnie konsekwentnym naciąga je i wypowiada często myśli, których zupełnie nie dowodzi; co prawdę mówiąc rzeczywiście byłoby dlań zbyt trudném bez zaprzeczenia poprzednim swym zdaniom. Ponieważ zaś, upojony ideą porządkowania i urządzania wszystkiego, nawet swoje utwory poddał mierze i liczbie, stał się w końcu ciemnym, dwuznacznym a czasem zupełnie niezrozumiałym. I tak stosownie do wypowiedzianych w „Syntezie podmiotowej“ myśli o harmonii liczb i tajemniczym ich znaczeniu, zastosował te prawidła do swego stylu; nie tylko okresy mają odtąd u niego przepisaną liczbę wierszy, ale i zdania pojedyncze daną liczbę słów. To też jakkolwiek forma na tém zyskała, bo dawne olbrzymie jego okresy zastąpione zostały krótkiemi zdaniami; jasność jednak przedmiotu ucierpiała na tém, nie mając bowiem z natury daru związłe i jasno wypowiadać myśli, Comte stał się w czytaniu ciężkim i zbyt treściwym.

Przy takich pojęciach o pisaniu dzieł, w wierszowanej formie naturalnie musiał Comte widzieć szczyt słowa ludzkiego i gdyby nie brak w nim talentu do wierszowania, mielibyśmy może ostatnie jego prace w poetycznej formie rymów i rytmu. Wypowiedział on nawet myśl, że katechizm każdej religii a témbardziej pozytywnej, powinien być wierszowanym a to dla łatwiejszego ujęcia w stałą formę jego przepisów i nadania im tym sposobem odpowiedniej rytmiczności i zła-

nia ich w całość syntetyczną, opartą na harmonii liczb i prawach dzwiczności języka <sup>1)</sup>).

Modlitwa o której mówiliśmy jest jedną tylko stroną *obrzędku prywatnego*, tak zwaną *osobistą jego częścią* (partie personnelle), gdyż odnosi się li tylko do życia indywidualnego każdego człowieka. Drugą jego stroną jest tak zwany *obrzędek domowy* a raczej *rodzinny* (culte domestique), uzewnętrzniający się wykonywaniem *sakramentów społecznych* (sic—nos sacrements sociaux), co stanowi objaw wyższej już sfery życia, bo życia zbiorowego, rodzinnego.

Modlitwa w religii pozytywnej stanowi tylko wstęp do dalszych praktyk religijnych, zakres których ciągle się zwiększa i rozszerza a to w miarę zwiększania się obowiązków i ogarniania uczuciem coraz obszerniejszego koła ludzi, a tym sposobem i stopniowego zbliżania się do jedności, to jest do miłości całego społeczeństwa.

Kult osobisty czcią matki, żony i córki, ma obudzać i rozwijać drżmiące w nas uczucia szacunku dla pierwszej, przywiązania względem drugiej i dobroci dla ostatniej. Te trzy rodzaje uczuć czémże są jak nie „różnemi fazami“ miłości naszej ku „ludzkości“ z dumą wykrzykuje Comte, z dumą, bo bezwiednie wpadł na ulubioną mu drogę wiodącą do jedności (unité), to jest do skierowania wszystkich uczuć i działań ku jednej najwyższej idei, jaką jest, zdaniem jego, idea bóstwa to jest „ludzkości.“ I rzeczywiście te trzy rodzaje uczuć to jest szacunku, przywiązania i dobroci, razem wzięte tworzą, zdaniem jego, jednolitą całość uczuć, jakie wywołuje w nas potrójna forma istnienia ludzkości t. j. jój przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. A zatem część tych trzech „aniołów-stróż“ t. j. matki, żony i córki, tych istot będących symbolem ludzkości, jest zarazem czcią „niezrówanego,“ jak mówi Comte, jój „bóstwa.“

Z jakąż radością dopatruje Comte nowego jeszcze symbolu we czci tych „świętych dla każdego niewiast.“ Oto w tém stopniowaniu uczuć widnieje dla niego i symbol solidarności, jaka łączyć powinna każdego człowieka nowego społeczeństwa z wyższymi względem niego, równymi mu i niższymi, co odpowiada tym trzem kardynalnym uczuciom pozytywizmu: szacunek, przyjaźń i dobroć serca.

Obrzędy domowe (culte domestique), objawiające się uświęceniem chwil życia prywatnego przez odpowiednią instytucję *sakramentów społecznych*, wiążą tym sposobem życie osobiste z publicznem i są jakby naturalnem przejściem od jednego do drugiego, jakby łączni-

<sup>1)</sup> Przyczyny dla których Comte nie wierszował swego katechizmu oraz dlaczego zastosował doń formę dialogu a nie monologu, znajdzie czytelnik wyluszczone w przedmowie jego do pierwszego wydania katechizmu pozytywistów 1852 roku; w ostatniem zaś wydaniu takowego z roku 1874 na stronie 17.

kiem między jednostką a społeczeństwem, między egoistycznymi po-  
pędami a interesem ogółu.

Sakramentów przejście to uświęcających zna religia pozytywna  
aż dziewięć, a mianowicie: 1) Przedstawienie, 2) Wprowadzenie,  
3) Przyjęcie, 4) Przeznaczenie, 5) Małżeństwo, 6) Dojrzałość, 7) Wy-  
stąpienie z czynnego koła społecznego albo usunięcie się od zajęć spo-  
łecznych, 8) Przekształcenie się albo przeobrażenie, właściwie śmierć;  
i nakoniec ostatni sakrament tak zwany 9) Wcielenie.

Stały porządek w jakim idą po sobie przytoczone sakramenta  
społeczne, tworzy konieczne następstwo, jakby szereg przygotowań,  
którymi każdy członek społeczeństwa podczas życia swego obiektywnego,  
dąży stopniowo ku życiu subiektywnemu, to jest do nieśmiertelności  
zamieniającej sługę społeczeństwa, jakim każdy był dotychczas w „sta-  
ły, niezmienny“ jego organ. Pojęcie to stałości i niezmienności, zdaniem  
naszém, można zrozumieć tylko negatywnie, bo naturalnie to czego  
nie ma jest niezmienne, bo nie ma tu tego co by się zmieniało, inaczej  
trudno nam pojąć ów byt subiektywny. W każdym razie jest to bar-  
dzo metafizyczne pojęcie, więcj nawet oderwane niż pojęcie bóstwa  
religii pozytywnej, które znowu ze swojej strony, nie wiem dlaczego,  
ma być hardziej pozytywne, aniżeli pojęcia tych istot, które czei „teol-  
ogizm.“

Przystąpmy teraz do wyjaśnienia choć pokrótce znaczenia ka-  
żdego z tych sakramentów.

Sakrament *przedstawienia*, pierwszy z kolei, odpowiadający na  
pierwszy rzut oka sakramentowi chrztu religii chrześcijańskiej, nie ty-  
le jednak od niej jest zapożyczony, ile wzięty ze znanego zwyczaju  
w świecie starożytnym, uroczystego uznawania przez państwo nowona-  
rodzonego dziecięcia za przyszłego obywatela kraju. Toż samo odby-  
wa się w obrzędzie pozytywnym *przedstawienia*. Kapłan ludzkości  
(le prêtre de l'Humanité) zobowiązuje przytém rodziców nowonarod-  
zonego do wychowania dziecka we czei dla religii pozytywnej. Obo-  
wiązek ten wkłada się na rodziców chrzestnych uczestniczących także  
przy tym sakramencie <sup>1)</sup>. Obecność nadto specjalnych świadków dla  
uroczystości, wszystko to co do formy wzięte jest, jak wiele innych  
obrzędów religijnych Comte'a, z katolicyzmu, którego stronę obrzędo-  
wą nowy arcykapłan uważał za wzór dla swojej religii.

Wyższość tej instytucji *przedstawienia* od zwyczaju istniejące-  
go niegdyś w świecie starożytnym, objawia się, zdaniem Comte'a, tém,

<sup>1)</sup> W czasie udzielania tego sakramentu przez Comte'a jako arcyka-  
płana ludzkości w mieszkaniu jego (sic—rue Monsieur-le-Prince, nro. 10),  
Emile Littré był pierwszym ojcem chrzestnym (sic—le premier parrain).

Patrz w tym względzie *Philosophie positive; Revue redigée par E. Littré  
et G. Wyrouboff* z r. 1870, w którym pomieszczony jest nader zajmujący proces  
pani Karoliny Comte, żony Augusta, prowadzony przeciwko trzynastu wyko-  
nawcom testamentu jej męża.

że gdy tam istotom niezdolnym do zajęć wojennych <sup>1)</sup> często odmawiano tego sakramentu, to jest nie uznawano je za pożytecznych obywateli kraju i jako takie pozbawiano nawet życia; to teraz przy inném pojęciu użyteczności ludzkiej, przy przewadze kierunku przemysłowego zajęć nad wojskowością, w zasadzie nikomu nie będzie odmawianém prawo do tego sakramentu.

Drugi sakrament uświęca epokę wejścia do życia publicznego, gdy dziecko przechodzi z pod domowego nadzoru do systematycznie już prowadzonego wychowania kapłanów. Domowe wychowanie jest obowiązkiem matki, pod bezpośrednią opieką której dziecko pozostaje aż do 14 roku życia! (sic). Kapłani, mający do tego czasu tylko głos doradczy a mianowicie prawo przypominania obowiązków tak naturalnym jak i „sztucznym“ t. j. chrzestnym rodzicom, teraz bezpośrednio oddziaływują na młode pokolenie, dążąc głównie do tego, by je zachować od złowrogiego wpływu, jaki wywiera na młodzież obecny system wychowania, wyrobiony, zdaniem Comte'a, pod wpływem zbyt teoretycznego kierunku naszego wieku.

Zmiana systemu wychowania jest może najważniejszym środkiem dla przeprowadzenia i ugruntowania religii pozytywnej; w niej też znajdzie zastosowanie główna podstawa teorii Comte'a. Owe zasadnicze prawo dziejowe trzech stanów (la grande loi des trois états) czyli trzech peryodów rozwoju umysłu ludzkiego, będzie przeprowadzane z największą ścisłością w wychowaniu młodzieży. I tak do siódmego roku życia będzie ono *teologiczne*, do 14-go *metafizyczne*, do 21-go zaś *pozytywne*, które zakończy systematyczne wychowanie pozytywne i usposabia młodzieńca do następnego sakramentu zowiącego się *przyjęciem*.

Trzeci ten sakrament czyni już młodzieńca zdolnym służyć ludzkości i tym sposobem daje mu sposobność wywdzięczyć się społeczeństwu, od którego dotąd ciągnął same tylko korzyści.

Wybrawszy w ciągu następnych siedmiu lat specjalny kierunek, jakiemu zamierza poświęcić swą pracę, by stać się użytecznym członkiem społeczeństwa, młodzieniec odbiera z rąk kapłana uroczyste potwierdzenie swego wyboru w nowym sakramencie *przeznaczenia*.

Sakrament ten, czwarty z kolei, przypada więc w 28-ym roku życia to jest w siedm lat po skończeniu wychowania, ale może on być odnawianym w miarę zmiany zajęć, co jest dozwolonem mając na uwadze omylność ludzką i nieświadomość usposobień swych i zdolności. Jest to jedyny sakrament mogący być powtarzany, inne raz tylko bywają udzielane.

W starożytności, zdaniem Comte'a, sakrament *przeznaczenia* znany był także, ale stosowano go tylko względem najwyższych w państwie

<sup>1)</sup> To jest nie posiadającym odpowiedniej siły do, tak nazwanej przez Comte'a, „pracy destrukcyjnej“, która właśnie, zdaniem jego, charakteryzuje społeczeństwa starożytnego świata.



dostojęstw, przy obejmowaniu najważniejszych w oném urzędów; i tak namaszczenie królów, święcenie kapłanów i t. d. było niczém inném—powiada Comte—jak uznaniem konieczności tego sakramentu. Pozytywizm zaś każde, najmniejsze nawet zajęcie uświęca tym sakramentem, bo wszelka praca nasza—mówi Comte—będzie miała odtąd jedynie dobro ogółu na celu a ztąd słuszném jest, by wymagać uświęcenia i sankcyi tej pracy od społeczeństwa. Prawo to ma każdy.

Piąty z rzędu sakrament jest najważniejszym, jest to *wielka instytucja małżeństwa*, główną cechą którego jest znowu także *wielka jak*—mówi Comte—*instytucja wiecznego wdowieństwa*, owe „święte prawo,“ które wynosi małżeństwo pozytywne do niewidzianego dotąd stopnia doskonałości ludzkiej, czyniąc zeń ideał szczęścia i niewyczerpane źródło wzajemnego doskonalenia się małżonków (str. 117).

Bo téż kobieta uważana przez pozytywizm za symbol miłości, nawet za przedstawicielkę bóstwa religii pozytywnej, kobieta, owa najwyższa istota na ziemi, zdaniem Comte'a, w małżeństwie staje się pośredniczką między pojedynczym człowiekiem a społeczeństwem, „świętym łącznikiem“ (le lien saint) między życiem obiektywnem a wiecznością subiektywną; gdyż wzniosłym i szlachetnym swym charakterem ruguje ona z duszy naszej egoizm a ciepłem swego serca wznieca w nas miłość ku *najwyższej zbiorowej istności*, którą sobą jakoby przedstawia.

Ponieważ sakrament małżeństwa następuje z kolei po wybraniu przez mężczyznę specjalnego zawodu, nie może więc wcześniej być udzielanym jak w 28 roku życia. Co do kobiet zaś ponieważ powołanie ich znane z góry i nie ulega żadnym zmianom, to sakrament ten przypada dla nich jednocześnie z sakramentem *przyjęcia*, to jest z ukończeniem 21-go roku życia.

Małżeństwo w religii pozytywistów jest nawet obowiązkiem społecznym, zaniedbanie którego chociaż nie zagrożone karą, ale pociąga za sobą moralne potępienie przez opinię publiczną.

Szósty sakrament czyli tak zwany sakrament dojrzałości jest wyłączenie dla płci męskiej przeznaczonym; przypada on w 42 roku życia, gdy organizm człowieka zarówno jak i wykształcenie jego socyalne dochodzą do pełnego rozwoju. Jest to uznanie w nas dojrzałości i zupełnego uzdolnienia dla służenia społeczeństwu. Powołanie kobiety, —powiada Comte—jakkolwiek wzniosłe i zaszczytne, zbyt jest jednostajne, by i one potrzebowaly tych dwóch sakramentów, to jest poprzedzającego małżeństwo i następującego po niem.

Myliliby się jednak ten, kto by sakrament dojrzałości uważał za proste tylko uznanie przez społeczeństwo zdolności w jednym z jego organów służenia mu; znaczenie jego jest większe, bo namaszcza on i sankcyonuje epokę „najważniejszą może,“ jak powiada Comte, „w życiu obiektywném“ człowieka. Podczas 21 lat bowiem, które go oddzielają od następnego sakramentu, rozwija on drugą połowę swego życia obiektywnego, która staje się już nieodwołalną i stanowczą mia-

rać co do jego przyszłości, to jest nieśmiertelności subiektywnej. Dotąd była możność poprawy, teraz ani złe usposobienie natógowo zrosłe z naszą naturą, ani wiek, rękojmi téj nie przedstawiają. To téz niezmiernie ma znaczenie, zdaniem Comte'a, to zwrócenie na siebie uwagi każdego członka społeczeństwa, to uroczyste wypowiedzenie mu prawdy i wykazanie mu błędów jego życia, oraz wskazanie odpowiedniej drogi do poprawy lub do wytrwania w dobrém, jeśli dotychczasowy żywot jego był nieskazitelny.

Siódmy sakrament, uświęcający usunięcie się od czynnych zajęć społecznych, uważa Comte za najszczytniejszą, najuroczystszą chwilę w życiu każdego człowieka, za chwilę w której wzniósł charakter życia społecznego najbardziej się uwydatnia i która dowodzi zupełnego wyrugowania egoizmu z widowni ludzkiej działalności. Tym obrzędem bowiem spełnia się ostatni obowiązek obywatelski; a mianowicie kaźden doszedłszy 63-go roku życia, czując się już niezdolnym godnie odpowiedzieć włożonym nań obowiązkom społecznym, sam dobrowolnie usuwa się od czynnego udziału w sprawach ogółu i podaje pod uznanie swój władzy wybranego przez siebie zastępcę.

To przedstawienie kandydata na opuszczone przez się stanowisko jest nader ważnym, zdaniem Comte'a; „jedyny to sposób“ powiada on „zachowania nieprzerwanego ciągu i jednolitości w sprawach ludzkich.“ Wpływ jednakże na społeczeństwo usuwającego się od czynnych zajęć jednego z jej organów, nie ustaje w zupełności; jego działalność trwa ciągle, tylko, że z czynnej przechodzi w doradczą.

O ósmym i dziewiątym sakramencie to jest o uświęceniu śmierci i o uroczystém ogłoszeniu wcielenia zmarłego do bóstwa „ludzkości,“ mówiliśmy już poprzednio. By jednak zamknąć w całość teorię Comte'a o sakramentach religii pozytywnej, nadmienić jeszcze należy o udziale kobiet w tym ostatnim sakramencie, nadającym nieśmiertelność duszy czyli subiektywne życie.

Otóż ponieważ inkorporacya ta zależy głównie od zasług człowieka względem społeczeństwa, to jest jedynie od tego, jakim on się okazał w swém życiu publiczném, a kobiety od téj sfery zajęć zupełnie są usunięte; to i nieśmiertelność ich zależeć będzie od przyznania takowej mężom ich lub ojcom. Tak, że gloryfikacya męzczyzny *co ipso* zawierać w sobie będzie i uczczenie tych istot, które zeń zrobiły to czém był. Comte bowiem uważając kobiety za najdoskonalsze stworzenia na ziemi naszej, im jedynie przypisuje wszystko cokolwiekby dobrego zdziałali męzczyźni. „We czci dla każdego człowieka,“ powiada on, „dorozumiewać się należy zawsze i czci dla jego matki i żony“ etc. To téz groby zasłużonych społeczeństwu mężów mieścić w sobie będą i ciała tych kobiet z któremi los zespolił ich życie.

Comte był snadź tkliwego usposobienia a serce jego pełne miłości, nieraz bowiem uczucia swe przenosi i na niższe nam stworzenia; on kocha rośliny i zwierzęta, ziemię i słońce, planety i księżyc (la lune aimable). „W tém wcieleniu,“ powiada on, unosząc się nad wzniós-

słą instytucją inkorporacji, „wziąć powinny udział wszystkie istoty, które tylko były pomocnymi człowiekowi dla dopięcia jego celu, to jest oddania jak najwięcej usług społeczeństwu;“ nawet pamięć zwierząt domowych, tych wiernych towarzyszy ludzkich w życiu ich obiektywnym, będzie zachowaną przy ogłaszaniu sakramentu wcielenia. „Dlaczegożby mozolna ich praca nie miała być uznana?“ zapytuje Comte przejęty sprawiedliwym współczuciem dla tych nieszczęśliwych istot, których całym zadaniem zdaje się być tylko uleganie tyranii człowieka. „Przedstawmy sobie na chwilę tylko brak pewnych gatunków zwierząt domowych, a przekonamy się o ile są one nam użyteczne, powiada Comte; „nikt wtenczas nie będzie się wahał“ dodaje on, „uznać jakiegoś konia, psa lub wołu, godniejszym szacunku od niektórych ludzi“ (sic. str. 67).

Nie przewidywał jednak nasz arcykapłan, że to szczere wypowiedzenie myśli jego, poda straszną broń, nóż obosieczny w ręce niemilosiernych krytyków; to też żaden z punktów jego katechizmu nie był tyle wyśmiewanym co udzielenie zwierzętom domowym prawa do sakramentu wcielenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z SIĘDMIOLETNIEJ WOJNY.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

(Ciąg dalszy).

VI.

Mrok był w ulicy, gdy nasz Max wy dobył się od radzcy handlarza sérami i odetchnął lżej, odbiegłszy spory kawał od jego dworku. Był już pewnym, że dnia tego przygody szczęśliwie przebrnął. Mentzel jednak ze swemi żalami i zdradzoną tajemnicą, kapitan Feulner wywieziony, Pepita która go odgadła i zawstydziła, Brühlowa z oczyma czarnemi, jutrzejsze posłuchanie u ministra, uwijały mu się po głowie. Szedł tak

ze spuszczonei oczyma, kierując się machinalnie ku domowi, gdy nagle uczuł się potrąconym.

Naprzeciw niego niosło dwóch w kanarkowych frakach tragarzy lektykę, która go właśnie mijała. Z okna wychyliła się głowa w kilkopiętrowej peruce i okrzyk się dał słyszeć: „Halt! halt!”

Tragarze stanęli, Simonis mimowolnie się zatrzymał przez ciekawość, chociaż ani przypuszczał ażeby miał być przyczyną zatrzymania lektyki. Wpatrując się dopiero uważniej w twarzyczkę zbyt jaskrawą, białą i różową, aby naturalnemi kolory tak jaśnieć mogła, poznał w niej swą towarzyszkę podróży, czułą Doris, która przybywszy z nim ową budą, w Dreźnie dobiła się lektyki.... Była nawet bardzo wystrojoną, a na twarzy, o ile róż i bielidło dozwalały, malowała się radość jakaś i rozpromienienie.

Lektyka stała już na miejscu jak wryta, a panna Doris wychylona z niej domagała się gwałtownie od towarzysza podróży, aby się do niej przybliżył.

— A! jakżem szczęśliwa że pana spotykam! Chodź pan... słówko tylko! muszę panu opowiedzieć moją historję. Powiodło mi się nader szczęśliwie. Znalazłam tu przyjaciółkę dawną, od serca, która mi miejsce wyrobiła w teatrze. To kobieta która co chce może.... Przez nią ja wam nawet dać mogę protekcję.

Tu się uśmiechnęła.

— Tak! tak! Pocziwa Mina mnie przytuliła. Wiecie kto jest Mina?....

— Nie, pani—rzekł Simonis, trochę szczebiotaniem tém onieśmielony i przestraszony—nic nie wiem kto jest Mina.

— Tak, boście wy tu obcy! Przecież to cały świat wie, że minister oprócz żony, której kochać nie potrzebuje, bo ją tam inni za niego kochają, ma hr. Moszyńską w sercu, hr. Sternberg w uwielbieniu, dla rozrywki w czarnych godzinach Terenię Albuzzi, a najulubięszą mu ze wszystkich jest moja Mina, Mina Tennert.

Żebyś wiedział pan, jaką kamienicę postawił dla Miny. Tu nachyliła mu się do ucha.

— Nie bardzo ona mu jest wierną, ale jemu o to nie idzie; chce gdy się zmęczy znaleźć twarz wesołą i szczebiotanie miłe. Mina umie go doskonale rozerwać, a Mina jest moją przyjaciółką od serca. Kochamy się jak dwie lesbianki.

Kawaler wyrażenia tego nie zrozumiał, i radby był zwierzeń dalszych uniknąć; zbywał więc milczeniem pannę Doris, gdy ta obawiając się aby jej nie uszedł, zatrzymała go chwytając ręką.

— Jadę właśnie do Miny, a waćpan mi musisz towarzyszyć: nic niepomocze.

— Kiedykolwiekbądź, ale nie dziś!—zawołał Simonis.

— Nieodmiennie dziś! koniecznie dziś! Wieczorem u niéj nikogo nie będzie. Minister ma jakieś kłopoty, które go zatrzymują w domu. Powiem panu pod sekretem: Mina się kocha w sekretarzu Brühla, w Szwajcarze Blumli. On wiele może, ja pana z nim poznam.

Simonis aż drgnął, chciał się właśnie z Blumlim zobaczyć.

— A! jeśli Blumli będzie, służę!—zawołał.

— Widzisz! widzisz waćpan jak jesteś niegrzeczny, dla mniebyś nie poszedł, a dla tego...

— To mój przyjaciel, rodak.

Doris skinęła na tragarzy.

— Idź waćpan przy mnie!—rzekła. Jak mnie pan dziś znajdujesz? Nie prawda że mi w tych włosach do twarzy? Fryzjer królewski zaklinał mi się, że nie dałby mi lat dwudziestu!

Tu westchnęła.

— Winnam Minie że mi i wesołość i młodość wróciła...

Tak szczebiocząc i niepuszczając Simonisa od siebie, francuzka zaprowadziła go do domu zajmowanego przez sławną śpiewaczkę Wilhelminę Tennert.

Jak Albuzzi, dla której Brühl wznosił sławną rotundę, panna Tennert miała jeśli nie pałac, to wcale pokazną kamienicę z ogrodem na Wildrufskim przedmieściu. Tam gdzie minister spędzał czasem wieczory, nie mogło być zbyt ubogo i skromnie. Na mniejszą skalę był to pałacyk wielkiej pani lub słynnej artystki. Na wschodach u dołu stały dwie marmurowe postacie trzymające lampy w podniesionych do góry rękach. Były to napół obnażone kobiety, obwite wieńcami

kwiatów i liści. Dwóch lokaików w liberyi seledynowej przyjeśli gości na dole. Doris wyszedłszy z lektyki wiodła jeńca swojego na pierwsze piętro. W przedpokoju stał lokaj w takichże seledynach i peruce przepysznej, ten otworzył im drzwi do niewielkiego saloniku, który był prawdziwem cackiem. W białych ze złotemi promykami ramach, okrywało go obicie atłasowe w kwiaty bukietami rzucane. Do téj bieli, złota i kwiatów stosowało się wszystko, rami zwierciadeł porcelanowe, komin podobny, pajak z kwiatów, ptaków i motylów, sprzęt okryty takimże atłasem.

Pod oknami w ogromnych wazonach z porcelany rozpierały się bujno wyrastające kwiaty żywe, a wpośród nich stała właśnie piękna Mina, rozmawiając z Blumlim.

Mina, choć już dawno minęło jej lat dwadzieścia, trzymała się jeszcze jakby więcej nad nie miała. Był to typ prawdziwie niemieckiej piękności: włosy złoto-blond, oczy niebieskie, cera biała i przezroczysta, wzrost ogromny, coś niby przypominającego Tusnelę dziką, której dłoń mogła napiąć łuk i dzwignąć pałkę w potrzebie. Majestatycznie wyglądała, lecz niewieściego wdzięku jej brakło i chłodna otaczała ją atmosfera. Nie można było nie uznać ją piękną, a Simonisowi zdało się iż w téj piękności, chyba znużony minister dla odmiany się mógł zakochać. Mówiono, że głos miała bardzo ładny i potężny.

Zobaczywszy ją Doris rzuciła się ku niej z ognistemi objawy przyjaźni, jak gdyby się lat kilka nie widziały. Blumli zobaczywszy idącego za nią Simonisa, niezmiernie się zdumiał.

— Złapałam tego pana, którego poznałam w podróży, bardzo miłego, aby go tu przyprowadzić, kochana Mino. Spodziewam się tém bardziej iż mi tego nie weźmiesz za złe, bo jest przyjacielem twojego przyjaciela.

Piękna Mina obejrzawszy Szwajcara zdala, dosyć go zimno powitała. Nie była w ogóle rada gościom mając u siebie swego Blumli. I Blumli jakoś chłodno przyjął Simonisa, ale Doris nie zważając na nic, w najlepszym humorze gospodarowała już po salonie.

Kawaler wytłumaczył się w kilku słowach przed panią domu i Blumli wziął na stronę.

— Nie mogłem się oprzeć téj babie—szepnął mu w ucho—widzę że nie jestem tu gościem pożądanym, ani ja, ani ona; lecz potrzebowalem kilka słów pomówić z tobą i natychmiast się wymknę.

— Gdybyś i starą tę doryndę zabrał z sobą!—zawołał Blumli-- ale takiego heroizmu wymagać po tobie nie mogę.

— Jakimże sposobem stało się, iż jutro już mam być ministrowi przedstawiony?—zapytał Simonis.

— Najprostszym w świecie: wpadłeś w oko hrabinie, kazała aby cię poznał i dał ci miejsce u dworu.

— Ale ja, ja miejsca przyjąć... ja nie umiem—zmieszany odparł Simonis.

— Dlaczegoż? — rzekł zadziwiony Blumli — odpychasz szczęście, które cię spotyka. Hrabina ci się podobała, jesteś wolnym, obowiązki sekretarza będziesz zdaje mi się pełnił więcej w jéj kancelaryi niż w naszéj. Cóż może być pomysłuiejszego!

— Będę otwartym—odezwał się Simonis—namyśliłem się. Nie życzę sobie losu Seyferta, pręgiarza i Koenigsteinu. Jestem młody, za serce ręczyć nie mogę.

Blumli nań patrzył z uwagą.

— Nie rozumiem cię—rzekł—cóż innego stać musi na przeszkodzie; znam cię z dawniejszych czasów i z pierwszej rozmowy, byłeś innym. Cóżto? nastraszo cię?

— Tłumacz to jak chcesz!

— Już cię stary skelet Dorydy nie zbałamucił!—roześmiał się Blumli.— Ha! postąpisz jak zechcesz, zmusić cię przecież nie mogę, ani ja namawiać będę. Przedstawienie się ministrowi do niczego nie obowiązuje.

Simonis zmilczał i rozmowa na chwilę przerwana została. Dostyć zręcznie potem kawaler nasz potrafił ją przeprowadzić na przedmiot inny. Cóż to jest com słyszał w mieście? szepnął cicho, — aresztowano jakiego Feulner'a.

Blumli ruszył ramionami.

— Chleb powszedni—rzekł obojętnie—kapitanów codzien szła do fortecy, bo dokazują wielce; o tym coś bąkają, że się z Prusakami wahał, a my dziś na to jesteśmy drażliwi. Wyobraź sobie—dodał—iż nam Prusacy depesze kradną z przed

nosa. Brühl jest bardzo grzeczny, ale kto się w jego białe rączki dostanie, tego można pożegnać na zawsze.

Piękna Mina dopomniała się o swojego faworyta i odebrała go Simonisowi, dając mu w zamian niebezpiecznie duia tego ożywioną Doris, której przy kawalerze przychodziły śmieszne reminiscencye młodości. Simonis niemając ochoty grać w nich żadnej roli, zabawił krótko i umknął jak mógł najprędzej.

Księżyc przyświecał mu w drodze do kamienicy pani baronowej. O tej porze wszystkie już domy w mieście oprócz publicznych lokalów, były pozamykane, ale kawaler obyczajem drezdeńskim, opatrzony był kluczem, który mu wrota otworzył.

Noc przeszła więcéj na niespokojnych marzeniach niż na śnie, który ledwie nad rankiem skleił powieki.

Posłuchanie wyznaczoném było na niezbyt wczesną godzinę; Simonis skromnie ale ze smakiem przybrany czarno, poszedł do kancelaryi do Blumli. Było to właściwie ognisko, z którego rozkazy na całą rozchodziły się Saxonię.

Brühl kierował tylko głównymi rozporządzeniami, środki wykonania zostawując podwładnym. Tych ośmiu panów sekretarzy panowało w istocie z mocą nieograniczoną. Znać było to uczucie ich potęgi po twarzach młodych panów, wyrażających najzupełniejszą wzgardę dla rodzaju ludzkiego.

Gdy Simonis wszedł na próg, oczy wszystkich zwróciły się na niego raczej ciekawie niż życzliwie. Widzieli w nim współzawodnika a może niebezpiecznego faworyta. Wprawdzie panowie ci kręcili się tu z rękami pod poły fraków i za żaboty u kamizeli pozakładanemi, niekiedy spoglądali na robotę młodych kancelistów, ale interesa bieżące wcale się ich nie zdawały obchodzić. Mówiono o Faustynie, o Teresie, o Miunie i o mnóstwie innych kobiet, o teatrze, o polowaniu, tylko nie o nudnych sprawach administracyi.

Simonis wszedł w chwili, gdy z rozkazu ministra, wykomenderowywano jednego z radzców, dając mu w pomoc szwadron konnicy, dla ściągnięcia zaległego podatku w górnych powiatach, gdzie ludność odmawiała należnej panu daniny, pod pozorem nieurodzaju i głodu. Rozkazy były wyraźne: podatek ściągniętym być musiał dla samego przykładu i wpojenia tej zdrowej zasady, którą Brühl się zawsze kierował: *Nicht raiso-*



niren. Rezonowaniem zwała się każda wymówka, od spełnienia świętych obowiązków.

Z okien później mógł się Simonis przypatrzeć jak radzca jechał otoczony konnicą, wioząc za sobą pisarzy dla protokółów, pachółków dla przytrzymania rezonujących i gawieź sądową, aby forma legalna w domierzeniu słusznej kary była zachowaną. Blumli chodzący jak inni z rękami w kieszeniach, o naznaczonej godzinie udał się z kawalerem de Simonis do gabinetu ministra.

Brühl niezmierną i bardzo słuszną przywiązywał wagę do pierwszego wrażenia, jakie miał wyrzucić na obcym człowieku. Wszystko u niego było obrachowanem: tło na jakim się miał malować, akcesorya obrazu, wyraz twarzy, strój, poza. Tym razem siedział w fotelu rozparty z nogą założoną na nogę, cały w jedwabiach szytych srebrem, w koronkach, w peruce, którą amorki chyba fryzować musiały, a której wdzięk nie uwłaczał powadze. Ciężar spraw kraju i polityki europejskiej spoczywał na czole osłoniętym lekką chmurą.

W białej pulchniej rączce trzymał na kolanie spartą tabakierkę emaliowaną. Przed nim leżał stos listów. Nieinaczej byłby usiadł do portretu dla potomności. Gdy Blumli drzwi otworzył i Simonisa wprowadził, minister zrazu nie posłyszał nic i nie spostrzegł, zatopiony w głębokich kombinacjach polityki europejskiej, którą był pewnym że ukryty w Saxonii kieruje; dopiero za zbliżeniem się ich, przybrał nader uprzejmą postać i z gibkimi ruchy pełnymi elegancyi, dając poznać w sobie człowieka wielkiego świata, godnego dworu Ludwików, przyjął Simonisa protekcyjnalnym uśmiechem. Machinalnie otworzył tabakierkę patrząc w niebo, palcami rozstrzępionymi aby na nich solitery tego dnia będące na dyżurze widać było; wziął szczyptę i poniósł ją roztargniony, rozmawiając do pięknego nosa. Usta tymczasem wyginały się całą gamą słumionych różnych wyrazów, odegrywając z wdziękiem nieporównanym.

— Bardzo się cieszę z poznania paua—rzekł cedząc powoli—bardzo się cieszę.

Oczyrna tymczasem egzaminował młodzieńczą postać filuta, który z mniejszą wprawą grał, już jak wirtuoz wielkich

nadziei, swą pierwszą rolę na dworze. Brühlowi wydał się skromnym i naiwnym.

— Bardzo się cieszę—powtórzył minister.—Kraj Helwetów dostarcza nam najzdolniejszych we wszystkich zawodach urzędników, artystów, uczonych. A pan jakiemu się powołaniu chcesz poświęcić?—dodał z uśmiechem.

Simonis się namyślał nieco.

— Właśnie chciałbym samego siebie doświadczyć i wypróbować—rzekł skromnie—jestem młodym i niewprawnym.

— Wyznanie pełne skromności—ciągle się w niego wpatrując mówił minister—daje to o waćpanu najlepsze wyobrażenie. Cieszyłbym się, gdybym mógł go tu zużytkować.

— Byłoby to dla mnie największém szczęściem, w usługach tak znakomitego męża stanu, jak wasza Ekscellencya, pierwsze stawić kroki, ale nieczuję się do tego zdolnym.

To mówiąc, skłonił się dziękczynnie. Brühl uśmiechnął się; skromność przypadła mu do smaku.

— Ja téż bardzobym rad zdolnego i tak pełnego nadziei młodzieńca mieć przy sobie—odparł zbliżając się—ale powiedzże mi kawalerze otwarcie, do czego się przykładałeś.

— Ja? wasza Eksellencya ciężkie mi do odpowiedzi dajesz pytanie—rzekł żywo Simonis—uczyłem się potroszę wszystkiego, a umiem niewiele. Kilka języków posiadam nieźle, lubię muzykę, rysowałem trochę, nie jest mi obcą matematyka; lecz wszystko to potrzebuje bezwątpienia wprawy i dopełnienia.

— A!—zawołał Brühl—jakże z kalligrafią? charakter wyraźny?

— Starąłem się o to—odparł Simonis.

Minister który znać był nawykł, że mu się inni kandydaci zbyt przechwalali, zdumionym był nieco.

— Będę miał miejsce w mojej kancelaryi—rzekł—możebyś je waćpan chciał zająć, przy korespondencyi zagranicznej.

Simonis skłonił się nisko.

— Wielkie to i niespodziane dla mnie będzie szczęście, pracować pod zwierzchnictwem tak wielkiego ministra, którego Europa cała wielbi i podziwia; ale Wasza Ekscellencya raczysz

mi dozwolić choć miesiąc czasu, abym się obeznał ze stosunkami miejscowemi.

— Prawdziwie, zachwycasz mnie waćpan taktem i rozumem nad wiek!—zawołał Brühl.—Proszę bardzo, masz waćpan od dziś dnia wstęp wolny do mnie, dla obeznania się z porządkiem, a rozpoczniesz pracę gdy zechcesz.

Zażył tabaki, strzepnął starannie koronkowe mankietki i spojrział w zwierciadło boczne, które mu poświadczyło, że postawę i minę miał Richelieu'go lub Mazarina.

— Masz waćpan familią?—spytał.

— Nikogo oprócz siostry, którą w Berlinie zostawiłem.

— Stosunki? znajomych...

— Bardzo mało, a głównie pan Blumli jest i był łaskawym moim opiekunem. Nie będę téż taik przed Waszą Ekscellencyą, JMość pan radzca Ammon jest mi krewnym, ale on mnie a ja jego nienawidzę.

— A! a!—zawołał zdumiony Brühl — a toż dlaczego? Radzca Ammon jest człowiek wielce szanowny.

— Tak, ale mnie przybyłego po radę przyjął jak włóczęgę, a uczucie osobistój godności nie dozwala mi mieć z nim stosunków.

Brühl się zamyślił i machinalnie sięgnął do tabaki.

— Wielka szkoda—rzekł—wielka; na ten raz byłoby mi się to wielce przydało. Ale, zdaje mi się że ja panów do siebie przybliżę.

To mówiąc spojrział na zegarek...

— A zatém, szanowny kawalerze—dodał—zrozumiemy się *vous êtes des nôtres*, daję panu tylko urlop na miesiąc.

Simonis zaczął dziękować, ale Brühl już się odwrócił, ręką okazując że tego nie wymaga. Pobiegł z pośpiechem do biórka, jakby przestraszony nawałem pracy, która go czekała: Simonis wyszedł.

Zaledwie się zamknęły drzwi, minister papier wzięty do ręki rzucił i głęboko się zamyślił. Gdzie myśli jego błędziły: któż odgadnie? Wzdychał niekiedy. Zbliżała się godzina w której dziś wyjątkowo u króla być musiał, bo N. Pan po niego przysyłał, dając mu znać że czeka w interesie niecierpiącym zwłoki.

Już miał zadzwonić o lektykę, gdy bez zapukania wpadł wysokiego wzrostu, piękny i Augusta Mocnego twarzą i postawą przypominający, w wojskowym mundurze mężczyzna. Był to generał Rutowski, syn ostatniego króla, wojskowy z powołania i z upodobania, żołnierz, galant, rycerz; którego nawet Brühl szanował, bo nie obawiał się z jego strony żadnej intrygi, a rachował nań w przypadku wojny.

Na tej nieumiejącej nic ukryć twarzy człowieka, charakteru z natury otwartego i żywego, każde wrażenie malowało się jak w zwierciadle. Spojrzawszy nań Brühl poznał odrazu, iż coś musiało go zburzyć i zaniepokoić. Nie mówiąc słowa Rutowski wziął za rękę ministra i poprowadził go do okna.

— Kochany ministrze—rzekł—wiesz ty dokładnie co knują w Berlinie?

— Jakto? cóż oni knuć mogą? to my (*entre vous*) knujemy; ale ten nieszczęśliwy Fryc obsaczony jak niedźwiedź, co on może?

— Pewien jesteś tego?

— Kochany hrabio! racz pomyśleć: my tego człowieka mamy w matni... Ale cóż mogło was tak zaniepokoić?

— Powiem ci: mam wiadomość z Berlina—rzekł Rutowski—mam ją pewną. Fritz skupia czterdzieści tysięcy wojska, które nim my się zbierzemy ku obronie, do Saxonii wkroczą.

Brühl szczerze się rozśmiał.

— Ale kochany hrabio jesteście znakomitym wodzem, nie przeczę; godnym uczniem Wiktora Amadeusza: jednak w polityce! chyba uczniem. Możnaż wkroczyć niewypowiedzianym wojny?

Byłoby to przeciwko wszelkim prawom, *pacis et belli*. Niemamy z kochanym sąsiadem naszym najmniejszego zatargu, siedzą u nas jego rezydenci i agenci; uśmiecemy się do siebie przez granicę.

Jakżeby mógł, jakżeby śmiał?

Rutowski pomyślał.

— Tak, to prawda—rzekł—ale znaszże ty Fryderyka II? —zapytał.

— Pochlebiam sobie, że Jego Grubiańsko-Królewską Mość znam choć trochę—odparł minister. W chwili gdy pół

Europy się na przyjaciela JMPana de Voltaire szykuje, nie zdaje mi się aby dobrowolnie chciał się postawić sam *hors la loi*? Pogorszyłby sobie sprawę—rzekł Brühl z uśmiezkiem—i moglibyśmy mu nawet Brandeburgią odebrać, ogłosiwszy go *au ban de l'Empire*. Ale mój hrabio—dodał—to są czcze, dziecinne strachy. Austria go tego roku nie zaczepi, a sam, ręczę wam za to, wojny nam nie wyda; król Fritz nadto jest przebiegły, by mógł się tak unieść. *Allons donc!*

Rutowski pomyślał trochę.

— Masz słuszność—odparł podając mu rękę—ja dyplomata nie byłem, nie jestem i być nie chcę. Jestem żołnierzem! Nie rozumiem tych spraw, uląkłem się niepotrzebnie. Ale, ale jakże chcesz, doniesiono mi to z takimi szczegółami...

— Naprzykład?—zapytał Brühl szydersko trochę.

— Doniesiono mi że wojska część jedna ma pozostać pod wodzą feldmarszałka Lewalda na obronę kraju i stolicy, jeśliby weszli Rosssyanie. Główne siły rozdzielone są na trzy korpusy, z których jednym dowodzi książę Brunświcki, drugim sam król, trzecim książę Bevern.

Brühl się uśmiechał.

— I te trzy korpusy na nas mają być przeznaczone?

Zaczął się śmiać coraz głośniej.

— Ha, chyba na rok przyszły.

Rutowski stał zmieszany.

— Wyście to naturalnie daleko lepiej odemnie wiedzieć powinni—rzekł—jestem więc spokojny i przepraszam że was napróżno nudził.

Brühl chwytając go za rękę, poskoczył ku niemu.

— Generale—zawołał—na miłość bożą, ani słowa o tém przed królem JMością, aby go napróżno nie męczyć. Jestto wprost niemożliwe.

— A! wiesz przecie że plotek nie noszę!—odezwał się Rutowski.

Podał mu rękę i wyszedł żywo. Brühl ramionami ruszył, spojrział na zegarek; godzina królewska się zbliżała: zaledwie miał czas kazać się zanieść na zamek.

— Kłusem!—zawołał na tragarzy i dwaj silni chłopcy ponieśli lektykę jak piórko.

W przedpokoju minister prawie się przeląkł niespodzianie postrzegłszy oczekującą ciżbę, ale obawa trwała chwilę tylko, wprędce bowiem rozpoznał, że ta gromada osób składała się przeważnie z dzieci Muz i Apollina, z artystów i znawców sztuki. Stał wśród nich z włosami na ramiona rozpuszczonymi i żywymi oczyma, Rafael Mengs, obok niego skromny, szybersko jakoś uśmiechnięty Dietrich, dalej professor i miłośnik starożytności Lippert i wielki znawca kunsztu, erudyt i intrygant, spekulator i krytyk zarazem, niegdyś jeden z sekretarzy Brühla, dziś dyrektor akademii Heinecken. Oprócz nich kilku Włochów, Anglik Hamilton, malarz scen myśliwskich i inni.

Brühl spojrział na to zgromadzenie, zwołane bez jego wiedzy i zapytał Heineckena:

— Co to jest?

— Król nas zawołać kazał: nie wiemy — odparł dyrektor.

Nieczekając dłużej i zostawując tych panów w antykamery, minister wbiegł do królewskiego pokoju. August zamysłony siedział w fotelu, naprzeciw którego na ogromnym trójnogu stał obraz: było to owo sławne Guido Reniego dzieło nabyte przez kanonika Luigi Crespi z Bolonii od rodziny margrabiego de Tanara.

Na widok Brühla król jakby rozbudzony powstał.

— Brühl! opóźniłeś się — zawołał — tu idzie o rzecz największej wagi. Czy są wezwani znawcy?

— Czekają na rozkazy Waszój Kr. Mości.

— Wprowadzić ich, chcę raz mieć stanowczy wyrok w tej mierze.

Szambelan stojący u drzwi, otworzył je i skinął na oczekujących, którzy z kolei wsunęli się do pokoju, oddając niski pokłon królowi i stając rządem jedni za drugimi.

August przybrał twarz uroczystą.

— Panowie — rzekł — chciejcie się bacznie przypatrzeć arcydziełu temu, ręki cnego Guido Reniego. O autentyczności wątpliwości nie ma. Boskiego mistrza znać na nim dotknięcie. Ale rodzi się wątpliwość straszna, okropna, niepokojąca. Dyrektorze von Heinecken, profesorze Lippert, patrzcie. Tradycya rodziny Tanarów, mówi, że obraz wystawia

Salomona i królowę Sabę; tymczasem słyszałem drugich gó-  
rąco obstających przy tém, że to jest Ninus i Semiramis.

Wszyscy oczy na obraz zwrócili, milczenie wielkie uroczy-  
ste jakieś, ledwie oddechami uczonych mężów przerywane,  
trwało minut kilka. Król patrzył po twarzach, twarze nie  
mówiły nic. Każdy oczekiwał zdania pańskiego aby się do  
niego zastosować, a z własném ani się myślał odezwać. Nie  
szło nikomu o to czy to był Salomon i Saba, czy Ninus i Se-  
miramida, ale wszystkim chodziło o to wielce ażeby się Naj-  
jaśniejszemu nie sprzeciwić.

Brühl usta wydąwszy, zatopiony był napozór w kontem-  
placyi obrazu, chociaż w istocie o czém inném myślał. August  
III-ci powoli obracając głowę patrzył po tych oswiałych mę-  
żach, zdających się co najmniej, ważyć losy świata. Wszys-  
tkich fizyognomie, wyjąwszy nieco szyderską Dietricha, były  
nadęte, zadumane, pomarszczone od wysilenń mózgowych. Król  
uśmiechając się oczekiwał. Nareszcie odezwał się:

— Brühl, ty się znasz; hm? Co mówisz?

— Przychylam się do zdania W. Kr. Mości—zawołał  
żywo minister.

— Ale ja właśnie zdania nie mam—rzekł król uśmiecha-  
jąc się.

— Ja także wyznaję—odparł Brühl—zdania mieć nie  
mogę. Jakżebym śmiał je mieć, gdy W. Kr. Mość, daleko  
większym będąc znawcą, nie raczysz go wyrzec.

— Hm! otóżto; ale jak sądzicie?

Brühl obawiając się skompromitować ruszył ramionami.

— Pan dyrektor Heinecken mógłby być w téj mierze sę-  
dzią najlepszym—odezwał się Brühl, spoglądając na niego.

Heinecken był jednym z najzręczniejszych dworaków; po-  
wołany, skulił się, zgarbił, głowę skłonił, ręce roztworzył  
i koniec końców, rzekł:—To kwestya!!

— Tak, to kwestya!! to kwestya!—zawołał król uśmie-  
chając się—wielka i ważna kwestya, ale kto ją nam rozwiąże?

Spojrzano na profesora Lipperta, bo każdy rad był pier-  
wsze słowo zrzucić na kogo innego. Lippert to zrozumiawszy  
jako podstęp i zdradę, ramionami ruszył, na bok odstąpił i kró-  
tko rzekł:—Nie wiem!

August ręce zacierał i śmiał się.

Na widok tego uśmiechu, zaczęli się i inni uśmiechać pocichu, a nareszcie Dietrich prychnął. Ze zgrozą obróciły się nań oczy: trzymał dłoń przy ustach.

— Dietrich! ty szyderco jakiś! niedowiarku; chodź mi tu zaraz—zawołał król.—Co ty mówisz? he? z kogo się ty śmiesz?

— N. Panie!—nizko się kłaniając rzekł malarz—proszę mi przebaczyć. Śmiałem się ze wszystkich, oprócz majestatu W. Kr. Mości i Jego Ekscelencyi.

— Ale cóż ty mówisz?—nalegał król.

— Ja?—spytał Dietrich.

— Tak, ty.

— Ja? zamyślił się ponuro i westchnął malarz.

— N. Panie—rzekł—ja mówię że czy to jest Ninus i Semiramis, czy Salomon i królowa Saba; obraz, arcydzieło i to mi wszystko jedno.

Król w ręce plasnął.

— Bravo! Dietrich, bravo! *e vero!*

Ślicznieś powiedział bardzo, ale tu idzie o katalog, tu idzie o wyrozumienie przedmiotu, tu idzie o dojście prawdy.

— N. Panie!—odezwał się Dietrich—starożytni malowali prawdę nagą i wychodzącą ze studni; ale mnie się zdaje że ona zawsze tak w szlafroki pozawijana, tak osłonięta i spowinięta, że jój jeszcze nikt na oczy nie widział.

August III aż się za boki wziął od śmiechu.—O! jakież on przedziwny ten Dietrich, jaki on przedziwny!

Malarz skromny już się wyrejterował w tył i schował za drugich.

Na przedzie stał jakoś Anglik Hamilton, znakomity malarz, władający jednak daleko wyborniej pędzlem niż językiem, a do tego dystrakt.

— Panie Hamilton, co wy na to—spytał król—he?

Anglik głową zaczął kiwać, rękę jedną podłożył pod łokieć i sparł brodę na drugiej: myślał.

— Nie wiem N. Panie—rzekł—może to być Salomon i Semiramis, a może być Ninus i królowa Saba!! Wszystko może być.



Król homerycznym parsknął śmiechem z omyłki, inni pry-chali tak jakby na panewkach proch spalał. Anglik pomiarko-wał że się szkaradnie omylił i poprawił się z wielką powagą:  
— Przepraszam, może być Ninus i Salomon, albo Semi-ramis z Sabą.

Śmiech jeszcze większy, Hamilton się nasrożył i cofnął. Nastąpiło głucho milczenie.

August spojrział po zgromadzeniu prawie zafrasowany.

— Tylu tu widzę mężów uczonych, panowie, nie może być ażeby żaden z was nie miał o obrazie zdania. Proszę o nie, bardzo o nie proszę, moi panowie; będę za nie wdzięcznym.

Professor Lippert pokiwał głową.

— N. Panie!—rzekł—obraz nabyty jest od rodziny Ta-naro.

— Tak—rzekł król—i mieliśmy z nim kłopotu nie mało; gdyby nie ten poczciwy ks. kanonik Crespi, któremu trzeba po-słać za to wazon porcelanowy, gdyby nie on nie miałbym tego obrazu. Tak jest, przywiązywano do niego cenę nadzwyczajną, niedosyć że chciano 10,000 skudów, co się dało zreduko-wać do 3,000 dukatów w złocie, ale młody markiz de Tanara zaprotestował przeciw sprzedaży téj familijnéj pamiątki, tego drogiego klejnotu i nie chciał go wypuścić. Kanonik Crespi musiał u J. Świętobliwości Ojca Świętego wyrabiać breve, a *Accademici Clementini di Bologna*, wydali zgodne świadectwo, że to dzieło Guida. Ale cóż mówisz? professorze....

— Familia de Tanara, musiała mieć tradycję: wszak dla niej obraz był malowanym! Akademy Clementini musieli w świadectwie wyrazić przedmiot.

— *Evero!*—zawołał król żywo.—Tradycya mówi o Salo-monie, świadectwo o Salomonie, ale jest kwestya, jest kwestya.

Wszyscy znowu oczy zwrócili na obraz i stali niemi, Brühl się skłonił.

— N. Panie!—odezwał się—nie ma tu między nami znaw-cy nad W. Kr. Mość, a co nasz pan wyrzeczce, to będzie sądem ostatecznym.

Król głową potrząsł i chytrze się jakoś uśmiechnął, sze-pnąwszy cicho:

— Ja nie powiem!!

Położenie dworaków stawało się niesłychanie przykrém. Z tym dowcipem jaki go charakteryzował, minister odgadł swego króla, milczenie według niego, nie mogło co innego znaczyć nad Ninusa i Semiramidę.

— N. Panie!— odezwał się po namyśle—gdybym miał odwagę przyznać się do mojego zdania!

— Miěj ją! proszę!—wtrącił król.

— Sądzę że i familia zapomniała i akademicy się omylili: to Ninus i Semiramis.

Wszyscy spojrzeli na ministra, podziwiając jego odwagę. Król rozpromieniony w ręce uderzył.

— I ja tak trzymam!—zawołał wybuchając nareszcie.

Szmer się rozległ pomiędzy przytomnemi. Tak jest Ninus, niezawodnie Ninus i Semiramis, powtarzano.

Wejrzeniem objął król zgromadzenie, nie było najmniejszej opozycji; wszyscy teraz utrzymywali, że to nie mógł być Salomon ale Ninus, że niepodobieństwem było aby w kobiecie malarz Sabę stworzył nie Semiramis. Tylko Dietrich ten szyderca, co umiał wszystkich mistrzów malować a sam sobą nie był nigdy, uśmiechał się dziwnie i krył w kątku.

Professor Lippert wystąpił na poparcie z erudycją, Heinecken z prawdopodobieństwem, Menge z charakterystyką.

Król usiadł w krzesło uspokojony zupełnie i rad z siebie.

— Panie dyrektorze Heinecken, proszę obraz w katalogu poprawić, aby mi tam nie stał Salomon z Sabą, rozumiesz. Dzięki Bogu, ważne to pytanie stanowczo rozstrzygnięte zostało: dziękuję panom.

I August uprzejmie ręką ich pożegnał. Z kolei tedy od najstarszych począwszy, szeregiem poczeli się kłaniać majestadowi i schyleni tyłem cofać do drzwi, za któremi każdy dopiero swobodnie odetchnął.

Dietrich popatrzał po towarzyszach szydersko nieco, skłonił się i pierwszy zbiegł ze wschodów.

## VII.

Kawaler de Simonis jakoś nierychło dnia tego potrafił się wydobyć z pałacu Brühlowskiego: zaproszono go tu na obiad

do stołu dworzan i sekretarzy, przy którym prezydował marszałek dworu. Obiad był wytworny, wino doskonałe, humory wyborne i młodzięz potém wybiegła do ogrodu. Max mógłby być zupełnie zadowolonym z przepędzonego tu czasu, gdyby nie jedna okoliczność. Przy stole siadł obok Blumli, ale z drugiej strony, niemal gwałtem się wcisnął młody chłopiec, który mu natarczywie patrzył w oczy i natrętnie szukał jego znajomości. Simonisowi wydało się to jakoś podejrzaném, bo nie mógł w żaden sposób odgadnąć powodu, dla którego ów młodzienc, zupełnie obcy, tak się do niego cisnął. Od Blumlego się dowiedział, że to był Polak, syn dosyć zamożnego szlacheica, który gwałtem niemal go oddał do dworu Brühla. Minister który miał dlań jakieś obowiązki z tych czasów gdy się o szlachectwo polskie starał i Ocieszyńskie sobie pochodzenie wyrybiał, wziął chłopaka do Drezna.

Znali tu wszyscy tego pana Ksawerego Masłowskiego, którego, chociaż ich tam na dworze bardzo było wielu, zwano *Kat exochen* polaczkiem. Zrazu był przyjechał do Saxonii z podgoloną głową, przy szabelce, w kontuszu i żupanie; ale że na dworze Brühla noszono się po europejsku, musiał w końcu przebrać się jak drudzy. Taka była wola pana stolnika, ojca pana Masłowskiego. Na dworze dziwną Ksawerek grał rolę, bo niebardzo tu kogo szanował, głowę do góry zadzierał, żartował ze wszystkich, i choć po francuzku mówił jak hiszpańska krowa, a po niemiecku jak owca hiszpańska, łamanym językiem, nitki na nikiem pocziwój nie zostawił. Kraj mu się wydawał osobliwy, ludzie śmieszni, stosunki dziwaczne, po szlachecku się zapatrując na to ramionami tylko ruszał i drwił.

Blumli który się go i obawiał i nie lubił, bo był śmiałek okrutny i zawali droga, ostrzegł zaraz Simonisa z kim miał do czynienia, żedy się miał na ostrożności, bo Masłowski do niko-go nie zwykł się był czepiać darmo.

Kawaler więc grzecznie się go zbywał przez cały obiad, sądząc że chłodem odpędzi. Nie było to tak łatwo, Masłowski kroku od niego nie odstał, a gdy się przenieśli do ogrodu i Blumli odszedł nieco, pochwycił Simonisa jak swojego. Tym razem Szwajcar sądził iż łagodnością i uprzejmością go rozbroi przestał się więc wyrywać.

Masłowski był słuszny, blondyn, z nosem maleńkim garbatym a ustami wydętymi i oczyma wysadzonemi na wierzch. Okrutna się buta malowała w tój twarzyczce. Śpiczastą nieco głowę z dziwnie do góry zaczesanemi włosami, nosił zawsze zadartą. Mały wąsik blond, który lubił pokręcać, i którego dla stroju francuzkiego nie chciał poświęcić, zdobił mu wargę wierzchnią.

— Cóż szanowny kawalerze—odezwał się do ogrodu wyszedłszy Masłowski—jak się panu ten niemiecki kraj podoba?

— A! bardzo—rzekł Simonis.

— Bardzo? ja się panu przyznam że mnie niekoniecznie. My oba jesteśmy republikanie, a to przecie zupełnie co innego; szlachty ani widać: sami lokaje i urzędnicy.

Kawaler zmilczał nieco.

— No i lutry mało nie wszyscy—rzekł Masłowski—w katolickim kościele dzwonu powiesić nie wolno, jak u nas na bożuicy.

Ruszył ramionami, rozśmiał się pokazując białe zęby i dodał:

— Ale dziewczęta ładne!

Simonis, gdy raz na tę wpadli materję, wcale nie rezonującą i nieprzedstawiającą niebezpieczeństwa, odetchnął wolniej.

— Ja tu mało kogo widziałem!—rzekł.

— Ale! ale!—przerwał Masłowski—nie tracisz pan czasu. Wszakże pan już znasz najpiękniejszą ze wszystkich i niemal ją codzień widzujesz.

— Ja? kogo?—spytał zdziwiony Simonis.

— Ano pannę baronównę Nostiz, która jest przy królowej frejliną. Oprócz tego juści pan i z naszą hrabiną zabrał pono znajomość.

Szyderski uśmiech Masłowskiego, pokręcającego wąsa, nie podobał się Simonisowi.

— Hrabina jeszcze hoża baba—mówił szlachcic—wcale niczego jak się wyczupurzy; a Pepita choćby na sobie i listka babuni Ewy nie miała, byłaby jak anioł ładna! Tego to panu zazdroszczę, że ją tam u stryjenki widzujesz...

— Ale zkądże pan o tém wiész?—spytał Simonis.

— Ja? widzi pan—mówił szlachcic—ja tu nie mam nic do roboty, ojciec mnie oddał dla przetarcia się i przecieram

się... Patrzę, szpieguję i kpię. Ciekawy jestem! Cóż mam robić? Do czego to próżnowanie nie doprowadzi. Wszystkie ładne panny znam, a co Pepitę choć niemkę, przyznaję się że uwielbiam. Gdyby nie była taka dzika, jabym ją nauczył po polsku.

Simonis się uśmiechnął.

— Mówiłeś pan że mi zazdrościsz, ale doprawdy nie ma czego, ja ją ledwie kilka razy widziałem

— Kilka razy! ale swobodnie! a ja tylko ją oczyma gonić muszę; rozmowy ani sposobu. Śliczne stworzenie—dodał Masłowski wdychając.

— Kochasz się waćpan w niej?—spytał Simonis szydersko.

— A nie wiem--rzekł Masłowski—ale bardzo być może iż... wypadnie się zakochać. Prawda że niemka, no, ale szlachcianka i taka bestya ładna i niegłupia.

— I śmiała—dodał Simonis.

— A to nic nie szkodzi, ja sam śmiałe lubię. Przyznam się panu—przebaknął Masłowski—że tój pannie winienes zem się tak mu do boku przyczepił. Chciałem was ostrzedz. Jakby wam ochota przyszła koperczaki do niej stroić, to między nami byłaby awantura.

Simonis stanął i popatrzał mu w oczy.

— Cóż to ma znaczyć?—spytał śmiejąc się.

— Czy pan kiedy w życiu spotkałeś szlachcica polskiego?

— odparł drugim pytaniem Masłowski.

— Nie—rzekł Szwajcar.

— No, widzi pan, co kraj to obyczaj; my szlachta naszój rzeczypospolitój od niewiem wielu lat mieliśmy i mamy przywilój sami tylko bronić kraju. U nas chłopów w wojsku nie ma: oni sobie ziemię orzą. Otóż od dzieciństwa nawykłszy do szabli i żołnierki, mamy ten nałóg, że gotowiśmy się bić o lada co. Co robić! dłonie świerzbią!

— A!—rzekł Simonis—ja tóż uie źle się fechtuję i strzelam.

— A ba! daj ty mi pokój z fechtunkiem—rozśmiał się Masłowski—ja z różnami waszemi nie mam do czyuienia, choć i tegom się uczył; u nas na szabelki. To mi gra. Szpada to śmiech, a szablą jak płatnie...

Zamachnął Masłowski.

— Ale dajże mi waćpan pokój, mój rycerzu szablowy—odezwał się ze śmiechem Simonis—ja ci przecież w drogę nie wchodzę.

Masłowski podał mu silną i szeroką dłoń.

— Widzisz kochany kawalerze—rzekł—mnie się zdaje że starzy i młodzi, kto żyw w baronównie kochać się musi.

Ruszył ramionami i począł poświstywać.

— Ja kłótni, uchowaj Boże nie szukam, ale się napieram do przyjaźni waćpana. Wiész dlaczego?

— Cóż to takiego?

— Oto dlatego że mi ta przyjaźń da sposobność uczyćszczać na trzecie piętro kamienicy, w której na drugim ta dzieweczka czasem przebywa. Mogę obrachowawszy się dobrze, idąc spotkać ją na wschodach.

Simonis się śmiał, śmieli się oba.

— Żeby ojciec wiedział o tém--rzekł Masłowski—dopierożbym się miał zpyszna. Gdy mnie na to przecieranie się w świat wyprawiał, choć mi to nie było do smaku wcale, zapowiedział najuroczyściej, że jeśli się w Saxonii z babami wdam w amory, sto bizunów na kobiercu.

Simonis aż odskoczył.

— Kochany Szwajcarze—rzekł seryo bardzo Masłowski—u nas sto bizunów jest porcyą bardzo umiarkowaną. Ja ci ręczę że dają i po dwieście. Zaś mniej dwudziestupięciu, szkoda zakasywać rękawy i szarawary.

Ale z drugiej strony, bracie republikaninie—mówił dalej pan Ksawery—trzeba wiedzieć że u nas wielcy panowie kiedy im przyjdzie fantazyja skórę trzepać, często płacą potem po dukacie od bizuna.

Simonis słuchał już nierozumiejąc.

— Co chcesz—ciągnął dalej Masłowski—u nas świat inny, jakże ty chcesz ażeby mi się tu podobało. Wcale inne obyczaje: tu wszystko w kątku i pocichu.

Schylił mu się do ucha.

— Słyszałeś o Königsteinie? o Pleissenburgu, o Stolpen? Tam i naszych dużo szlachty rekolekcyje odsiadywało. W Stolpen król starą kochankę posadził, gdy mu się sprzykrzyła, a do Königsteinu codzien wożą. U nas tego niema. Prawda, tu

świat polerowany bardzo, ale gęby na kłódki pozamykane. U nas mówić wolno co komu ślina do ust przyniesie; u nas, ale ty tego nie zrozumiesz kawalerze de Simonis. My ludzie trochę dzicy, prawda, ale u nas każdy Pana Boga chwali jak chce, co ma na sercu to wypowie i sejmy mamy, na których się wykrzyczyć można co dusza zapagnie.

— Tak, o sejmach słyszałem—odparł Simonis—u was jeden szlachcic zrywa sejm gdy zechce.

— Tak jest i jeżeli go w miejscu nie rozsiekają, to mu nic.

Kawalerze de Simonis—przerwał nagle Masłowski—czy nie myślicie wy iść do domu? jabym was rad przeprowadził.

Rozśmiał się Szwajcar, wymawiając od tego honoru, a że Blumli nadszedł, skłonił się Masłowskiemu i wymknął z nim razem.

Blumli chmurną miał twarz.

— Chodź do mnie—rzekł—tu niebezpiecznie mówić, a do pomówienia mamy.

Z ogrodu więc przez pałac znowu się dostali na Nowy Rynek i skierowali ku mieszkaniu Blumli.

Tu gdy się znaleźli sami, tak że ich podsłuchać nie było można, Szwajcar schylił się do ucha Maxowi.

— Cóż dziwnego krąży w powietrzu—rzekł—jakieś pogłoski chodzą niezrozumiałe; Brühl udaje wesołego, tai się z czémś, ale niespokojny. Ludzie co od granic jadą, wciąż plotą o wojsku pruskim jakoby już zbliżającym się trzema korpusami ku granicom naszym.

Dopóki się życie ciągnęło jak było, nieraz sobie niem człowiek sprzykrzył; teraz, gdyby uchowaj Boże na wojnę się zaniosło, co będzie z nami?

To jedno—mówił Blumli—ale nie mniej trwoży, że u nas zdrajców się i szpiegów pruskich namnożyło. Najmniejsze podejrzenie, człowiek zginąć może.

Simonis udał bardzo obojętnego.

— Feulner tam coś do Berlina donosił, wzięli go na Koenigstein, a dziś, ale zachowaj to przy sobie, osób nie znasz, dziś uganiają się za Mentzlami, z których jeden podobno depesze Prusakom wydawał. Oba Mentzle zniknęli. Brühl się wścieka, bo długo nie wierzył w zdradę, bo Flemingowi odpisywał

że to nie może być, a jeśli depesze nasze ma Fryderyk i wie co myśmy mu życzyli, no to około nas źle być może.

Blumli westchnął.

— W Dreźnie oprócz trocha gwardyi, żołnierza i załogi nie ma; co nam pomoże forteca i mury, kiedy na nich dział nie widać. Myśmy do baletu gotowi choć jutro, ale do wojny ani za roku.

— Ależ wojna tak rychło przyjść nie może.

Towarzysz ruszył ramionami.

Wtém hałas posłyszeli za sobą i Blumli odciągając Simonisa ustąpił z drogi spostrzegłszy dwór, który w wielkiej paradzie ciągnął na strzelanie do celu do bażantarni.

Na przepysznych koniach strzelcy nadworni, myśliwstwo, jägermeisterowie, dalej król, synowie jego starsi, królowa, kilka pań, Brühl i jego żona, generałowie, dygnitarze; wszystko to poważnie bardzo ciągnęło z tęp przejęciem się uroczystością zajęcia, jakby przystępować miano do niesłychanej ważności dzieła. Na twarzy króla pogodnej, zamyśloniej, było jakieś Nemrodowskie namaszczenie, strzeleckie jakieś niby kapłaństwo.

Biada temu, ktoby patrząc na to odważył się ironicznym uśmiechem tę kalwakatę powitać: Brühl srodzeby ukarał zuchwalca. Gawiedź coprędzej ustępowała z drogi a czapki i kapelusze leciały z głów; dworska służba przodem jadąca czuwała ażeby ulice były oczyszczone.

Procesjonalnie tak, zwolna przeciągnęli wszyscy w milczeniu, a dwaj Szwajcarowie z odkrytymi głowami zatrzymali się dając orszakowi miejsce. Mimomolnie porównywał Simonis Sans-Sou-i do Dreżna i sam nie wiedział coby był wybrał. Tu w istocie był majestat jakiś, tam tylko siła pewna siebie i szyberska; tu dziecięca powaga, tam naigrawający się z całego świata cynizm z kijem w rękę. Łatwo było przeczuć, że człowiek który uroku tego nie poszanuje, bezsilną pychę zwycięży. Lecz przyznać trzeba było, iż dla oka ślicznie się to wydawało, a etykieta dworu, wielkiego mu dodawała blasku.

Gdy dwór przeciągnął cały, milcząc dwaj młodzieńcy poszli za nim ku domowi Blumli i wkrótce oba zamknięci w nim gwarzyli przy butelce wina.

(Dalszy ciąg nast.)



# PRZESILENIE SPEKULACYI W 1873 ROKU.

C Z Y L I

## KRACH WIEDEŃSKI.

PRZEZ

*Aleksandra Oskierkę.*

(Dokończenie).

### IV.

Widzieliśmy tedy że w kraju, który swą papierową cyrkulacją pieniężną odosobnionym był od europejskiego rynku, i nie miał z nim związku normalnego; w kraju, którego ludność mało w ogóle wykształcona a najmnieję zdatna do ekonomicznych kombinacyj, niebogata téż i nieprzemysłna; że w tym kraju, pewna grupa ludzi przedsięwzięta rozwinąć i rozbudzić ducha przedsiębiorczego, rozwinąć przemysł i obrót, nie bez myśli téż wzbogacenia własnego. Wszystko to wbrew prawom ekonomicznym, które nie znają sztucznego tworzenia się wartości, a opierając się na nadziejach niepewnych: ściągnięcia kapitału z zagranicy i poruszenia do pracy wszystkich sił roboczych kraju; używając najrozlicniejszych sposobów które miały to wszystko w ruch wprowadzać, okazali oni w prawdzie tego, że jakaś liczba ludzi dla siebie kolosalne fortuny zgromadziła, ale dobrobyt i fundusze kraju całego na niezmierne wystawili zniszczenie. Dokazali zaś tego, z pomocą awanturników z całego kraju i niemal z połowy Europy zwabionych do Wiednia na lep łatwego zysku z pośredniczenia w handlu papierami, obiecującemi ogromne dochody, opierając się przytém na pismach publicznych, które sobie zjednali. Potrafili oni obalamucić ludność całą, że wszystkich wciągnęli w tę niby robotę około podniesienia bogactwa krajowego, każdemu obiecując znaczne zyski i czasowie nawet dając możność osiągnięcia tych zysków. Obalamucenie publiczności dochodziło do tego, że wszyscy prawie bez wyjątków, od arystokratycznych salonów do przedpokojowych zakątków, i do ostatniego komissionera na rogu ulicy stojącego, od dyrekcji wielkich Towarzystw kolei żelaznych, i poważnych finansowych i kredytowych instytucyj do ostatniej przekupki na rynku handlującej; wszyscy nieśli swe pieniądze aby brać udział w korzyściach: wszyscy téż potém na tém stracili, a wielu zupełną ruiną ten szal przypłaciło.

Zeby tak wielką liczbę osób wciągnąć w ruch spekulacyjny, i utrzymać ich tak długo wśród tego ruchu, trzeba było używać roz-

maitych sposobów i środków, którym przypatrzeć się bliżej będzie zapewne rzeczą zajmującą.

Mnóstwo małych banków, i kantory giełdowe w niezliczonej ilości, anonsami po dziennikach w których nieszczędzono najwspanialszych obietnic, i ofiarowano ogromne procenta, wciągają niedoświadczoną publiczność, bo tutaj każdy, przynosząc najmniejszą nawet ilość pieniędzy może brać udział w tém polowaniu na szczęście. Większe banki otwierają każdy dla siebie domy wekslowe, żeby wejść w związek z najszerším kołem publiczności, małemi kwotami ściągając pieniądze, i udzielać zato tych złotych papierów, które codzień drożej się opłacają. Jeden tylko Bank Narodowy nie ulega temu popędowi a jako najpotężniejszy zakład finansowy dokłada wszelkiego starania, aby środki któremi rozporządza nie mogły łatwo dostawać się na giełdę.

Pożyczki na zastaw wszelkiego rodzaju papierów, nazywają się w Wiedniu *Kostgeschäfft*, t. j. branie papierów na *kost* (na przekarmienie, na przechowanie). Otóż w tych czasach *kostgeschäfft* przybiera rozmiary niesłychane i niewidziane dotąd, staje się źródłem dochodu dla wszystkich. Nietylko wszystkie stare i młode banki zajmują się tym interesem, ale i najpoważniejsze firmy handlu i przemysłu, dyrekcye Kolei Żel. nie wahają się brać w zastaw wszelkich najmniej pewnych papierów. Banki i kantory same biorą pieniądze na ogromne procenta, wprowadzają w użycie bilety kassowe (*cassenschein*) wydane za złożoną gotówkę i płatne za okazaniem, depozytów nawet używają na ten interes. Przy takiém rozwinięciu interesu zastawowego łatwo było grę tę ciągnąć bez końca, kupić akcye, zastawić je, za pożyczone pieniądze kupić drugie, i znowu zastawić i znowu kupić i t. d. póki udawać się będzie ta sztuka ekwilibryczna. Tymczasem na wszystkie podwyższać cenę, forsować sytuację o ile sił starczy, i starać się zręcznie odprzedawać te, na których pomimo ogromne procenta od pożyczek, zarobić jeszcze można, a nawet i niesprzedając obliczać tylko różnicę w terminach umówionych, i odbierać takową w gotówce lub akcyach. Tenże *kostgeschäfft* był zarazem główną podstawą, główném ułatwieniem założycielstwa, żeby nie tak łatwo przyjmowanie na zastaw nowo kreowanych papierów, nie długoby się powodzić mogło *gründerom*. Prawdziwych nabywców na ich towar, takich którzyby kupowali akcye w celu rzeczywistego ich zatrzymania, coraz to mniej było; i liczba nabywców zmniejszała się w stosunku odwrotnym do ilości ukazujących się często nowych papierów; im więcej zakładowych Towarzystw, tém mniej nabywców t. j. akcyonaryuszów prawdziwych dbających o interes i jego prowadzenie, a nietylko o chwilowy kurs akcyj.

Nadużycia kredytu osobistego zjawiać się zaczynają w rozmiarach kolosalnych, weksel przestaje już prawie być tém czém jest w rzeczywistości, t. j. rezultatem interesu dokonanego, a weksle podpisują się tylko dla dostania gotowych pieniędzy. Firmy poważne

które długoletnią pracą zyskały kredyt za granicą, nie wahają się w razie braku gotówki w kraju wystawiać weksle na zagranicę i ściągać w ten sposób ztamtąd pieniądze, które idą na kostgescheft. Mało tego, właściciele wielkich fabryk przestają dbać o nie, pieniądze potrzebne do obrotu, z kass swych zabierają i używają ich na zastawowy interes, kupcy z prowincyi inkasso swe przesyłają do Wiednia do kantorów giełdowych, i przed 1-ym miesiąca ściągają je ztamtąd dla wypłat, a po pierwszym znowu tam odsyłają.

Koncessye na przedsiębiorstwa, dostawały się bez wielkich trudności; zasadą było że rząd dawał koncessye, a tém samém brał niejako moralną odpowiedzialność, jeżeli nie za prowadzenie interesu, to za prawność i prawość jego egzystencji. Tymczasem w wydawaniu koncessyi nie było zgoła żadnego systematycznie ułożonego planu ani porządku. Komissya złożona z urzędników delegowanych od wszystkich ministrów, zajmowała się rozpatrywaniem projektów, zatwierdzaniem ich i upoważnianiem; działała ona wedle swego własnego przekonania, a może i wedle instrukcyi ministeryalnych, ale te nie były nikomu znane. Działo się tak że komissya, przez pewien przeciąg czasu wydawała koncessye każdemu kto ich żądał; potem znowu niby zmordowana czy przekonana że już ich dość wydała, zawieszala swoje roboty, i wszyscy czekać musieli, lub téż wszystkim odmawiała, żeby po kilku tygodniach znowu do dawniej powrócić łatwości. Wczasach podobnych fery koncessye dawniej udzielone stawały się przedmiotem handlu, nieraz bardzo drogo opłacanym.

Dodać do tego należy, że prawodawstwo o towarzystwach akcyjnych w Austrii było zupełnie niejasne, niedostateczne i chaotyczne. Nikt z pewnością nie wiedział co tu jest prawem a co bezprawiem. Tak samo giełda żadnemu prawnemu porządkowi nie ulegała, każdy kto mógł opłacić bilet giełdowy, był tam przyjmowany, interesa odbywały się ustnie bez żadnego pisania, bez prawnych form i ograniczeń. Terminów likwidacyi obowiązujących żadnych nie było, interesa robiły się z dnia na dzień wedle upodobania stron. Takie położenie rzeczy sprzyjało wszelkiemu oszustwu i szalbierstwu, i w czasie przesilenia wykazały się dopiero te wszystkie niedostatki. Ten kostgescheft, w ciągu półtora roku takie ogromne wszystkim przynoszący korzyści, nie miał prawnej podstawy w kodeksie handlowym. Banki korzystając ze swych statutów mogły sprzedawać zastawione u nich papiery dla wyrczenia swój należności, ale prywatni ludzie musieli udawać się do sądów, wedle porządku cywilnej procedury, o dozwole nie sprzedania zastawu. Bilety kassowe, których wiele banków wydało na summy o kilka razy przewyższające swój kapitał, okazały się być prostemi karteczkami, i przy konkursach musiały ustępować weksłom prawa pierwszeństwa. Wszystkie te niedostatki potem się dopiero wykazały, tymczasem wszystko się udawało, nikt nie pytał o prawo, swoboda ekonomiczna przez wszystkich wysoko się ceniła, a chcieć wprowadzać jakiś porządek w tym haosie i za-

męcie, nazywało się wtedy ścieśniać swobodę, hamować postęp, utrudniać rozwój bogactwa narodowego.

Wielka mnogość *Maklerbanków* i *Baugesellschaftów* stanowi szczególnie znamię cechujące te czasy. Banki maklerskie już pierwój w Berlinie znaczne przynosiły zyski, i na wzór ich pierwszy w Wiedniu zjawia się w styczniu 1872 r. *Wiener Maklerbank* założony przez bank Anglo-Austryacki, z kapitałem 4 mil. fl. miał on wyłącznie zajmować się interesami *kurtażu* i *reportu*. Był to próba wprowadzenia assocyacji na pole czynności maklerskiej; teoria nie mogła tego pochwalać, bo interes maklerski wymagający koniecznie interwencji osobistej, nie zdaje się poddawać warunkom stowarzyszenia akcyjnego, jednakże jako próba inaugurowana przez silną instytucję kredytową nic złego w sobie nie miała. Zaraz jednak zaczęły powstawać inne także same banki, z podobnym założeniem, i to tuzinami. Naturalnie do prowadzenia interesów na serwo zabrakło im pola i materyału, wszystkie zarówno nie chciały pamiętać o swym celu, i prędko wyrodziły się w domy gry. Same zaczęły napędzać ażro, a akcje ich przed ukonstytuowaniem Zakładów nawet stawały się przedmiotem ażioterstwa. Do kierunku tych nowych instytucji używano arystokratyczne nazwiska, które dawały się w to wciągając; ale obok tego zaciągano téż imiona znanych szczęśliwych graczy giełdowych, których zato drogo opłacano. Bezgraniczna rozpusta giełdy wiedeńskiej była dziełem tych *Maklerbanków*. Inne wszystkie banki stare i nowe grały sobie, ale obok gry prowadziły i prawdziwe interesa, więc miały czém powetować straty często na grze ponoszone. Tutaj nie było już żadnych innych interesów, nie było innego źródła dochodu, jakoż razem z przesileniem wszystkie one pobankrutowały. Nowo emitowane wartości sprzedawały te banki rozmaitym spekulantom, ale sprzedawały pod warunkiem, że same brały je od nich w zastaw, za ogromne procenta, które to i stanowiły zyski tych banków. Same nie mogły wszystkich zastawów utrzymać, i oddawały je dalej na koszt innym bankom bogatszym w środki; gdy nadszedł dzień fatalny musiały depozyta swoje nazad odbierać, w wysokich nominalnych cenach po jakich je oddawały, same zaś od swych klientów ceny tych papierów odebrać już nie mogły, bo tam nie było brać z czego. Zdarzało się że członkowie rad nadzorczych, dopuszczali się niesłychanych nadużyć. Otwierali sobie pod obcym nazwiskiem conto w swych własnych bankach, składali jako depozyt papiery których pozbyć się nie mogli, i opierając się na tém brali pieniądze akcyonaryuszów, w razie wygranej sobie zatrzymując korzyści, w razie przegranej zapisując ją na stratę Towarzystwa.

Drugi symptom szerzącej się gorączki, to Towarzystwa Budowlane. Pierwsze z nich: *Allgemeine Oester Baugesellschaft* założone w roku 1869, niewątpliwie odpowiadało rzeczywistój potrzebie, bo wznosząca się ciągle cena najmu mieszkań, i wzrastająca ludność stolicy, otwierały tu szerokie pole do energicznej i długiój czynności,

która mogła zapewnić znaczne i zupełnie słuszne zyski, a jeżeliby ceny najmu nie zniżyła, to przynajmniej zapobiegłaby bezmiernemu jej wzrastaniu. Ale tutaj inaczej rzeczy poszły, towarzystwa zaczęły się mnożyć bez końca, a żadne nie myślało o budowaniu na seryo; używało go tylko za pretekst: istotnym interesem była spekulacja na cenę domów i gruntów, a nie rzadko i spekulacja na kurs własnych akcji. Dość było wymyślić firmę i wyrobić koncesyją, a zaraz który z banków emisyjnych płacił za nią drogo; dalej za wysoką cenę kupował kawałek gruntu pod zabudowania, lub dom jaki do zwalania; stawiano tam trochę rusztowań i ofiarowano to za podwójną albo i potrójną cenę nowo formującemu się towarzystwu i na tym gruncie opierano działanie tego towarzystwa. Znaleźli się członkowie rad nadzorczych, którzy sprzedawali swym towarzystwom własne swoje grunta lub domy za niesłychane ceny; widziano same towarzystwa oddzielające ze swego majątku kawałek ziemi lub pewną ilość materiału budowlanego, i na tej podstawie zakładające nowe towarzystwa. Z końcem roku 1872 było takich towarzystw 19. Za zbliżaniem się wystawy spekulacja na domy i grunta coraz bardziej przechodziła w gorączkę i sprowadzała skutki przeciwne założeniu, bo razem z ceną domów i ceny najmu mieszkań ciągle się wznosiły. Pierwszy kwartał 1873 r. zrodził 15 nowych towarzystw budowlanych, kapitał wszystkich razem wynosił 250 mil. fl., a że wszystkie operowały jeszcze za pożyczone pieniądze, przynajmniej na drugie tyle, stanowił więc ogromną sumę 500 mil. fl., przeznaczoną na spekulację. Niedosyć na tém, przesilenie majowe zastało jeszcze nowych koncesyji na 66 towarzystw budowlanych, których nieuspieszono sformować i urządzić. Jakież to wszystko miało podstawy? Cały Wiedeń z przedmieściami liczy 20,000 domów, w średnim przecięciu corocznie przybywa ich 250, obliczając zaś wszystkie środki i siły jakimi można rozporządzać w Wiedniu i okolicach do wznieszenia budowli t. j. siłę roboczą, zapasy, wyrób materiałów i t. d. trzeba by 2 do 3 wicków na zabudowanie wszystkich tych gruntów, które przy wybuchu przesilenia były w ręku spekulacyi.

Widząc takie rozognienie i roznamiętnienie spekulacyi, ministerium parę razy próbowało obostrzyć trochę prawidła emisyji: w marcu i w lipcu 1872 r. wydało rozporządzenia, żeby nie dozwalać emisyji nowych, póki dawne nie będą całkowicie wpłacone; żeby nie dopuszczać innych akcji dla interesów kredytowych jak po 200 fl. całkowicie wpłaconych, a dla towarzystw przemysłowych po 200 fl. z wpłatą 40% lub po 100 fl. z wpłatą całkowitą; żeby komisarze rządowi przy towarzystwie dowodnie przekonywali się, czy pieniądze na konto nowych towarzystw wnoszą się rzeczywiście do kass starych banków; żeby baczną zwracali uwagę na układanie bilansów; żeby nabywanie własnych akcji przez towarzystwa uważali za zmniejszenie kapitału, i niezwłocznie o tém zawiadamiali ministra finansów. Nie wiele to wszystko pomogło: liberalna giełda prędko sobie

wytłumaczyła, że to tylko rozporządzenie ministrów, a nie prawo; a więc że to dowolność naruszająca prawo i swobody handlowe, że można a nawet należy tego nieśłuchać. Jakoż nikt nie spełniał tych przepisów, a komisarze rządowi albo nie mieli dość energii żeby się oprzeć czynnościom dyrektorów i rad nadzorczych, albo też nie mieli dość znajomości rzeczy i dowcipu, żeby się poznać na wszystkich rafinowanych wybiegach gründerkich.

Okoliczności postronne przyczyniały się jeszcze do podtrzymania tego szału. Obiecywano sobie i wmawiano, a na koniec cała giełda i niemal cała publiczność uwierzyli temu święcie, że skoro miliardy francuzkie przyjdą do Niemiec, Niemcy nie mogąc ich wszystkich użyć u siebie, pośpieszą zabrać z giełdy wiedeńskiej znaczną część papierów. Kiedy na pożyczkę francuzką podpisano 44 miliardy, i oznaczał się wyraźniej czas w którym te summy przejdą do Berlina, nadzieja gründerów coraz się wzmacniała i spekulacya już granic nie znała; bo jeżeli nie Niemcy, to ktokolwiek kupi papiery, kiedy takie masy kapitałów znajdują się w Europie. Tymczasem w skutek zamierzonej w Niemczech zmiany monety srebrnej na złotą; złoto przychodzące z Francyi nie szło w obrót, a koncentrowało się w piwnicach rządowych w Berlinie, znaczna część kontrybucyi wypłacona była w wartościach handlowych, w wekslach, w papierach przemysłowych, i tytułach renty niemieckiej; a to co przyszło rzeczywiście, bądź w pieniądzach, bądź w postaci swobodnego kapitału, sami Niemcy oddawna już zeskoutowali, bo spekulacya w Berlinie, nie gorzej się rozwijała od wiedeńskiej, tylko tam w skutek innych miejscowych okoliczności, przesilenie nie doszło do tak strasznych rozmiarów.

Wystawa wiedeńska roku 1873 miała też ściągnąć ogromną liczbę cudzoziemców, a na pieniądze które oni z sobą przywieźć mieli, liczone jak na swoje własne. Obliczano jaką to może przynieść sumę, mówiono że 80, że 100, inni że 200 mil.; przynajmniej wszystko to miało przybyć w złocie, nietylko więc wzbogacona ludność miejscowa pośpieszy kupować papiery na giełdzie, ale i taka ilość złota zwieziona do Wiednia, stanowczo wpłynie na poprawienie kursu pieniędzy papierowych, i waluta ureguluje się sama przez się.

Niezwyčajny ten rozpęd spekulacji i roznamiętnienie ludzi biorących w niej udział, w naturalnym rzeczy porządku nie mogło się długo przeciągać; żeby więc to podtrzymać, i doczekać czasu kiedy przyjdą te upragnione pieniądze z zagranicy, potrzeba było coraz to silniejszych podbudzających środków. Wykwintna wyobraźnia gründerów umiała podołać temu zadaniu. Publiczność zaczynała już wstrzymywać się od kupowania nowych papierów, a nawet korzystając z nadmiaru wysokich kursów, dawniejsze które pierwiej nabyła zaczynała odprzedawać na giełdzie, t. j. rzucać je napowrót w ręce spekulantów, którzy dla samego podtrzymania kursów musieli je kupować. W takiej pozycji wymyślono i w kurs puszczone nowe

szalbierstwo: *kartele*. Kiedy dla zatamowania zbyt prędkiego biegu spekulacyi rząd utrudnił wydawanie koncessyi, potrafiiono obejść się bez tego; bank emisyjny odszukiwał starą i zapomnianą koncessyę, potem za pomocą figla nazwanego ukonstytuowaniem towarzystwa, z koncessyi téj formowano nowy bank, z tym nowym bankiem zawierał kartelową umowę *dla powiększenia siły kapitału*, obowiązując się dzielić wzajemnie zyskami, potem swoim własnym akcyonaryuszom wmawiał ojcostwo tego nowonarodzonego towarzystwa i kazał im sobie za to płacić w formie zadatku na nowe akcyę, rzecz zaś cała działa się dla téj właśnie zapłaty, która nazywała się *ażiem* na nowe akcyę.

Świetny ten pomysł kartelów należy do ludzi zarządzających *Oester. Vereins-bankiem*, którzy pierwsi kartelowali nowy bank pod firmą *Wiener Escompte und Credit cassa*; za akcyę niby zapłacone po 80 fl. pobrali zadatku po 55 fl. W czasach tak czułych na wszystko co nosiło charakter wielkości i wspaniałości, przykład ten znalazł zaraz licznych naśladowców. Wszystkie Maklerbanki, wszystkie towarzystwa budowlowe, zaraz kartelowały nowe instytucye, zapewniając swoim akcyonaryuszom prawo nabycia (*das recht zu beziehen*) nowych akcyi, za opłatą mniej więcej wysokiego zadatku, prawo to nazywało się *Bezugsrecht*. Chociaż te nowe banki nie tylko interesów nie robiły i nie rozpoczynały, ale ani lokalów, ani nawet stołu własnego nie miały; niemniej na giełdzie pędzono w górę kurs tych akcyi, a zarazem każde narodzenie nowego banku, witane było znaczną podwyżką ceny akcyi starszego banku czyli rodziciela. Ze podobne arcydzieła sztuki finansowej u nas dotąd nie są znane, i nie łatwe są do dokładnego zrozumienia, przytaczamy tu jako przykład, objaśniający autentycznie prawdziwy opis, jednego z tych licznych wypadków.

Panowie radcy zarządzający *Wiener Wechselbankiem*, kupili za sumę 300,000 fl. od trzech osób starą i zapomnianą koncessyę na *Oester Vorschafs cassacerein*; po tym pierwszym akcie, zaraz pośpieszyli odegrać komedyę, którą nazwali: „Zgromadzeniem ogólnem ustanawiającóm Towarzystwa.” Zebrało się ośmnaście osób, wszystkie należące do *Wiener Wechselbanku*, niby reprezentujących wszystkie 30,000 akcyi nowo zakładowego banku. Jeden z ośmnastu, naturalnie członek rady W. W., powstał i opowiedział reszcie towarzystwa ciekawą historią, jako 30 tysięcy akcyi nowo zakładowego banku, przez ośmnastu tu zebranych ludzi, są opłacone w całości po 200 fl. za sztukę, do kassy W. W. Nikt z ośmnastu nie mógł temu wierzyć, bo każdy z nich wiedział że ani grosza nie zapłacił. Ale był przy tem notaryusz, był i komisarz rządowy, ci nie poszli do kassy przekonać się o rzeczywistości wpłaty, wszelako dla kodeksu handlowego i dla jego stróżów wpłata nastąpiła. I uwierzyła temu publiczność, która nazajutrz w dziennikach czytała opisanie tego zgromadzenia ustanawiającego towarzystwa. Ci ośmnastu wybrali zarazem z pomiędzy siebie dziesięciu na lat pięć, do rady zarządza-

jącej *Oester. Vorschuss cassaverein*, i przyjęli jednomyślnie uwagę kartelową między starszym a młodszym bankiem, której przytem nieuważano nawet za potrzebne przeczytać. Ta komedia była drugim aktem dzieła. Zaraz potém plakaty, inseraty i wszelkie możliwe w oczy bijące anonsa, w których bank rodziciel oznajmiał swym akcyonaryuszom, że zawarł z nowo założonym bankiem umowę kartelową, na mocy której, 25000 sztuk akcyi, oddane zostały pewnemu konsortium po kursie 200 fl. z zastrzeżeniem prawa nabycia dla akcyonaryuszów banku rodziciela, a więc i oznajmia się mu aby korzystaliby niezwłocznie z tego cennego prawa, naturalnie za opłatą zadatku po 100 fl. na akcyę czyli 50% kapitału. To nazwać możemy aktem trzecim. Właściciele akcyi przy najlepszej woli nie mieli czasu nawet namyślić się nad tym interesem, tak prędko akta te szły jeden za drugim: wczoraj było ukonstytuowanie towarzystwa, dziś ogłoszenia, jutro trzeba korzystać z prawa nabycia; jeżeliby który i znalazł chwilę do namysłu, to nie bardzo mógł nie usłuchać wezwania, bo tymczasem akcyę starszego banku na giełdzie w górę pędzono, a on niekorzystając ze swego prawa narażałby te akcyę na zniżkę a siebie na stratę. Skoro upłynął termin nabywania akcyi, nastąpił akt czwarty i najważniejszy ze wszystkich: samo założenie i cel główny tój operacji, podział zysku. Zysk ten wynosił w tym wypadku 2½ mil. fl. Ogłoszenia twierdziły że pewną część zysku weźmie starszy bank, ponieważ zaś akcyonaryusze tego instytutu nabyli nowe akcyę, więc mogli tylko dostać cząstkę tych pieniędzy które złożyli; dalej wedle ogłoszeń druga część tego zysku należała do instytutu młodszego; ale i tutaj ciż sami akcyonaryusze mogli tylko dostać część własnych pieniędzy, bo korzystając z prawa nabycia, za każdą akcyę zapłacili po 100 fl., i innych żadnych zysków nie było, jak te przez nich zapłacone pieniądze, które raz nazywały się zadatkami, drugi raz ażiem. Największa zaś część tego zysku odliczona jako prowizye i tantiemy, dostała się zarządzającym starszym i młodszym bankiem, i owemu konsortium, które niby to 25000 sztuk akcyi przyjęło. Przypadek zapewne zrządził, że we wszystkich tych trzech grupach były jedne i te same osoby, ciż sami ośmnastu, którzy interes rozpozceli. I oto cała historia kartelów.

Kiedy po wybuchu przesilenia, cała ta budowa ażyotażu rozwiała się i naga rzeczywistość na jaw wyszła, wykazało się całe oszustwo kartelów, akcyonaryusze Wiener Wechslerbanku za dywidendę nie otrzymali nawet połowy tego, co zapłacili za prawo nabycia nowych akcyj.

Tymczasem minister finansów domyślając się w tém oszustwa, odrazu wzbronił notowanie na giełdzie akcyi kartelowanych instytutów, z tym jedynie wyjątkiem, jeżeli akcyę starszego i młodszego były całkowicie opłacone. Gründerzy więc widzieli że akcyę te nie mogą mieć żadnej na rynku wartości, spodziewali się wprawdzie że i tu minister ustąpi, że dokażą tego aby akcyę były notowane, jednak-



że minister trzymał się ostro, i notowania nie dopuścił. Ściągano więc pieniądze nie od publiczności, a od własnych akcyonaryuszów, których interesów bronić rady nadzorcze, przez nich wybrane, były przecież obowiązane. Co dziwniejsza, że akcje starsze, były już prawie wszystkie nagromadzone w rękę spekulantów giełdowych, pozapisywane w książeczki kulisierów, pochowane w szafach rozmaitych banków, że sami spekulanci po większej części korzystali z *bezugsrechtu*, bo publiczność już się tych papierów pozbywała i tylko jeszcze na *kostgescheft* udzielała pieniędzy, znosząc je do kantorów giełdowych, i tym podobnych Zakładów.

W drugiej połowie 1872 roku giełda wiedeńska stała się już wyłącznie domem gry, we wrześniu dał się uczuć brak pieniędzy, w październiku trudność ta zwiększyła się; milionowi *kost-lichwiarze* widząc upadek czy osłabienie w natężeniu spekulacyjnego ducha, czekali lepszych czasów i kassy swe zamykali. Wtém przychodzi telegram że z Australii do Londynu wysłano znaczną ilość złota. Radość ogólna, nikomu na myśl nie przyszło zastanowić się nad tém, co to za w pływ mieć może na giełdę wiedeńską, że do Londynu przyjdzie złoto; ale *gründerowie* osądzili że można z tego skorzystać, że dojrzał już nowy peryod kassy, *kost-lichwiarze* szeroko kassy swe otworzyli i na nowo na dobre poszły orgie.

7 listopada doszło już 90,428 układów na 2 mil. sztuk akcji, wartości nominalnej na 452 mil. fl., a obliczono że prawdziwe interesa w tej liczbie stosunku do całości były tylko jak 1 do 13, reszta wszystko była to gra na różnicę. Sam mechanizm giełdowy zaczął ustawać, nikt nie był w stanie dopilnować ładu w tym ruchu gwałtownym; urzędowi agenci giełdowi probowali wstrzymać się, nie przyjmować interesów: ciągle zjawiało się mnóstwo fałszywych rąk. Tak *Giroi Cassenverein* jednego dnia nie mógł znaleźć 625 osób, którym sprzedał 16,000 sztuk akcji; inny bank nie mógł doszukać się adresów osób które u niego kupiły akcji na milion fl. Pomimo to emisya szła za emisją, nikt nie pytał na co one potrzebne, co te towarystwa akcyjne robić będą? a każdy pędził akcje w górę o ile się to dało. Kulisiery zapisywali do książeczek nazwisko nowój firmy i nazwisko giełdowego rycerza stojącego na czele przedsiębiorstwa, i mawiali zwykle: „Na baronie N. zarabiam od kilku miesięcy, więc i teraz zysk będzie.”

Pod koniec roku 1872 zaczęły się zjawiać oznaki przyszłej katastrofy: 14 grudnia wszystko się zachwiało, zaczęto szeptać między sobą że rynek oczywiście przeładowany, że zagranica nie śpieszy z pomocą, owszem usuwa się; 18 przybrało to już charakter zatrważający, znalazło się kilka bankructw, zaczęto wypowiadać zastawy, a 31 grudnia zamknięto giełdę z reportem na 50%. Większa część młodszych banków nie była w stanie opłacić kuponu 2 stycznia, i ścignęły to do 5; o jednym wiedziano że 36% zapłacił za pożyczkę na wypłatę kuponu, akcje jego pomimo to ze znacznym azio się notowały. Trzeba było to wszystko dociągnać do wystawy, i zjawia

się nowy środek upajający; giełda nieszczęsna przyjmuje nową dozę opium, w odurzaniu siebie samą szukając ratunku. Zaczynają się publikować *falszywe bilanse*, w których arytmetyczna dokładność, służy nie do wyjaśnienia, lecz do ukrycia stanu interesów tej niezliczonej liczby towarzystw akcyjnych, przedsiębiorstw kredytowych i przemysłowych. Prawie nie było banku, któregoby bilans nie był sfałszowanym, a działo się to pod okiem i dozorem komisarzy rządowych. A najprzód wszystkie w ogóle przemilczały w bilansach o udziałach jakie miały w rozmaitych syndykatach na sprzedawanie nowo emitowanych papierów; to jedno nadawało już im wszystkim cechę fikcyj, bo wiele banków miało tych zobowiązań na sumę o kilka razy przewyższającą ich kapitał akcyjny. Papiery wszystkie zapisane w kursie 31 grudnia 1872 roku, a zatem sztucznie i nienaturalnie wysokim i utrzymanym na tej wysokości tylko niesłychanym raportem 50%. Pomiędzy dłużnikami miały te banki wartości najgorsze, które nie były w stanie wytrzymać najmniejszego wstrząśnienia. Towarzystwa budowlane jak mogły najwyżej szacowały swoje kawałki gruntów i wszelką własność. Pomimo tak łatwej metody balansowania interesów, niektóre maklerbanki tak swoje zagmatwały, że nie były w stanie ułożyć bilansów; musiały sprowadzać w tym celu biegłych buchalterów z zagranicy, bo miejscowi ludzie, albo nieumie li tego zrobić, albo się lękali sądowej odpowiedzialności, za zbyt już widoczne nadużycia. Wszystko to nie było sekretem dla nikogo, a tembardziej dla samejże giełdy; pomimo to środek ten podziakał skutecznie, tak już wszyscy chcieli samych siebie oszukiwać, byle zyskać na czasie, czekając jakiego nadzwyczajnego wypadku, który może ratunek przyniesie. Jakoż w połowie stycznia giełda się poprawiła znowu, eskonta stanęła 10%, na koszt brano po 5 do 8%; były to już bodaj tylko sztuki potężnych rycerzy gründerstwa, którzy śpieszyli póki można jeszcze rozwikłać kilka korzystnych interesów.

Jak się te interesa wtedy robiły, mogą wskazać dwa następne przykłady. Robiono kolój drutową na górę Kahlenberg pod Wiedniem, a towarzystwo które przedsiębiorstwo to przedsiębrało nosiło szumną nazwę *Oesterreich Bergbahngesellschaft* i miało 2 miliony kapitału. Udało mu się sprzedać za dobrą cenę kilka kawałków gruntu niepotrzebnego pod kolój; zaraz zaczęto głosić o nadzwyczajnych korzyściach tego interesu i akcje 100 fl. poszły w górę, dochodziły już do 260 fl. Panowie członkowie rady nadzorczej, namawiali swych przyjaciół do tak korzystnego interesu i sami sprzedawali im akcje z tém ogromném ażio. Rada nadzorcza Bergbahnu składała się z tych samych osób co i rada Wienera Maklerbanku; otóż w zapędzie spekulacji, szanowni ci radcy sprzedali 13 tysięcy sztuk akcji, których nie mieli. Dla wyjścia z tej drażliwej pozycji, zebra li się jako radcy Bergbahnu i postanowili wydać nowych 20 tysięcy akcji tego towarzystwa, a z nich 10 tysięcy nazwali starami i przy-

sądzili sobie samym jako radzcom Wiener meklerbanku, z tém jeszcze, że bezugsrecht na drugie 10 tysięcy, należał także do tych akcyi narówni ze staremi i to po kursie o 50% niższym od notowanego.

Inny znowu skromny bankczek *Vorortebank* przechrzczył się w tych czasach na *Report und Creditbank* i zakupił sobie na radzców za kilkaset tysięcy florenów dwóch ze znakomitszych rycerzy giełdowych. Ci już w kwietniu, kiedy powietrze na giełdzie było tak ciężkie, że wszystkim zaledwo temu wystarczało, umyśliли założyć jeszcze nowe *Bongesellschaft für Stadt und Land* o 30 tysiącach akcyi, i wziąć na nich ażo 600,000 fl. A że emisyse przez syndykaty już nieszyły, wprowadzili więc nowość publicznego podpisywania. Sami ustnie i za pośrednictwem dzienników, rozgłosili że wszystkie akcyje we czwórnasób przynajmniej podpisane będą. Kulisa wpadła w tę sieć; dniem pierwój rozprzedała akcyje *in blanco*, i podpisała się na znacznie większą ilość aniżeli ich było. Więcej nikt nie podpisał, i wszystkie akcyje znalazły się w ręku kulisy; doprowadziło to do scen gwałtownych i ostatecznie rozbudziło podejrzenie. Jakoż była to już ostatnia emisyja giełdy wiedeńskiej, była to owa kropla przepełniająca naczynie, owa iskra proch zapalająca.

Podobne sztuki uważano dotąd na giełdzie za genialne wynalazki; ale przeniesienie ich z korytarzy i zakątków giełdowych w poważne koła rad nadzorczych, w nikim nie mogło wzbudzić zaufania. Zaczęto głośno mówić, że to już widocznie ostatnie wysilenia téj kassy, która takimi sztukami podtrzymywać się musi. Nadzieje podtrzymywane noworocznymi bilansami zaczęły też upadać, nastawało rozczarowanie ogólne. *Union-Bank* o 35 milionach kapitału, całoroczny zysk wynoszący 9 mil. fl., musiał zatrzymać na pokrycie strat poniesionych na węgierskich kolejach, dywidendy nie było żadnej. *Bank anglo-austryacki* wypłacał dywidendę nowemi akcyjami. Okazały się skutki kartelów; *Austr. Vereinsbank* o 8 mil. kap. wykazał w bilansie 3,32 mil. zysku to jest 36%, a zysk ten głównie z kartelowych emisji, a więc z pieniędzy przez samych akcyonaryuszów opłaconych. *Wiener Wechselbank* podjął w ten sposób dywidendę do 75% lecz jej nie wydał, a zatrzymał całą jako dopłatę do akcyi pierwotnych i jeszcze zażądał po 60 fl. dopłaty. To się działo z większemi bankami, a gorzej jeszcze szły rzeczy pomiędzy mniejszemi. Przypatrywano się bliżej bilansom, fałsze ich zaczęły wszystkim bić w oczy; obejrzano się że udziały w syndykatach nigdzie nie pokazane, przekonano się że i nadzór rządowy nie zapobiega tym nadużyciom. Spekulacyi opadły skrzydła, brakło już wynalazków na zaradzenie tyłu trudnościom; prawa ekonomiczne zaczęły brać górę nad dwoćcipem i wybiegami praktyków, srodze się też na nich pomściły.

## V.

Początek kwietnia 1873 roku, był punktem kulminacyjnym spekulacji i kassy, odtąd już wszystkie papiery przestają iść w górę, trudności się mnożą, niebezpieczeństwo coraz widoczniejszém się staje. Dnia 26 kwietnia ośmnaście niewypłacalności ogłoszonych pomiędzy giełdowymi spekulantami; interes zastawowy znacznie się utrudnia, rozpoczynają się sprzedaże egzekucyjne papierów i ogólnie już uznano że reakcja górę bierze: 28 kwietnia kursa zaczynają znacznie spadać, a 29 kwietnia kilka nowych niewypłacalności.

Pierwszego maja otwarcie wystawy. Nieład w samym gmachu wystawy, zupełny brak tych cudzoziemców na których tyle liczono; najgorsza pogoda i niezwykajne w tej porze roku zimno, wywołujące obawy o urodzaj tegoroczny: wszystko to ostatecznie wszystkich przeraża. Spekulanci ze strwożoném sercem wracają na giełdę z tej ceremonii, która się najkompletniej nie powiodła i tam kursa spadają coraz niżej. Stan niepewności trwa dni kilka. 6-go maja zaczynają mówić o tém, że pieniądze składane po rozmaitych kantorach na bilety kasowe są bardzo niepewne; trwoga zaczyna się szerzyć w całej publiczności. Na giełdzie odzywają się głosy o konieczności likwidowania wielu przedsiębiorstw. 7-go maja kupowanie na kredyt i umowy na termin zupełnie ustają. 8-go popłoch się zwiększa, wygłoszono 110 nowych niewypłatności. Upadek kursu na wszystkich w ogóle papierach notowanych w kurscetlach od 1 kwietnia wynosi już 200 mil. fl.

Tak nadchodzi *straszny dzień 9-go maja*; jeden z kantorów giełdowych, który prowadził ogromne interesa, a klientelę miał między arystokracją i bogatymi ludźmi, ogłasza się niewypłatnym. Wywołuje to wielkie przerażenie, i na giełdzie powstaje hasło ogólne: nie robić żadnych interesów, póki się pozycya nie wyjaśni. Zebrana publiczność zaczyna narzekać na przywódców ruchu gründer-skiego, namiętności się rozogniają, słychać zewsząd łajania, zaczynają ręką używać, dochodzi do bójek. Izba giełdowa na górze radzi nad tém co tu robić, chce już wzywać pomocy policji lub wojska, lecz komisarz rządowy temu się opiera. Na dole w salach improwizowani mówcy odzywają się do tłumu z coraz to nowemi, coraz dziwniejszemi propozycjami; jeden żąda ogólnego moratorium, drugi chce słać deputacją do wielkich banków o pomoc, inny znowu domaga się pomocy od rządu; ale wszyscy wołają że wszystkie zobowiązania muszą być uważane za nieważne, i cały obrót giełdowy zawieszony. Zawieszenie interesów faktycznie już dokonane, a sekretarz giełdowy ogłasza go też formalnie. Na górze tymczasem dalej radzą, i podobnie podają propozycje, a nareszcie wysyłają do ministerstwa finansów z prośbą, aby rząd z kass swoich dostarczył pieniędzy bankom na wypłatę kuponów, i z tém się rozchodzą. Wiadomość ta na dole naj-

gorsze robi wrażenie, zgiełk wzmaga się, ale nie chcąc prowokować interwencji siły zbrojnej, wszyscy się rozchodzą. Wieczorem izba giełdowa znowu radzi, i zaprasza na tę radę reprezentantów znakomitszych banków i znaczniejszych spekulantów; lecz znowu powtarzają się propozycje z dzisiejszego ranka. Jednakże moratorium i zamknięcie giełdy uważane są za niemożliwe, żeby się nie kompromitować przed zagranicą. Późno w nocy rozchodzą się postanowiwszy nazajutrz giełdę otworzyć; wszystkie wypłaty odłożyć na dni sześć do przyszłego czwartku 15-go maja; niezwłocznie zająć się ustanowieniem kursów kompensacyjnych, wedle których papiery byłyby przyjmowane w zamian jedne za drugie; i urządzeniem funduszu pomocy, któryby papiery przyjmował w zastaw i awansował pieniądze potrzebującym.

Nazajutrz minister finansów wyznacza 3 mil. fl. a bank narodowy 5 mil. fl. do funduszu pomocy; jednak nikt nie wierzy aby to cokolwiek pomódz mogło. Dnia 11-go maja odbywa się wielka narada u ministra finansów, na której wskazują rządowi jako jedyny ratunek zawieszenie aktu bankowego; minister do tego się skłania, jakoż 14-maja ogłoszono postanowienie najwyższe zawieszające § 14-y aktu bankowego t. j. pozwolono bankowi wydawać biletów tyle, ile uważać będzie za potrzebne, nie ściśnając się przepisem tego paragrafu; że bank jeżeli wyda biletów więcej aniżeli na 200 mil. fl., musi je zabezpieczyć w całości odpowiednią ilością metalowych pieniędzy lub metalu w sztabach, rzeczywiście u niego się znajdujących. Tymczasem powstają już narzekania na komitet pomocy, że on więcej szkodzi niż pomaga, bo bierze w zastaw papiery po bardzo niskiej cenie.

15-go maja dzień wypłat. W sali giełdowej cisza kompletna; w sali bocznej przywołują z kolei tych co płacić obowiązani, a kiedy zawołany się nie zjawia, dzwonią nad nim jako nad umarłym i ogłaszają go niewypłatnym; dzwon ten nieszcześnie od samego rana nie umilkł; o godzinie 1½ wydzwoniono w ten sposób 120 nazwisk; giełda zamyka się wśród krzyku i rozpacz. O wielu dzisiaj wydzwonionych powiadają że potrafili pieniądze swe wyratować. Fakt następny który się odbył publicznie dowodzi że to prawda być mogła. Jeden z najśmielszych kulisierów, który używał wielkiego kredytu i powszechnego zaufania, kiedy wywołano jego nazwisko, był daleko w kącie sali, nie odpowiedział natychmiast; więc dzwonić zaczęto: w pierwszej chwili bieży on do dzwonka wyciągając rękę z grubą paczką banknotów i woła: „Jakże można dzwonić, ja tutaj jestem.“ Lecz nim dobiegł przychodzi mu rozważa, zatrzymuje się, mówi już ciszej: „Wszak już zadzwonili, to wszystko jedno.“ Banknoty chowa do kieszeni i spokojnie wychodzi za drzwi.

Dni te były gwałtownym wybuchem przesilenia, ale co gorsza że choroba się nie zmniejsza po upływie tych dni, lecz owszem przechodzi w stan chroniczny. Zastój osiada na giełdzie jako stan jęj

trwały, normalny; interesów żadnych nie ma, kupują i sprzedają po trochu ale tylko na gotówkę, o kredycie i operacjach na kredyty i mowy już nie ma. Czasami, kiedy niekiedy przejawia się jakieś polepszenie, wywołane nadzieją pomocy czy to rządu, czy zagranicy, czy miejscowych finansowych potencji; ale polepszenie to dłużej nad dni dwa lub trzy trwać nie może. Odważni spekulanci próbują nową hossę, w skutek tego cała masa papierów obciążających wszystkie w ogóle instytucje i prywatne kantory, zaraz zjawia się na rynek chcąc z tego korzystać, i znowu kursa spadać zaczynają, a każda podobna recydywa gorszą jest i silniejszą od poprzedniej. Za każdym razem nowa panika się szerzy, i nowe okrzyki rozpaczki wołają aby ktokolwiekby, jakkolwiekby ratował, a nikt nie umie i nie może wskazać środków ratunku. Ku końcowi maja zaczynają nadchodzić wiadomości o licznych bankructwach z prowincyi: z Pesztu, Gratzu, Linzu, Brünu; do 30 maja 10 towarzystw akcyjnych przystępuje do likwidacyi z obawy bankructwa i konkursu. Niewypłatności ciche, układy z kredytorami, nie tak już obfite, ale ciągle się powtarzają, tylko przestały już robić wrazenie. Czasem tylko upadłość jakiego większego Zakładu, nową i silniejszą trwogę wywołuje; tak było 9 i 10 czerwca w skutek ogłoszonej likwidacyi Wiener Wechslerbanku, a jednocześnie prawie bankrutują kantory Plachta i Telsa, których niezmiernie liczna klientela składała się z ubogich urzędników, rzemieślników, wyrobników etc., co wywołuje już nawet gwałtowne sceny po ulicach.

W tej porze organizuje się nowy komitet pomocy, złożony z reprezentantów 9-ciu większych banków, pod prezydencją sekretarza banku narodowego; celem komitetu, pomagać nie spekulantom ale handlowi i przemysłowi, którym już zaczyna grozić, to tak długo trwające przesilenie. Ostrożnie bardzo i oględnie rozwija ten komitet swą czynność, mało bardzo bierze w zastaw papierów i pomimo narzekań że nie daje pomocy, ogranicza się głównie do większych ułatwień i eskontowania weksli, czém przynosi pomoc cierpiącym niesłusznie. Wszystkie młodsze i czysto-spekulacyjne instytucje prawie zupełnie poginęły, akcje ich spadające coraz niżej, szybkim krokiem dążą do zera. W końcu czerwca przychodzi kolej na starsze, lepsze, silniejsze instytucje, których akcje chociaż ucierpiały, dotychczas jednak wyżej pari się trzymały, bessa i w tych papierach zaczyna się silniej przejawiać. Dnia 14 lipca akcje 28 banków, 20 towarzystw budowlanych i większe połowy tow. przemysłowych spadają w kursie niżej połowy pari. Upadek kursów do tego czasu od 1-go kwietnia już wynosi 600 mil. flor. 15 lipca tylko renta i akcje banku narodowego trzymają się jeszcze, reszta wszystko w bessie.

Wśród tego generalnego popłochu, ani trochę nie daje się czuć brak pieniędzy, a tylko brak ufności wszystko zatrzymuje. Już w połowie maja wśród gwałtu pierwszego przerażenia, dzienniki zapisują fakt, że nie widać braku pieniędzy, dobre podpisy wszędzie

z łatwością mogą być eskontowane. Do końca maja znaczniejsze firmy złożyły w banku narodowym już około 50 mil.; wiedeńska pierwsza kassa oszczędności w sprawozdaniu za 1-szy lipca wykazuje zwiększenie wkładów o 5 mil.; w połowie lipca eskonto we wszystkich bankach zniża się, pomimo zawieszenia aktu bankowego, bank w ciągu tego czasu, a nawet aż do połowy października, trzy razy potrzebował użyć prawa nieograniczonego wydawania swych not i to chwilowo tylko. Od połowy października zaczyna się dopiero to rozmnożenie biletów, bo wtedy cierpienie przeszło już dalej w koło handlu i przemysłu.

10 lipca zebrani delegaci wszystkich izb handlowych z całej monarchii, po tygodniowych naradach decydują, że handel dotąd nie cierpi wcale, że aby zapobiedz trudnościom, których z czasem oczekiwac można, wzywają bank narodowy izby więcej filii otwierać, hojniej je uposażać, i łatwiej weksle eskontować. Na przyszłość zaś dla zapobieżenia podobnym wypadkom proponują oni rządowi zmianę prawa o koncessyach i akcyach, a także zmianę przepisów giełdowych, radzą obostrzyć odpowiedzialność rad nadzorczych, oraz prowadzić dokładniejsze bilanse.

Giełda zaś sama, w dziesięć tygodni od 9 maja b. r. dopiero 18-go lipca zdecydowała się ogłosić niewypłatnym tego lub to przedsiębiorstwo, które nie ułoży się z kredytorami; że odebrane im będą bilety giełdowe, termin zaś ostateczny na dzień 16 sierpnia naznaczyła.

Żaden z zaradczych środków dotychczas używanych nie okazał się skutecznym. W końcu lipca, nagle bez powodu i przyczyny położenie zdaje się polepszać, kursa zaczynają się podnosić, katastrofa zdaje się być skończoną. Dlaczego? Nikt papierów nie skupił w znaczniejszej massie; nie widać wcale aby zaufanie wracało, rynek zawsze zawalony, jednakże likwidacye i fazy powstrzymują się, chociaż banki gründerskie nie mają co robić, bo nie ma dla kogo przedsiębiorstw zakładać; towarzystwa budowlane też nie mają roboty. Ale spekulanci zastyszeli że gdzieś w Europie niby formuje się międzynarodowe konsorcyum, z wielką ilością milionów kapitału; że ono ma dopomóc giełdzie wiedeńskiej, i wiedeńską spekulacyę ma na nogi postawić. Widzą nabywców na swoje papiery tam gdzie ich nie ma, czują przyływ kapitału, który nie egzystuje; jak pierwój liczyli na kapitały niemieckie, na zwieczione na wystawę pieniądze, tak teraz liczą na całą Europę: zawsze toż samo złudzenie.

Uspodobienie takie trwa do połowy sierpnia, ale dłużej fikcye te nie dają się utrzymać: druga połowa sierpnia przechodzi w najzupełniejszej stagnacyi interesów. We wrześniu nowe smutne światło rzucają na położenie rzeczy bilanse wielkich banków, jedne z nich wykazują straty, inne chociaż niby mają jeszcze cały kapitał, ale nikt nie może być pewnym téj całości, bo cena wartości będących w posiadaniu wszystkich banków ciągle spada. Dodać do tego na-

leży, że od pięciu miesięcy, żadnych prawie nie robią interesów a procenta od ich długów nie przestają rosnać. Wieści o przesileniu w Ameryce, grożące przejściem do Anglii i Niemiec zwiększają niepokój ogólny. Towarzystwa budowlane prawie wszystkie już blizkie bankructwa, ale one i wiele innych w podobnym stanie będących, ciągną dalej ciężki i kosztowny swój żywot wbrew przepisom kodeksu handlowego. Zastój interesów na giełdzie trwający stale już do pięciu miesięcy, zaczyna oddziaływać na ustrój gospodarski kraju całego; siła spożywcza znacznie się zmniejsza, fabryki już wyrabiają na składy tylko, nie znajdując nabywców na swoje wyroby, szczególnie fabryki żelazne, które rozmnożyły się i znacznie powiększyły swe warsztaty w ostatnich latach z powodu przyspieszonej budowy kolei żelaznych, teraz najpierwsze zaczynają cierpieć, bo koleje nie budują się. Chociaż nie można jeszcze powiedzieć że nastąpiło przesilenie handlowe, ale zbliża się ono i wszyscy czują to niebezpieczeństwo.

W początku października zaczynają mówić że rząd przychodzi z pomocą przemysłowi żelaznemu, że ma na własny rachunek rozpocząć budowę kolei żelaznej. Lecz prędko nadeszła wieść z Berlina wszystko na bok usuwa; wieść ta głosi, że *Wiener Bankverein* poniósł znaczne straty i chwieje się. Bank ten założony przez *Oester Bodencredit Anstalt*, który sam jest najpoważniejszym po banku narodowym, kredytowym instytutem, był niejako filią jego, używał na spekulacje funduszy, któremi *Bodencredit* wedle statutów swoich nie mógł w ten sposób rozrządzać, cieszył się dotąd najlepszym powodzeniem, uważany ogólnie za najpewniejszy ze spekulacyjnych instytutów; klientelę swą liczył głównie w kołach najwyższej arystokracji i bogaczy pierwszego rzędu. Stałość i trwałość *Wiener Bankvereinu*, uważana była niejako za dogmat, o którym na giełdzie nie wolno było wątpić. Jakoż wieść tę przyjęto z oburzeniem, a dyrekcja *Bodencredit Anstaltu* zaprzeczyła temu stanowczo; niemniej jednak w kilka dni potem ogłasza w Paryżu że ona sama poniosła znaczne straty, które pochłonęła kapitał zapasowy i część zysków z roku 1873. Wtedy już niewiara i nieufność dochodzą do ostatnich granic możebności, na giełdzie szalona bessa wszystko najgwałtowniej w dół pędzi. 23 października notowane są najniższe kursa z całego tego peryodu; porównyując je z dniem 31 marca kiedy sięgały najwyżej, znajdujemy różnicę wynoszącą prawie 1500 mil. flor., a to na całej summie wartości papierowych w kurszetlu notowanych, wynoszącej nominalnie 7,639 mil. fl. Jednakże zawikłanie *Wiener Bankvereinu* i przykra pozycja *Bodencreditu*, który prowadził interesa rządowe w sprzedaży majątków koronnych, wywołują nową zmianę. Nagle zaczyna się wszystko wyjaśniać, jakby wiatr pomyślny rozwiął nagromadzone chmury, a z poza tych obłoków wyrasta jak czarodziejka nadzieja pomocy rządowej. 29 października dzienniki dobrze informowane oznajmują, że na radzie ministrów postanowiono, nie-



zwłocznie po zebraniu się izb Reichsratu przedstawić im projekta pomocy na wielką skalę. Dość było tego aby wszystko przewrócić. Nastaje kilka dni hossy generalnej, chociaż niewiadomo jeszcze jakie to środki, w jakim kierunku, w jakiej mierze, będą projektowane a tém bardziej przyjęte. Już sam wyraz pomoc rządowa, w każdym lepszą budzi nadzieję, a spekulacyi o to tylko chodzi, aby nie dać się nikomu wyprzedzić w korzystaniu z okoliczności, aby pierwszej zeskontować nawet nadzieję.

Usiłowania te jednak na niczém nie oparte, kończą się nową reakcją; już w pierwszym tygodniu listopada wszystko na nowo w dół idzie. Przedstawiony w Reichsracie 11 listopada projekt do prawa o pomocy nic już nie pomógł. Jeden fatalizm wszystkiém rządził, o interesach, o ich podźwignieniu nikt nie myślał. Panowie radcy z rad nadzorczych, którzy w wielu wypadkach sami na likwidatorów wybrani byli, nie zaniechali swego rzemiosła; jak piérwój na zwyżce, tak teraz na znizaniu się ceny papierów starali się zarabiać co mogli, straty zapisując na szkodę akcyonaryuszów, i zyskowniejsze sprzedaże papierów na własne konto przeprowadzając. Ludzi tych wszyscy znają, głośno o nich mówią i piszą wyraźnie ich nazwiska, a nikt ich do odpowiedzialności nie pociąga, ani akcyonaryusze których krzywdzą, ani prokuratora w imieniu prawa, które gwałcą bezczelnie. Zaprawdę wolność ekonomiczna w Austrii niczém nieograniczona. I tak już idzie wszystko do końca roku, który zamyka się w stanie zupełnego zastoju giełdy i zupełnej martwości w interesach.

Na 1 stycznia 1874 roku przypadła wypłata wielu i bardzo wielu kuponów. Ze wszystkich banków na całą Austryą tylko 12 mogło wypłacić ich w terminie, a z tych tylko 5 w Wiedniu; 158 tow. akcyjnych a w tój liczbie 5 tow. kolei żelaznych nie były w stanie kuponów swoich w tym terminie opłacić.

Wspomnieliśmy wyżój, że upadek kursów w ciągu pięciu miesięcy, wyraził się straszną summą 1,500 mil. fl. (1,000 mil. rubli). Cyfra ta jednak nie wyraża bynajmniej strat rzeczywiście poniesionych przez bogactwo krajowe Austrii. Kursy były pędzone w górę, tylko na wiarę że ktoś tę zwyżkę opłaci; cyfry więc wysokich kursów wcale nie odpowiadały wartości papierów. Te półtora miljarda fl., co najwięcej, oznaczać mogą stopień upadku zaufania i głębokość niewiary, która publiczność całą opanowała. Znaczna ich część, do określenia zresztą niepodobna wyraża przemieszczenie własności, t. j. te summy których pobankrutowani spekulanci nie mogli lub nie chcieli wypłacić swym wierzycielom, i te które za pomocą czarodziejskiej laski możnych gründerów, z przeróżnych schowanek publiczności przeszły do ich grubych portefelów i kass ogniotrwałych. Ale wartości które w ten sposób zmieniły właścicieli, nie znikły przecie z obrotu i za stratę dla kraju jeszcze uważane być nie mogą.

Gdzieindziej szukać trzeba strat prawdziwych, które naród cały poniósł niezaprzeczenie; bo te były spożyciem nie przetwórczém

bynajmniej, ale spożyciem nieużytecznym ogromnych wartości. A chociaż straty te w liczbach wykazać się nie dadzą, zawsze jednak wskazać można w jakich kierunkach szukać ich należy.

Wielka ilość kapitałów związanych w przedsiębiorstwa nie odpowiadające ani siłom, ani nawet potrzebom krajowym, prowadziło za sobą koszta nadmierne, tém większe, że wszystko to trzeba było robić prędko, nagle prawie; więc wszelkie materiały zbyt drogo opłacać, siły robocze marnować przeciąganiem ich z jednego końca kraju w drugi, i często trzymać bez użytku z powodu nie gotowych narzędzi lub niedostarczonych materiałów. Straty te stosują się głównie do nagłego budowania kolei żelaznych i domów, które wszystkie zbyt kosztowne i zbyt źle zrobione, tak że dłużej jeszcze doходу odpowiadającego wyłożonemu kapitałowi dać nie będą w stanie i nowych kapitałów na przerobienie i naprawy wymagać będą. Fabryki zakładane w tym czasie albo przynajmniej rozpoczęte, po upadku spekulacyjnego rozpędu, upadać też musiały, bo nie było czém ich prowadzić i okazały się zmarnowanym kapitałem. Dalej idzie obyczaj zbytku rosnący nagle a opierający się na urojonym albo bardzo niepewnym zysku i dochodzie. Wielużto chwilowych milionerów roztrwoniło w szalonym zbytku zyski spodziewane; wieleżto ludzi powołanych już do porządnej pracy w tym ruchu gorączkowym, widziało dochody swoje wzrastające nagle we czwórnasób i więcej i na mocy tych dochodów urządziło swe życie i utrzymanie swęj rodziny na stopę odpowiednią stanowisku jakie zajmować mieli nadzieję, a po paru latach tęj wspaniałości wracali oni już nie do uprzedniej biedy ale często do nędzy zupełnej. Ogromne opłaty dyrektorów, radców w radach nadzorczych i całych zarządów i administracyi tych wszystkich nowych instytucyi opłacały się przecie z kapitału, bo interesów prawdziwych, bo roboty prawdziwej wytworzenia nowęj wartości nie było, a tylko przechodzenia z rąk do rąk papierów i wysoka ich codzienną wzrastająca cena, stanowiły dochody wszystkich banków. Mnóstwo Zakładów rzemieślniczych wywołanych do życia mnożącemi się niezmiernie zarobkami, w skutek tego nagłego rozkwitu zbytku i budownictwa, musiało się potem zamykać, likwidować swe interesa, sprzedawać za bezcen przyrządy, maszyny, narzędzia. A sam zamęt w robocie ludu całego w ogóle, nagle potrzebowanie robotników, chociaż podnosiło cenę pracy, ale podniosło ją tylko na czas krótki, a potem zostawiło ich bez chleba; a podział pracy wśród narodu zamieszany i wykołejony, jakże ogromnych strat musiał być powodem. Nagły przewrót w stosunkach własności, t. j. przechodzenie własności z rąk do rąk, nie drogą zwykłego zdrowego obrotu, ale kapryśnemi skokami wedle szczęścia gry i fantazy bogini fortuny; prowadził za sobą zbyt często zmiany pozycyi, stanu, powołania; aby w tych przejściach zdolności i zdatności ludzi do służenia społeczeństwu nie była niszczoną w rozmiarach narażających na ogromne straty. Nakoniec ostatnia szkoda czysto moralna, ale tembardziej

dotkliwa, to wzbogacenie Towarzystwa mnóstwem brudnych osobistości. Silny udział jaki brały w szalbierstwie akcyjnym wszystkie, a mianowicie wyższe koła towarzyskie, wykazuje już dostatecznie że charaktery czyste, natury delikatne schodziły z pola działania; nie mogły one jaśnieć na świecznikach a musiały się usuwać w zacisza domowe. Ludzie mniej skrupulatni, konsekwentni, ale dla siebie tylko żyjący, i egoizmem swym wszystko w siebie chłonący, w znacznie-szej niż kiedy liczbie wypływali na wierzch i onito wyciskają swe piętno na wszystkich kołach towarzyskich, które nie umieją się wpływowi ich obronić; nie mogą, a może już i nie chcą pozbyć się ich z pośród siebie.

## VI.

Pozostaje nam jeszcze opowiedzieć, jakich przy samym wybuchu przesilenia i potem w czasie przebiegu choroby, probowano używać zaradczych środków i jak one skutkowały. A tu najprzód przypomnieć musimy, że jeżeli teoria twierdzi, iż źle prowadzony interes zawsze stratą skończyć się musi; że jak się wyraża angielski *Economist*, bankructwo jest karą, którą natura wymierza za złe bankowanie i że nie należy nigdy złym bankom pomagać ani ich podtrzymywać, bo w ten sposób nigdy dobrych nie będzie; to i praktyka nic innego wymyślić nie jest w stanie; że najbieglejszy praktyk wezwany na radę co zrobić dla poprawienia źle prowadzonego bankowego interesu, niechybnie odpowie: zlikwidować go i nowy na lepszych podstawach rozpocząć, bo ten tylko do bankructwa doprowadzić może. Tutaj rozum i moralność zarówno nakazują, raz spostrzegłszy że się znajdujemy na fałszywej drodze, cofnąć się i zwrócić na inną.

Otóż o tej zasadniczej prawdzie zapomniano w Wiedniu. Przesilenie wybuchło wcale niespodzianie; już w 1872 r. każdy go przeczuwał, w 1873 od początku roku ciągle w największej obawie go oczekiwano, a zamiast starać się temu zaradzić, najwymyślniejszemi sztukami starano się tylko, trochę dalej go odsunąć, a tymczasem liczone na to że się coś zdarzy co zażegna tę biędę. Jeżeli już sama giełda była w stanie gorączki i trzeźwości umysłu od niej spodziewać się nie można było; jeżeli wyższe finansowe koła, same zabezpieczone od strat, może nawet wyglądały tego przesilenia, spodziewając się że ono im większe da korzyści: toć była prassa, wszechwładna, potężna, niczem nie krępowana; prassa która nie zaniechała od czasu do czasu wypowiadać kilka ogólnikowych frazesów, o niebezpieczeństwie tak szalonej i nieogłędnej spekulacji; ale robiła to zdaje się tylko na to, aby sobie furtkę otwartą zostawić i potem mieć prawo deklamować na temat: „myśmy zawsze mówili, myśmy ostrzegali;“ na seryo żaden z dzienników nie próbował otrzeźwić publiczności. Było ministerjum, były izby, które zdaje się z wyższego nieco stanowiska powinny były zapatrywać się na ten wspaniały i niewidziany dotąd rozwój

ekonomiczny; ale ministrowie wydali kilka przepisów na drodze administracyjnej, których zresztą niestłuchano nawet i dalej mało się już o to turbowali; izby obie milczały, zajęte kombinacjami politycznymi i przeprowadzeniem prawa o bezpośrednich wyborach, nie zwracały oczu w tę stronę, a nie chcemy myśleć aby udział w zyskach wielu z członków Reichsratu zamykał im usta w tej sprawie.

Nakoniec nadszedł maj, i ten straszny 9-y dzień jego, który wszystkich przeraził. Cóż się stało dnia tego? Zdeklarowało się około 150 niewypłatności giełdowych, papiery zaczęły spadać. Ależ pomiędzy niewypłatnymi nie było ani jednej znaczniejszej firmy, żadne interesa przez to zachwiane nie były; oprócz interesu gry giełdowej, żadne inne nie groziło niebezpieczeństwo, jak że szulerowie gry równie szalonej dalej prowadzić nie będą mogli. Straty prawdziwe ponieść mogli tylko ci, którzy tym szulerom pieniądze swe oddali, za wysokie wprawdzie procenta, ale zawsze pieniądze swoje własne, często ciężko zapracowane. Należało więc bronić interesu tych kredytorów, należało natychmiast niewypłatnych, albo ich majątki przytrzymać, użyć wszystkich środków egzekucyj, żeby chociaż część jaką kredytorowie odebrać mogli. Zamiast tego coś się dzieje, po całodziennym zgłębieniu, nieporządku i naradach, izba giełdowa postanawia wszystkie zobowiązania i wypłaty zawiesić na dni sześć, i dzień wypłat na 15-y maja naznacza.

Czyż ktokolwiek mógł się spodziewać, że w ciągu tych dni sześciu poprawią się interesa giełdy i że ktokolwiek z końca świata przyjdzie i skupi za wysoką cenę papiery, nie mające wartości. Nie, tego spodziewać się nie mogli najzawziętsi giełdowicze, najzuchwalsi rycerze tego znaku. Do czegoż więc takie szęściotniowe moratorium doprowadzić mogło? do tego tylko aby spekulanci niesumieni mogli pochować pieniądze i majątki jakie posiadali jeszcze, i 15-go maja mogli stanąć przed kredytorami, z wytartém czołem, bezwstydném okiem, ale z próżnymi rękami. Jakoż przedłużenie konania na dni sześć nikogo nie wyratowało, ani jednego bankructwa nie zaoszczędziło.

Cóż dalej robią przywódcy giełdy? próbują układać i wprowadzać kursa kompensacyjne, jak gdyby to było rzeczą możebną. Najbieglejszy finansista nie potrafiłby oznaczyć wartości akcji takiego Maklerbanku, którego zyski i straty jedynie na grze się opierały, którego radcy prowadzili administracją na własną swą korzyść, a kapitał oddawna był w całości stracony; albo takiego Bangeselschaftu, który nic nie budował, a sprzedawał lub kupował na termin kawałki ziemi, brał w zastaw cudze i swoje własne akcje i ostatecznie nie miał żadnej racji bytu. To też nigdy się nie powiodły te kursa kompensacyjne, była to broń, której spekulanci mniejszej ręki t. j. kulisa giełdowa, chciała użyć przeciwko bankom, które od nich na koszt pobrały papiery; chciano ich tém zastraszyć i zmusić do układów. Ale banki czuły się silniejszymi od kulisy, i nie podda-

ły się: na mocy swoich statutów przystępowały do egzekucyjnej przedaży zastawionych papierów.

Nakoniec zarządzono komitet pomocy, podpisano dlań pewny kapitał; bez tego zapewne trudno było się obejść, bo przy tak ogólném przerażeniu musiano przecież coś zrobić, jakoś ratować kogo się dało. Do tego kapitału rząd ofiarował 3 mil., bank narodowy 5 mil., podpisy prywatnych miały dać 12, a dały tylko 8 mil. Komitet pomocy miał przyjmować w zastaw papiery i eskontować weksle. Ale cóż on mógł pomódz z 16 milionami, tam gdzie różnice kursów codzienne więcej wynosiły. Brać w zastaw papiery musiał bardzo ogłędnie, przyjmował tylko najlepsze i to znacznie niżej kursu; wywołał tylko ogólne narzekania że nic nie pomaga; działał on do 7 lipca, wydał pożyczek na 25 mil., z których dwa mil. nie były mu do dnia tego zwrócone. Była to kropla wody na ogień rzucona.

Takie były środki samopomocy jakich giełda użyła w pierwszej chwili przerażenia, nie wiele one pomódz mogły, a nawet dwa pierwsze były oczywiście szkodliwe. Giełda nie widząc dla siebie ratunku, zaraz zaczęła nalegać na bank narodowy i na ministra finansów aby ją ratował. Narada u ministra finansów na którą zwołani byli reprezentanci znaczniejszych banków i więksi spekulanci, wywołała decyzję o zawieszenie aktu bankowego, które 14 maja ogłoszone zostało. Prawda, że wśród tego ogólnego popłochu, w którym wszyscy bodaj głowy potracili, nie odezwał się ani jeden głos przeciwko temu środkowi, ani w kołach finansowych, ani w prassie, żaden publicysta ani ekonomista nie zganił tego kroku. A że wszyscy zkądś i od czegoś wyglądali ratunku, że w Anglii w czasie przesilenia, trzy razy probowano w ténże sam sposób zawieszać akt banku i dozwalać nieograniczonej emisji banknotów; że tam okazywało się to skuteczném, więc i tutaj uciekano się do tego środka. Minister finansów p. Depretis był w tym razie najostrożniejszym zę wszystkich, bo po dwakroć zapytywał fachowych ludzi, czy widzą rzeczywistą i nieuniknioną potrzebę chwywania się tego ostatecznego środka; czy nie dałoby się to zastąpić inną bankową operacją, któraby dozwoliła wydać więcej banknotów, niepuszczając tak na niepewność samej nadziei uregulowania z czasem waluty. Po dwakroć odpowiadano mu że to konieczna potrzeba. Tymczasem jak twierdzi p. Neuwirth, środek ten tak stanowczy, tak obosieczny i jako taki niebezpieczny bardzo, okazał się zupełnie niepotrzebnym, zbytecznym nawet, co najmniej przedwczesnym a może i szkodliwym. Doświadczenie tylko to wykazało, ale jeżeli z góry nikt tego przewidzieć nie mógł, nie bardzo to chwalebnie świadczy o zdolnościach finansowych i talentach do prowadzenia interesów, i niezmiernie utrudnia na zawsze dla Wiedeńczyków, ambitne ich zamiary stawiania się na czele spekulacji europejskiej.

W Anglii rzeczywiście trzy razy było używane zawieszenie aktu bankowego, ale czy w podobnych okolicznościach? Ostatni raz

np. w roku 1866, już w lutym zaczęły się znaczne bankructwa, w kwietniu kilka kompanii Dr. Żel. zawiesza wypłaty; bank angielski ciągle naglony o eskontowanie weksli, 3 maja podnosi eskontę 7<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, 8 do 8<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, 9 do 9<sup>o</sup>/<sub>o</sub>, 10 maja nastaje straszne bankructwo domu handlowego Overend Garney & Comp, z deficytem przenoszącym 10 mil. f. szt. (60 mil. r.), domu który miał stosunki nie tylko z całą Europą, ale i ze wszystkimi częściami świata; w skutek tego powstaje panika niewidziana i nie słyszana dotąd w City Londyńskiej, wtedy użyto też po raz pierwszy wyrażenia *krach* (Crasch) dla dania dokładnego pojęcia o ogólnem przerażeniu. Dnia 12 maja zawieszono akt banku, w tym jednym dniu bank powiększa swe eskonty o 5 mil. f. st., w ciągu pięciu dni wydaje not o 12 mil. f. szt. (72 mil. r.) więcej niżeli wynosił zapas metalowy: oczywiście że tutaj żaden inny środek zaradzić nie mógł.

W Wiedniu tymczasem przesilenie było czysto spekulacyjne i czysto lokalne, nie tylko nie miało ono żadnego związku z Europą, ale kół handlowych nie sięgało; nawet na giełdzie samej była różnica; renta, papiery kolei żel. i lepszych banków trzymają się dobrze, a bankrutują kantory giełdowe, same domy gry, i to może więcej dla tego że wolą ratować pieniądze jak towar. Zresztą środek ten zawieszenia aktu bankowego żadnych skutków nie ma; w ciągu 25 tygodni bank nie potrzebuje zwiększać ilości not, bo też pewno żaden z giełdowych kulissierów, żaden z kantorów giełdowych nie poszliby wtedy eskontować weksle do banku, dla téj prostej przyczyny, żeby tam takiego wekslu nie przyjęto. Bank nie potrzebował nawet podnosić stopy eskonty, bo wcale tam o to natłoku nie było; owszem do końca maja 50 mil. złożono w banku na bezprocentowe rachunki. Zresztą od samego początku wszędzie i ciągle, wszyscy powtarzają że nie ma braku pieniędzy, i że każdy człowiek pewny może ich dostać złatwością, każdy papier pewny może być zastawiony, i to za niższy procent niżeli przed przesileniem.

Więc zawieszenie aktu chybiło celu, bo choroba którą leczyć miało nie egzystowała wcale, a téj która egzystowała ono wyleczyć nie mogło.

Nie pieniędzy brak było, ale zaufania zabrakło nagle; łatwo-wierność podsycona chciwością, która tak długo wszędzie przeważa-ła, poczuła straty zamiast zysków i nagle ustała, a publiczność przerzuciła się w drugą ostateczność, w najkompletniejszą niewiarę: nikt niczemu i nikomu ufać już nie chciał. Na tę chorobę trzeba było szukać lekarstwa. Wszelkimi możliwymi środkami należało starać się rozjaśnić pozycję rynku, wartości złe od dobrych wyróżnić, bo ratunek dla giełdy przysięść tylko mógł od publiczności, a ta mając jakiegokolwiek kryterium sądu przed sobą do rozróżnienia papierów dobrych od złych, pospieszyłaby tém chętniej kupować pierwsze, że i cena ich już wygórowaną być nie mogła. Należało też wszelkimi środkami starać się przyspieszać likwidację lub fuzye towarzystw, które

utrzymać się już o własnych siłach nie mogły, a to żeby oczyścić rynek od tych trupów walających się po nim, zanieczyszczających powietrze i szerzących zarazę w około siebie.

A w tym właśnie kierunku zrobiono o ile można najmniej. Wprawdzie minister finansów już 15 maja zapotrzebował od komisarzy rządowych, aby mu natychmiast przedstawili bilanse wyrażające stan obecny interesów wszystkich towarzystw akcyjnych, a kiedy się z tém nie spieszono, powtórzył ten rozkaz 27 maja, żądając bilansów na 30-ty. Ale na tém się wszystko skończyło. Rady nadzorcze same układały bilanse jak się im podobało, i oddawały komisarzom, a komisarze składali ministrowi, w ministerstwie one i pozostały i więcej o nich słyhać ztamtąd nie było, rady zaś same potem bilanse te publikowały jako przedstawione rządowi, a powtórzyły się w nich fałszywe styczniowe. Czyż nie należało bilansów tych oddać do sprawdzenia biegłym fachowym, a potem objaśnić publiczności czemu ufać może i czego wystrzegać się powinna. Później na zarzuty w izbach stawiane minister finansów odpowiadał, że źle była zrozumianą rola komisarzy rządowych, że oni asystują przy obradach rad na mocy prawa z roku 1852, które przepisuje pilnować żeby w zgromadzeniach publicznych nie działo się nic prawu przeciwnego. Prawo z roku 1852 zapewne miało na celu nadużycia polityczne, jednakże kodeks handlowy także jest prawem, a przecież temu kodeksowi mocno grzeszyło wiele rad nadzorczych i komisarze mieli niewątpliwie prawo doglądać tego np., że kiedy kapitał akcyjny o połowę się zmniejszy, towarzystwo obowiązane przystąpić do likwidacji, jak to głosi § 240 kodeksu handlowego.

Ministrowie mówili że nie mogli naglić do likwidacji i fuzyi, gdyż likwidacja to układ prywatnych interesów, do którego rząd nie powinien się mieszać. Ale najprzód naglić na mocy § 240 mieli nie tylko prawo ale i obowiązek, a mieszanie się do interesów prywatnych żaden rząd nie jest w stanie uniknąć w chwilach gwałtownych przesileń. Nawet najliberalniejszy rząd austriacki musiał się mieszać w te rzeczy w tymże czasie. Musiał przypominać aby nie pędzono nadto wyprzedazy papierów przy likwidacjach, z oczywistą stratą akcyonaryuszów, aby nie przedawano realności z wolnej ręki za pokątnie umówione ceny, lecz aby to z publicznego targu dokonywano; więc mógł niedopuszczać do przeprowadzenia likwidacji członków rad nadzorczych, o których publicznie było wiadomo że nadużywają zaufania swych wyborców, a którzy umyślnie te likwidacje utrudniali. Ogłoszone były ulgi od podatków dla towarzystw likwidujących albo przeprowadzających fuzyę, ale więcej nic w téj materii nie zrobiono. Do zlewania się kilku towarzystw w jedno, naturalnie potrzebne są pieniądze, a pieniędzy rząd dawać na to nie mógł, bogacze zaś spekulanci dawać nie chcieli; więc interes musiał iść trudno. Ale przynajmniej całej moralnej swój powagi mógł użyć minister, żeby do tego naglić, dla usunięcia z rynku zbytniej ilości papierów,

dla uspokojenia publiczności, dla przywrócenia zaufania. Tymczasem bilanse ogłoszone jako podane rządowi, nosiły na sobie niejako gwarancję rządowej poręki, a fałszywe w nich odkrywane, tém większą nieufność w publiczności szerzyły. Tutaj téż wykazała się szkodliwość zawieszenia aktu bankowego, bo ono rodziło nadzieje czegoś niepewnego, niewiadomego i powstrzymywało od likwidacyi bankrutujące towarzystwa; myślano że ktoś dostanie w banku pieniądze i zabierze papiery, i tą nadzieją żywiono akcyonaryuszów. Panowie radzcy tymczasem całemi siłami trzymali się miejsc swoich, z początku dlatego, że mieli nadzieję dalszém prowadzeniem rzeczy, pogmatwać rachunki i nieprawne swe czynności zakryć dostatecznie i w ten sposób uniknąć odpowiedzialności; potem dlatego, że nie chcieli tracić znacznych pensyi z których nic nie ustępowali, pomimo ogromnych strat przez towarzystwa pod ich zarządem poniesionych: nakoniec i przy likwidacyach, jeżeli już tego uniknąć nie można było przez podstawionych strohmenerów (ludzi słomianych) mieli nadzieję interesa wziąć w swoje ręce i na tém jeszcze zarobić, a zawsze znajdowali że nie mają się z czém spieszyć. Jakoż wszyscy się ociągali i przesilenie ostre przeszło w chorobę chroniczną a choroba w stan normalny. I dzisiaj wśród wiedeńskiej ludności wyraz *gründer* oznacza oszusta, a *Verwaltungsroth*, człowieka któremu ufać nie można.

Jedna tylko czynność drugiego komitetu pomocy, sformowanego w czerwcu z reprezentantów 9 większych banków, pod prezydencją sekretarza banku narodowego, okazała się skuteczną, bo komitet zajmował się głównie eskontowaniem weksli, ułatwiając takowe dla ludzi zajmujących się rzeczywiście handlem i przemysłem, którzy w skutek tak przedłużonego trwania przesilenia i chorobliwego stanu interesów, cierpieli już niewinnie po większej części. Podobne komiteta urządzono téż na prowincyi pod opieką komitetu wiedeńskiego i czynność ich daleko rozgałęziona, rzeczywiście zbawienne skutki przyniosła.

W grudniu uchwalono prawo o pożyczce 80 mil. fl. w srebrze na budowę kolei i otwieranie kass pożyczkowych dla przemysłu, który w tym czasie bardzo już był zagrożony. Ale kassy te urządzały się bardzo powolnie, do połowy roku 1874 jeszcze ich nie było i nikt już od nich pomocy nie oczekiwał, a i obecnie o ich czynności nie nie słyhać.

Jakież nakoniec może być morał całej téj historii. Czy można wskazać środki któreby potrafiły zapobiedz podobnym katastrofom? Niestety, środków specjalnych żadnych odszukać nie ma sposobu. Napróżno nauka twierdzi że praca jedynie tworzy bogactwo, kiedy praktyka może ludzi wzbogacać bez pracy; napróżno moralista powtarza że podobne wzbogacenie to oszustwo tylko, to zabor cudzej własności. Chciwość ludzka głuchą często bywa na głos moralności, i pysznie głową potrząsa na prawdy naukowe. Namietność rozigra-



na widzi przed sobą złoto, i wyciąga poń rękę wspomagając się wszelkimi prawami i nieprawami sposoby. Światło i umoralnienie jedne tylko mogą powściągać i pokonywać namiętności, lecz na nieszczęście nie szerzą się one tak szybko, aby zdążyły za coraz to prędszej bijącym tętnem życia, posługującym się obecnie wszystkimi środkami zewnętrznego materialnego postępu. Gromadzenie się kapitału, potęgowanie siły jego przez stowarzyszenia, ułatwienie środków komunikacji między ludźmi, idą wciąż naprzód krokiem olbrzymim, a chciwość ludzka ciągle tém drażniona, odkrywa coraz to nowe sposoby ciągnięcia ztąd korzyści. Nawet smutne doświadczenie oszukanej publiczności, nie wiele tu pomaga, bo w przeciwnym razie podobne przesilenia nie powtarzałyby się, tymczasem powtarzają się one na całej przestrzeni cywilizowanego świata. Któż szczególnie wśród ludzi cywilizowanych uzna siebie za mniej rozumnego, mniej sprytnego od innych, a wszak na tém polu rozum i dowcip dają zwycięstwo; nic więc dziwnego że tak często próbują szczęścia.

Przesilenia te częściej się zdarzają w krajach, gdzie przemysł wysoko rozwinięty, ale za to trwają one tam krócej, i mniej są niebezpieczne, bo ludność bogata łatwiej znosi te straty. Najniebezpieczniejsze są one tam gdzie się przekształca ustrój gospodarski, gdzie rodzący się dopiero przemysł, budzi w wielu ludziach utrudne wyobrażenia o bogactwie kraju, a zarazem niepodobieństwem jest mieć dokładne pojęcie o stopniu prawdziwego wzbogacenia; dla niedostatku elementów do obliczenia i przeprowadzenia mniej więcej dokładnego rachunku. W takiem położeniu łatwo bardzo pomylić się co do siły kapitału nie istniejącego zgoła, ale straty tu poniesione nietylko trudno powetować się dają, lecz i rujną na czas długi wszelki przemysł, paraliżują samą przemyślność, przedsiębiorczość, bo po chwilowem odurzeniu nastaje smutna likwidacya, wykazująca już nietylko straty ale i zupełną ruinę.

Jeżeli nie ma sposobów zapobiedz podobnie smutnym przejściom, nie idzie za tém, żeby nauka i społeczeństwo obojętnie patrzyły na te namiętne wyścigi, i nie starały się przynajmniej osłabić ich działania, uporządkować ich i o ile się da zapanować nad nimi. Do nauki należy wyjaśnienie dokładne roli jaką spekulacya rzeczywiście odegrywa wśród nowożytnego ruchu gospodarskiego, do społeczeństwa należy wytworzenie porządku prawnego, któryby prawdziwą odpowiedzialność człowieka stawiał w obec swobody ekonomicznej, tak ażeby liberalizm nie stawał się tylko bezkarnością, jakto na nieszczęście w Austrii się działo.

Nieraz już uczeni próbowali wykazać prawdziwe znaczenie spekulacyi, lecz kwestya ta na naukowém polu daleką jest jeszcze od rozwiązania. Spekulacya w handlu produktami, gromadzi zapasy, a czyniąc je zawsze dostępnymi dla handlu detalicznego, wyrównywa podaż z popytem, a tém samym przyczynia się do regulowania cen. Wśród dzisiejszych kształtów gospodarstwa narodowego można ję

szersze zaznaczyć granice. Wykrycie potrzeb danego miejsca i czasu, wynalezienie środków do zadość uczynienia tym potrzebom, zgrupowanie ich i uporządkowanie, uorganizowanie przedsiębiorstwa, które ma wytwarzać korzystnie wyroby potrzebne: wszystko to są czynności czysto-rozumowe, dla społeczeństwa arcypożyteczne i ten który je wykonywa, niezaprzeczenie ma prawo do zysków większych aniżeli ci, którzy potem tylko w jego ślady wstępują; to też tutaj odkrywa się szerokie pole zysków dla założycieli, a zyski te przy obecnej formie obrotu, wyrażają się wzrostem w kursach akcji. Ale ogromna zachodzi różnica pomiędzy taką pracą produkcyjną, a wymyślaniem nazwisk na nowe firmy i dowcipnych figlów na sztuczne podnoszenie kursu akcji; czyli po prostu aźioterstwem. Wykrycie granicy pomiędzy prawą a bezecną spekulacją, stanowi dzisiaj jedno z najważniejszych zadań nauki ekonomicznej.

Coraz to nowe kombinacye w wytwarzaniu się, skupianiu i dzieleniu kapitału; coraz to nowe formy stowarzyszeń które ruch gospodarskiego życia na świecie wywołuje, wymagają też ze strony społeczeństwa czynnej interwencji, aby te nowe stosunki majątkowe pomiędzy ludźmi, nabierały też prawnego znaczenia w obliczu sądów i trybunałów, aby porządek prawny coraz ściślej oznaczał wszystkie te odcienia, mojego od twojego. Nie należy tutaj obawiać się rezonowania teoretyków, uwodzących się jednostronnością zasady przez nich uznanej za prawdziwą, a tém bardziej głośniejszych okrzyków nie zawsze sumiennych spekulantów, którzy jedni i drudzy wołają aby nie dotykać stosunków gospodarskich, bo to osłabia ducha przedsiębiorczości, bo to rujnuje przemysł, osusza źródła bogactwa narodu i kraju. *Laissez faire* i *laissez passer* nie mogą mieć w praktycznym życiu znaczenia bezwzględnego, i same przez się wśród najrozmaitszego warunkowania wszystkich zasad, nie mogą być uznawane za prawdę absolutną. Zdrowe zasady gospodarstwa narodowego nie pozwalają regulować i porządkować handlu dla przyczyn i względów handlowych, ale gdzie chodzi o moralność, gdzie chodzi o sprawiedliwość, tam władza publiczna może i powinna interweniować, bo dawać opiekę słabemu a wszystkim zarówno wymierzać sprawiedliwość, toć przecie jój obowiązek. Zapewne że wykrycie i stałe trzymanie się granicy gdzie interwencya władzy ma się zaczynać lub kończyć, stanowi jedno z najtrudniejszych zadań polityki, i to polityki praktycznej i dla tego też roztrząsaniem tej kwestyi teoria mało zajmować się może. Niemniej jednak nietylko w Austrii, ale i w Niemczech, we Francyi i w Anglii ciągle się dają słyszeć głosy narzekające na niedostateczność prawodawstwa w kwestyach akcyjnych, giełdowych, i wszystkich w ogóle dotyczących działania tej nowoczesnej potęgi, która nosi nazwę *la haute finance*. Uczeni mogą tylko gromadzić materiały do tego prawodawstwa, lubo nie wahają się wypowiedzieć zasady, że człowiek za każdą swą czynność odpowiedzialnym być musi; i że swoboda której nie odpowiada równy stopień odpowiedzialności z go-

ry może być potępioną, jako prowadząca do anarchii, tak samo na giełdzie jak i gdzieindziej; że giełdowa anarchia to źródło nieprawych i nieuczciwych zysków dla małej liczby ludzi przebiegłych: to krzywda i strata dla całej w ogóle publiczności.

## PAMIĘTNIK Z POBYTU W AMERYCE.

PRZEZ

*Krystynę Narbuttównę.*

(Dalszy ciąg).

### III.

Dnia 15 grudnia *Washington*. Otrzymałam list z Washingtonu, w którym zawiadomiono mię, że z powodu interesu, który miał być rozstrzygany na kongresie, obecność moja w stolicy była konieczną; zabrałam więc prędko swoje pakunki, pożegnałam gościnnych Francuzów, u których mi było bardzo dobrze i wygodnie i z pewną zresztą przyjemnością rozstałam się z New-Yorkiem, który mnie już niewypowiedzianie nudził swoim nieustannym wirem i tłumnym chaosem.

W towarzystwie więc pułkownika C., który ofiarował się odprowadzić mnie do dworca kolei, wsiedliśmy do fiakra, mającego nas zawieźć do New-Jersey, zkąd pociąg do Washingtonu odchodzi. Było jeszcze dość wcześnie; po kupieniu biletu i wyeksperyowaniu rzeczy, chciałam pójść do sali, by tam doczekać pory odjazdu; ale tu dworce kolei nie są urządzone z takim komfortem jak w Europie, i chociaż nad jedną z izb był napis z oznaczeniem, że to miała być sala dla kobiet przeznaczona, ale tak tam było i ciasno i brudno, że wygodniej już było zatrzymać się na platformie. Dotąd nie umiem sobie wytłumaczyć powodu takiej abnegacyi, wyjątkowo tylko na stacjach kolei, tu w ogóle się utrzymującej. W Stanach Zjednoczonych wszystkie miejsca przeznaczone dla publiczności, odznaczają się elegancją i wyszukaną wygodą. Po niedługiej chwili zaczęto wsiadać do wagonów. Wagony tu mają jedną tylko klasę, wszystkie jednostajne, wygodne a nawet eleganckie; ogrzane w zimie i zaopatrzone w wodę, a tak urządzone, że wzdłuż pociągu przechodzić można. Urządzenie to niewypowiedzianie ułatwia i udogadnia jazdę, tak dla pasażerów, jak też dla służby pociągu. Za osobną opłatą można mieć małą z łóżkiem kajutę, w której się wygodnie rozebrać i spocząć można; albo też przesiąść się do wagonu tak zwanego „seeping-

car", gdzie są bardzo wygodne, rozkładające się fotele, na których śpi wybornie. Na każdym wagonie jest bijący w oczy napis, z nazwaniem miasta, do którego tenże wagon idzie i tam zostaje wraz z pasażerami odczepiony. Ja wsiadłam do wagonu z napisem Washington i już byłam spokojna, że mię nie spotka tą razą to, co mi się zdarzyło świeżo na kolei niemieckiej, że pojechałam o kilka stacyj w zupełnie przeciwnym kierunku od celu mojej podróży. Washington oddalony jest od New-Yorku o dwanaście godzin jazdy tutejszej, co w stosunku do szybkości zwykłej w Europie, równałoby się mniejwięcej dwudziestugodzinom; szybkość bowiem tutaj dochodzi czasem do stu mil angielskich na godzinę.

Przyjętym jest zwyczajem, że każdy z wsiadających do wagonu ubezpiecza życie swoje i w tym celu w wagonach i na platformie przed odejściem pociągu uwijają się agenci Towarzystwa, zbierając podpisy, odbierają procenta, wydają kwity już w kopertach, które każdy z ubezpieczających się adresuje i wrzuca do skrzynki pocztowej, odsyłając dzieciom, żonie lub krewnym; a wszystko się robi tak szybko i zręcznie bez najmniejszej zwłoki czasu i słów zbytecznych, że ciekawem jest do widzenia. Za innych przykładem i ja ubezpieczyłam swoje życie, na dwa dni, co mię kosztowało dziewięćdziesiąt centów; a w razie wypadku zapewniało moim sukcesorom, sześć tysięcy dolarów. Pożegnałam szanownego pułkownika C., lokomotywa ryknęła, bo tu lokomotywa nie gwizdże, ale wydaje ryk przeciągły, co jeździe kolejowej nadaje zupełnie odrębny, a jakiś potężny, dziko-wściekły charakter. Głos ten przypominający ryk dzikiego zwierza, nadzwyczaj daleko się rozchodzi i jest jedynem ostrzeżeniem, dla wszystkiego co w się poblizu lub na drodze znajdować może; bo w skutek zadziwiającego lekceważenia, żadnych prawie środków ostrożności tu nie używają, lecąc na oślep po relsach przez nikogo niestrzeżonych; dowodzą bowiem, że utrzymanie strażników, zawiele kosztuje, ażeby kompanie były obowiązane ten koszt ponosić. Na zwykłe hasło, pociąg ruszył i poleciliśmy szalonym pędem przeskakując po mostkach filigranowych, opartych na drewnianych wiązaniach, przez tunele długie od dwunastu do piętnastu minut, w które obfituje każda linia tutejszej kolei; przez odnogę Potomaku, który w tém miejscu rodzaj jeziora formuje, po moście sześciominutowym. Most ten zasługuje ażeby o nim wspomnieć, bo służyć może za dowód, jak mało jest cenione bezpieczeństwo życia ludzkiego; jestto bowiem tylko coś podobnego do tratwy rzuconej przez środek wody tak szerokiej i głębokiej, że największe statki parowe po niej swobodnie płynąć mogą; na téj tratwie położone są relsy; lokomotywa podchodząc, puszcza całą siłę pary: most tak się kołysze pod ciężarem i pędem pociągu, że o kilkadziesiąt sążni po obu stronach woda chlupie a pociąg tymczasem w całym pędzie na drugą stronę przecho-

dzi <sup>1)</sup>. Przejeżdżaliśmy przez Filadelfię, Nowy Brunświck, Baltimore i kilka innych miast dość znacznych, w bliskości siebie leżących; gdyż w tej części kraju, jako najbliższej głównych portów, skupia się handel, więc ludzie się gromadzą.

Amerikanin z zadziwiającą przebiegłością umie uchwycić każdą najmniejszą zręczność do zarobku i wszędzie dla niego pole znajduje. Więc każdym pociągiem jedzie niezliczona liczba przekupniów, którzy, korzystając z tego że pociąg przebiega ogromne przestrzenie nie zatrzymując się prawie, w wagonie zupełny handel prowadzą; więc co chwila wpada któryś do wagonu: jeden wnosi owoce, drugi książki lub dzienniki, to znowu słodycze, cygara, przekąski; to wchodzi agent jakiejś kompanii handlowej, przemysłowej lub komisowej i proponuje pasażerom, załatwienie korzystnego interesu; „business“ <sup>2)</sup> się robi, kapitał się obraca, dorobek rośnie, a jeżeli kto się spostrzeże, że w tym doraźnym interesie dał się oszukać, to pewno się z tém przed sąsiadem nie pochwali, boby mu się w oczy zaśmiał a o tamtym powiedziałyby tylko „smart boy” co znaczy zuch chłopiec. Ciekawie przypatrywałam się temu wszystkiemu i pomyślałam sobie: co kraj to obyczaj; i lżej mi się na sercu zrobiło że u nas inaczej. Washington we wszystkim różni się bardzo od New-Yorku; widoczném jest zaraz, że tam jest siedlisko handlu i przemysłu na drodze stosunków z zagranicą; tutaj zaś administracyi wewnętrznej i przedsiębiorstw nie wychodzących poza obręb kraju. O ile ludność New-Yorku jest przeważnie cudzoziemska, świeżo napływowa, o tyle w Washingtonie już stałe osiadła amerykańska, składająca się po połowie z białych i murzynów. Jestto miasto nowę zupełnie, niebardzo wielkie, ani bardzo ludne; ale szerzące się nieustannie z właściwą wszystkim amerykańskimi miastom szybkością.

Życie indywidualne i ogólne ma już cechy własne charakterystyczne, dla nas Europejczyków ciekawe, bo zupełnie od naszego różne. Doroczny kongres, który trwa zwykle pięć a czasem siedm miesięcy, sprowadza tłumy obywateli, którzy albo, jako przedstawiciele zasiadają w obu izbach, albo przybywają do stolicy z powodu prywatnych spraw, które przez areopag kongresowy rozstrzygane być mają. Dla tego, kto chce badać życie publiczne Stanów Zjednoczonych, pobyt w Washingtonie w czasie kongresu daje pole szerokie do obserwacyi i jest istotnie wielce zajmującym. Niezwykła drobiazgowość prasy tutejszej chwytającej w lot najdrobniejsze okoliczności, podające do wiadomości publicznej wszystko cokolwiek się zdarzy nowego, tak w sprawach publicznych, jako téż i prywatnych, ułatwia bardzo, świeżo przybyłemu, powiadomienie się z tokiem bie-

<sup>1)</sup> Most ten pod koniec mojego pobytu w Ameryce, zastąpiony był wi-  
szącym, jako dogodniejszym; lecz w grudniu 1874 roku zarwał się pod pocią-  
giem, którego pasażerowie śmierć straszliwą znaleźli w tej katastrofie.

<sup>2)</sup> Interes.

żących rzeczy. Olbrzymie dzienniki tutejsze poświęcone są tylko sprawom krajowym, dla spraw zagranicznych pozostawiając jedynie rubrykę, bardzo szczupłą; ażeby więc je zapełnić, redakcyje uciekać się muszą do zbierania bardzo nawet mało znaczących wydarzeń, które w całej nagości nieoszczędzając ani faktu ani nazwiska osoby grającej w nim rolę, publiczności podają; można więc łatwo sobie wystawić, jak każdy fakt dotyczący się życia politycznego, ponieważ ogół obchodzi, jest łakomie chwytanym przez dziennikarzy, którzy starają się jak najwięcej go rozdrobnić i najobszerniej się o nim rozpisać. W kilku państwach europejskich razem zebranych niema z pewnością tyle dzienników, ile ich jest w Stanach Zjednoczonych, a każdego z nich dziennie wychodzi po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy; mania zaś czytania ich tak jest powszechną, że nietylko ludzie dorośli wszystkich klas, zaczawszy od prezydenta rzeczypospolitej do murzyna co ostrzygi roznosi, czytają po kilka dzienników na dzień, zwłaszcza te przynajmniej co są bardziej nateraz popularne; co chwila nawet widzi się dzieci siedzące na progu domu z większych rozmiarów od siebie dziennikiem w ręku.

Taka swoboda prassy, przy tak ogólnym popędzie ku czytaniu, mogłaby znakomicie oddziaływać na postęp i ogólne rozjaśnienie umysłów; gdyby taż prassa chciała zrozumieć swoje posłannictwo i przywileje, i utrzymać właściwą sobie powagę; ale niestety! tutaj nie czytelnik podnosi się do prassy, ale prassa zniża się do czytelnika, zapatrując się na swoją specyalność, nie jako na posłannictwo, ale jako na przedsiębiorstwo mniejsze, lub większe korzyści przynosić mogące. Więc ażeby uzyskać sobie większą moc różnorodnych czytelników stałych i niestałych, redakcyje usiłują w piśmie swoim zastosować się do różnorodnych upodobań i usposobień publiczności. Poważny dygnitarz zajmujący wysokie stanowisko w hierarchii urzędowej, znajdzie tam polemikę często z szarpiącymi komentarzami stronnictw politycznych; młodzież obojęj płci kronikę skandaliczną z werwą a łaskawie redagowaną; kobiety, opis dokładny toalet balowych i nowości mody; a lud prosty i dzieci ogromny zbiór faktów dokonanych w całym kraju morderstw, kradzieży, oszustw wszelkiego rodzaju, które opisane z drobiazgową dokładnością, codziennie zajmują znaczną część dziennika, zwykle umyślnie dla zainteresowania chciwiej grubych wrażeń gawiedzi, dziwnie w jaskrawem świetle przedstawiając, bez względu na to, jakie to straszne skutki, takie osvajanie z występkiem prowadzić za sobą może. Widząc z jaką ciekawością małe chłopcy czytają tego rodzaju opisy, myślałam sobie nieraz, że może niejeden z późniejszych zbrodniarzy zaprawiał się do występku i uczył się w jaki sposób najzręczniejsz go dokonać, czytając dzienniki publiczne. Dla nas Europejczyków, świeżo jeszcze do Ameryki przybyłych, a nawykłych do powagi naszej prassy, razi z razu straszliwie taka bezcelowość i szarlatanerya; ale jak się zwykle dzieje, wchodząc samemu jednemu w tłum nowój społeczności,

po mimowoli idziemy z ogółem nas otaczającym, a wcielając się w jego życie, oswajamy się powoli z tém co nas pierwój raziło. To jest powodem, że my w Europie mamy w wielu razach bardzo mylne wyobrażenia o Ameryce, gdyż ci co nam o niej dają sprawozdania, są albo tacy, co przybyli tu goniąc za dorobkiem, a osiągnąwszy cel pożądaną z usposobieniem zadowolenia patrzą na wszystko co ich otacza, więc téż i widzą wszystko w jaśniejszém świetle; albo téż tacy, co z rozmaitych pobudek przybywszy tutaj, stawszy się obywatelami kraju i używając przywilejów jego, chociaż nie wszystko co w nim widzą trafia do ich przekonania, nie chcą wszakże wydać złego świadectwa o narodzie, w który się wcielili i którego cząstkę stanowią. Jednego z takich właśnie mam przed oczami. Pan K. człowiek światły i gruntownie zany, od czterdziestu lat już jest obywatelem Stanów Zjednoczonych; zna najdokładniej tutejszą społeczność i widzi jasno wszystkie jej słabe strony, o czém w poufnej rozmowie mówi otwarcie; a jednak ile razy słowem, czy pismem wypada mu jawnie wydać o niej świadectwo, to gotów zawsze stanąć w jej obronie, a czy go w tém usprawiedliwić, czy téż za złe mu to mieć należy, trudno stanowczo powiedzieć.

Często się téż zdarza, jak uważałam, że nie jeden przybywając tutaj nicogłędnie odjął sobie możność powrotu; chce więc potém wzmówić w siebie i w drugih, że jeżeli stracił bezpowrotnie to wszystko za czém skrycie tęskni, za to zyskał to i owo, co mu z nawiązką stracone zastąpi. Na to, ażeby o społeczeństwie tutejszém wyrzec można słowo bezstronne a prawdziwe, potrzeba być obojętnym gościem, który nie związany niczém, może patrzeć chłodno i sądzić sprawiedliwie.

Utrudzająca i połączona z niebezpieczeństwem podróż po oceanie, odstręcza od zwiedzania Ameryki wędrowców, których celem podróży po świecie, jest badanie społecznego życia. A szkoda jednakże! I gdybyśmy mieli gruntowne, poważne, a sprawiedliwe przeświadczenie o ruchu i kierunku społeczności Stanów Zjednoczonych; odjęłoby nam może wiele ze złudzeń naszych, ale za to niewątpliwie rzuciłoby jasne i zdrowe światło na wiele zawitych kwestyi żywotnych, na które dziś jeszcze zapatrujemy się przez pryzmat teoretycznych uniesień. A i Amerykanie gdyby się często spotykali z surową krytyką, zrozumieliby może znaczenie i potrzebę opinii publicznej, obudziliby w sobie ducha i zmienili kierunek. Jeżeli osobistość pojedyncza podlega sądowi, w celu powstrzymania mogącego się szerzyć występku; dlaczegoż naród cały nie miałby być ściganym tak samo sądem opinii, za zabicie w sobie sumienia i ducha?

25 *grudnia*. Dzisiaj jest pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, zwany tutaj *Chrystmas*, który Amerykanie ze szczególną uroczystością obchodzą. *Chrystmas* i dzień czwartego lipca, rocznica wyzwolenia Stanów z pod rządu angielskiego, są to jedyne dni, które Amerykanie, oprócz niedzieli za święta uznają i uroczystie obcho-

dzą. Zwyczaj rozdawania podarków w dzień Bożego Narodzenia jest o wiele jeszcze powszechniejszy jak u nas, co uświetnia bardzo uroczystość. Od północy już słychać wystrzały z armat i ręcznej broni, dzieci od samego rana biegają po ulicy, młodsze rzucają przechodniom pod nogi pukawki, a starsze chłopcy strzelają nad uchem z krucic i rewolwerów wołając „Chrystmas.“ Doświadczwszy kilka razy takich niespodzianek idąc do kościoła, nie mam ochoty więcej wychodzić dzisiaj i narażać się na nie powtórnie; bo przy panującej tutaj samowoli nie można być pewnym, czy oprócz prochu i kula nie zaplącze się czasem w lułę w plecy wymierzoną, i strzał wiwatowy, czy śmierci nie sprowadzi. Siedzę więc u siebie i poświęciwszy długą chwilę serdecznym wspomnieniom i przesłaniu w stronę ukochanego kraju tęsknego westchnienia; siłą woli wyrывая się ze smutnego usposobienia, biorę pióro do ręki i pisać zaczynam a nabierało się też dużo materiałów.

Tak jak w New-Yorku i Washingtonie, także zrazu zamieszkałam w Boarding-house; ale widząc że wypadnie mi podobno zabawić tu dość długo, po kilku tygodniach postarałam się wyszukać sobie jakieś mieszkanie w domu prywatnym. Łatwo mi to przyszło, gdyż nie ma tu domu w którymby nie miano jednego lub dwóch pokoiów do odnajęcia, a mając jak zawsze na pierwszym względzie to, ażeby chwytać każdą zręczność taką któraby mi dopomagała do o ile można najgruntowniejszego poznania życia tutejszego, urządziłam się w ten sposób, że w jednym prywatnym bardzo porządnym domu najęłam sobie mieszkanie złożone z dwóch pokoiów, a w drugim tuż obok będącym, umówiłam się o całodzienne jedzenie, na które sama przychodzę.

Tym sposobem udało mi się wcielić w dwie rodziny tutejsze, a patrząc codzien z bliska na ich życie domowe, łatwo mi przychodzi chwytać każdy odcień zwyczajów i obyczajów miejscowych. Im więcej się wpatruję w życie tak prywatne jak i publiczne, tém gruntowniej się przekonuję, że jedyną jego dźwignią jest dorobek; na nim się to gruntują ambitne widoki wysokiego i wpływowego stanowiska, jako też poszanowanie ogólne.

Dla bogatego tu wszystko otwarte; ubogiemu nic niedostępne: kluczem do wszystkiego jest pieniądz. Ster rządu w ręku kapitalistów, którzy wybierani są przez antreprzyę, to jest w ten sposób: że kandydat chcący osiągnąć jakieś rządowe stanowisko, udaje się do przedsiębiorcy i robi z nim umowę, a ten już sam zbiera głosy dla niego, kupując je na rozmaite ceny, stosownie do okoliczności i do tego jaka jest pozycja i wymagania głosującego. A zatem to tak świetnie brzmiące prawo wolnego głosu, przywilej wszystkim stanom narodu zarówno służyć mający, staje się najzupełniej sparodyowanym, bo massy ludu niższych sfer, są ślepém narzędziem w ręku bogaczy. Nie trzeba wszakże sądzić, ażeby dążnością kandydata, na wysoką posadę urzędową była próżność sama, lub chęć wyniesienia się na



stanowisko wpływowe, świecznika krajowego. Najczęściej jest to także pewna spekulacja, która prawie nigdy nie zawodzi; bo rzadko który z wyższych urzędników, przez czas zajmowania swojej godności, nie zrobi fortuny, lub nie potrafi przygotować sobie dróg do niej, a rzecz to łatwa przy takich instytucjach jakimi się rządzą Stany Zjednoczone i które są konstytucją zastrzeżone. Według nich, rząd żadnego ekonomicznego gospodarstwa prowadzić nie może, a wszelkie potrzeby kraju przez prywatne przedsiębiorstwa zaopatrywane być mają; a któż tu nie jest przedsiębiorcą? Łatwo więc człowiekowi będącemu jednym ze stojących u steru rządu, u ogniska uchwał wszelkich, podnieść interes przedsiębiorstwa, którego sam jest jednym z filarów.

Człowiek ubogi, niemający kapitału obrotowego, z całą swą nauką i wyższym wykształceniem jest tylko narzędziem w rękę kapitalisty; bo tu nie specjalność, ale kapitał robi przedsiębiorcę, który biorąc jakąś entryprzyę, nie troszczy się wcale o to, że gałąź ta dla niego zupełnie jest obca. Wié on że emigracja europejska dostarczy mu zawsze dostatecznego kontyngensu specjalistów, którzy za nędzną stosunkowo płacę, posłużą mu swoją nauką. Ztąd ta straszna fuszeryja, jaką się odznaczają tutejsze wszelkie roboty, zwłaszcza tak zwane publiczne.

My w Europie, a mianowicie w naszym kraju, jakby za panią matką powtarzając pacierz, głosimy ciągle sławę techniki amerykańskiej, a jednak te straszne wypadki które się codziennie trafiają, te zatłumające się mosty, pod całymi pociągami kolei, te gmachy co się co chwila zapadają, przygniatając robotników, około ich ukończenia pracujących i tyle tym podobnych, które zgrozą przejmują, wcale nie dowodzą, ażeby technika tutejsza do pewnego stopnia doskonałości posunięta, sumiennie a ze znajomością rzeczy prowadzoną była.

Tutejsze społeczeństwo przyjęło sobie dewizę, która się stała prawem ogólnym: „wszystko za pieniądze, nic bez pieniędzy.“ To téż i cały nastrój i czysto-pozytywny jego kierunek do tego się stosują. W całych Stanach Zjednoczonych, młody chłopiec do lat czternastu chodzi do szkoły, potem rodzice ustalają go w jakimś „businessie,“ to jest interesie, gdzie ma już stały zarobek, i tracą go z oczu; a chłopiec już dalej sam sobie radzić musi, ażeby ten zarobek powiększyć i móż co najwięcej odłożyć dolarów na kapitał. To mu wskazano od dzieciństwa jako jedyny cel życia, i o nic téż więcej się nie troszczy; wié, że jeżeli zechce wejść gdzieś i zawiązać stosunki, to się nie zapytają, czy ma wykształcenie i dobrą opinię, ale ile dolarów na tydzień zarabia. Jestto bowiem jedyny próbierz, którym tu mierzą wartość i zdolność człowieka. Młody człowiek nietylko więc że nie ma czasu, ale nie czuje ani ochoty, ani potrzeby kształcenia swego umysłu. Materyalizm tak wcześnie w nim rozwijany powstrzy-

muje od wszelkiego polotu młodzieńczego ducha i przygniata go całkowicie.

Kobiety mają do kształcenia się daleko więcej i pola i czasu. Czasu, bo tutaj praca nie jest udziałem kobiety, która przez całą młodość swoją pedząc życie zupełnie bezczynne, mogłaby się oddać systematycznej nauce. Pola, bo jak wiadomo, wszystkie wyższe zakłady naukowe, jak uniwersytety i licea, gdzieindziej wyłącznie dla mężczyzn służące, tutaj są otwarte dla kobiet; pomimo to jednak bardzo rzadko można tu spotkać taką, któraby posiadała szerszą naukę i myśl rozwiniętą, nie mówiąc rozumie się o wyjątkach, które w zupełnie wyższych sferach znaleźć się mogą, ale biorąc w ogóle, inteligencja kobiet jest uszpioną i kompletnie zaniedbaną. Niejednokrotnie już uderzoną byłam ciemnotą i odrętwieniem umysłowem, tych które bliżej poznaje.

W porządku natury, jest, ażeby mężczyzna był w życiu przewodnikiem kobiety. Jeżeli więc prawo natury uważać będziemy za niewzruszone, nie zadziwi nas zatem, że tam gdzie mężczyzna nie dąży do spotęgowania swojego umysłu gruntowną nauką, do rozszerzenia wiedzy swojej, a wysoko rozwiniętą inteligencją i nauką, zdobywając sobie pewnego stanowiska i ogólnego poszanowania; że tam gdzie cały rozwój umysłowy opiera się tylko na przebiegłości i sprycie umysłowym, że tam i kobieta nie czuje potrzeby nauki i nie podnosi się umysłowo, wbrew instytucji równouprawnienia, która już tu stanowczo ustaloną została przez prawodawstwo krajowe.

Kobieta tutaj zostaje pod szczególną opieką rządu, który nie tylko że prawo jej usamowolnienia, w całej jego rozciągłości utwierdził, ale prawodawstwo udarowało ją jeszcze szczególnymi przywilejami, które gdzieindziej nawet za niesprawiedliwość byłyby uważane. I tak na przykład: w sprawach sądowych, świadectwo jednej kobiety, przeciwko mężczyźnie wystarcza; ale ażeby świadczyć przeciwko kobiecie, dwóch świadków mężczyzny potrzeba. Żona w każdej chwili kiedy się jej podoba, męża i dzieci porzucić może, nie będąc obowiązana do żadnych ustępstw na ich rzecz, ze swego osobistego funduszu; mąż zaś kiedy zechce rozstać się z żoną, musi przedstawić sądowi ważne do tego powody, i zrzec się części swoich dochodów, na utrzymanie opuszczonej rodziny. Jak w tych tak i w wielu innych jeszcze razach, kobieta doznaje podobnych łaskowości i opieki prawa; opieka ta jest wynikiem nastroju tutejszego społeczeństwa i jest konieczną. Mężczyzna, zmateryalizowany i pozbawiony wszelkich estetycznych uczuć, zbyt często stawał się tyranem i z dzikością nadużywał swojej przewagi; dla porządku więc publicznego potrzeba było ażeby prawodawstwo się tu wdało, a dając równe prawa kobiecie, osłoniło ją od przemocy i z niewolnicy podniosło do stanowiska towarzyszki.

Z tych to pobudek, wynikła kwestya emancypacji kobiet w Stanach-Zjednoczonych, a wkrótce jej stanowcze tam ustalenie, co

w Europie tyle rozgłosu zrobiło i pozyskało świetne miano postępu. Czy wszakże instytucję tę, istotnie postępową cywilizacji nazwać można? Czy zadawalniająca przynosi ona rezultaty? o tém tutaj na miejscu sądzić tylko można, wnikając głębiej w życie rodzinne i towarzyskie.

Pewnik to już stwierdzony wiekowem doświadczeniem, że wszystko cokolwiek natura utworzyła stanowi doskonałą harmonię; ile razy zaś człowiek pyszny siłą swego rozumowania, chciał coś na wspak temu porządkowi ustanowić, stoło się to tylko niedołęzną anomalią: tak się téż to dzieje i z kwestyą społeczną amerykańską emancypacji kobiet. Prawo natury ustanowiło, ażeby, jak to wspomnieliśmy wyżej, mężczyzna był opiekunem i przewodnikiem kobiety, a nie był to wszakże próżny kaprys, téj wszechdoskonałej natury; wynik to całolitego ludzkości ustroju, którego, bez narażenia na zupełne rozprzężenie, niepodobna nadweryżyć. Emancypacja usiłuje zniweczyć to prawo; według jej nowatorskich prawideł, mężczyzna staje się towarzyszem kobiety, może być czasem jej przyjacielem, ale nigdy opiekunem i przewodnikiem, a ona o własnej już sile, wchodzi w szranki publicznego życia, i staje do współzawodnictwa. Bóg w swoim arcydziele wszechstworzenia, wszystko czemu tylko dał życie, podzielił na dwie połowy rodzaju; a każdój zaraz określił stanowisko i wskazał działalność, równie ważną, równie konieczną. Stwarzając mężczyznę i kobietę, pomiędzy nich téż podzielił pracę i trudy wspólnego życia.

Mężczyźnie nakazał zdobywać to, co do istnienia ich obojga i ich pokolenia jest koniecznem; zaopatrywać potrzeby ich ciała i ducha, walczyć, łamać trudności napotykanne, i iść naprzód i naprzód ciągle, w postępie swoim prowadząc za sobą nowy ród, nowe pokolenie. Kobięcie, dawać życie cielesne temuż pokoleniu, pielęgnować i rozwijać w niem życie duchowe, przygotowywać surowe materyały, a pracując u podstaw społecznych, pracować w zaciszy, ale pracować bezustannie a wytrwale. Mężczyźnie rozszerzając zakres jego prac, przeznaczając go do ciągłego bojowania, natura zahartowała siłę fizyczną, rozwinęła w nim polot i potęgę myśli. Kobięcie, której nakazano dzielić się życiem i siłami swemi, z istotą której życie daje, dano siły fizyczne węższe; ale Bóg stawiając ją przy zawiązku ducha, którego dalszy rozwój i kierunek jej poruczył, obdarzył ją wielką potęgą ducha i uczuę serdecznych. Tymto sposobem, mężczyzna z kobietą tworzą doskonałą całość, której ani rozdzielić, ani zmienić ich stanowiska niepodobna. Szerzyciele emancypacji porwali się wszakże na to, a co utworzyli, to życie społeczne Stanów Zjednoczonych dosyć jaskrawo wyświetała.

Prawo tu bardzo surowo przestrzega poszanowania kobiety; i czyto na ulicy, czy w jakimkolwiek miejscu publicznem, pod karą więzienia nikt nie odważy się kobiecie uchybić, a jednak w stosunkach towarzyskich, lekceważenie jej do najwyższego stopnia dochodzi, i trudno sobie wyobrazić, jak bardzo pod tym względem ujemne jest

tutaj jęj stanowisko. Obcy dostrzegacz wchodząc w towarzystwo, odrazu nieprzyjemnie uderzony jest, widokiem gburowatości i tęj zupełnej bezżeny, z jaką tu mężczyzna traktuje kobietę. Widoczném jest, że nie czuje się on bynajmnień obowiążany do jakichkolwiek ustępstw dla nięj; objaw to najpierwszy emancypacyi i wynika samo z dążenia kobiety, która usiłuje stanąć na stopie koleżeństwa z mężczyzną. Wszakże z postępowania mężczyzny w stosunku towarzyskim z kobietą, nie można widzieć tego, ażeby ją traktował zupełnie jak towarzysza i kolegę; jest bowiem przytém jakaś impozycya i lekceważenie, które dla nieprzyzwyczajonego, zwłaszcza kobiecego oka jest oburzającym. Nie umiem opisać mego wrażenia, kiedy po raz pierwszy znalazłam się w towarzystwie tutejszém; kobieta, którą niezwykłam widywać dotąd inaczęj jak otoczoną poszanowaniem zupełném, na której wejście do salonu mężczyźni powstają, do której nie mówią inaczęj, jak z pełnym grzeczności i szanowania ukłonem; tutaj ujrzałam ją odartą najzupełnie z tęj uroczej powagi. Młodzież męzka, rozrzuciona niedbale, w postawie, która u nas uważaną byłaby za nieprzyzwoitą w najwyższym stopniu, z cygarem w ustach, z szyderczą ironią odpowiada na uprzedzające uprzejmości kobiet, które widocznie, pomimo wszystkie teorie emancypacyi pragną zdobyć ich hołdy.

Emancypacya kobiet, wywracając dotychczasowy porządek, nie mogła jednak złamać tego prawa natury, w moc którego uczucia były, są i będą, głównym motorem życia kobiety; w moc którego zawsze i wszędzie od bieguna, do bieguna, kobieta potrzebuje być kochaną i pragnie się podobać; a więc w Ameryce także ulegać musi temu prawu i chce się podobać. Ale upoważniona do współzawodnictwa, zaślepiona dumą, zapomina niestety, że główny jęj urok w oczach mężczyzny stanowi właśnie jej słabość. Według ogólnego zwyczaju, kobięta ucieka, mężczyzna goni; tu jest zupełnie inaczęj; bo kobięta ufna w swoje prawa, staje w roli wyzywającęj; mężczyzna zaś w odpornęj. Ztąd kokieterya kobiety dochodzi do potwornych rozmiarów i staje się aż wstrętną; ztąd tęcz lekceważenie jęj przez mężczyznę, który niepotrzebuje się o nią ubiegać. Widzi jęj niedołężtwo pokryte brawadą, a ta zwalnia go od wszelkich dla nięj obowiązków.

Fałszywy ten stosunek, prowadziły za sobą często gorsze jeszcze niż są następstwa, gdyby nie to, że i tu prawo rozciąga nad kobietą opiekę aż do niesprawiedliwości posunięta. Dość jest bowiem ażeby kobięta dowiodła przed sądem mężczyźnie, że ten ukazywał się z nią razem publicznie, albo w obec świadka powiedział jęj jakieś zapewnienie miłości; ażeby tenże został skazany, albo na ożenienie, albo na zapłacenie summy takięj, jakięj skarżęca się zażęda, jako wynagrodzenie jęj za zawód w powziętych nadziejach małżeństwa. Prosta rzecz, że taki argument zmusza poniekąd młodzież męzka do

ostróżności; wszakże nie zapobiega w zupełności, że dzieją się tu rzeczy takie, które dowodzą rozprężenia obyczajów i w wysokim stopniu rozpasanej samowoli.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z dziedziny przyrodoznawstwa.

PRZEZ

*T. Skomorowskiego.*

Karol Lyell i nowożytna geologia.—Czwarte wydanie dzieła „Starożytność człowieka” i zmiany zaprowadzone w niem przez autora.—Trudność dokładnego określenia pojęcia „gatunek”.—Hipoteza o mgławicach i jej obecny stan.—Fauna okolic południowych.

W miesiącu lutym r. b. zakończył życie jeden z najznakomitszych naturalistów angielskich, ojciec nowożytnej geologii Karol Lyell. Nie jest naszym zamiarem kreślić na tém miejscu biografię uczonego geologa angielskiego, w przekonaniu, że podobne życiorysowe notaty, tak ważne w życiu polityków, mężów stanu i w ogóle publicystów, nierównie właściwiej jest zastępować w życiu uczonych poglądami, jakie postawili ci uczeni, teoryami, jakie zbudowali, doświadczeniami, jakich w ciągu swego żywota dokonali.

Życie Lyella nie obfituje zresztą w wielkie i efektowne wypadki. Wielkie zmiany na polu wiedzy, wielkie naukowe odkrycia, oto wszystko, co je wypełniało. Prace jego naukowe noszą na sobie cechę oryginalności; widać w nich wszędzie tę ogólną dążność do poznania prawdy, której całe życie szukał, tak iż na zapytanie „Gdzie Lyell”, u każdego prawie Anglika była w ustach odpowiedź: „Zapewne gdzieś na dnie studni szuka prawdy”<sup>1)</sup>, co prawie poszło w przysłowie. Już znajdujemy go badającego dawne i nowe pokłady swojej rodzinnej okolicy, hrabstwa Forfarshire; już dokonywającego obserwacji nad podnoszeniem się i opadaniem i w ogóle ruchem powierzchni ziemi oraz innych ciekawych faktów geologicznych w Skandynawii; nad zjawiskami obniżania i wulkanami w Owernii; już wreszcie badającego pokłady trzeciorzędowe na wielu miejscach europejskiego kontynentu i w Ameryce. Szesnaście lat prowadził mozolny dziennik Etny. Jego wielkie dzieła dowodzą, z jakim zamiłowaniem, z jaką pracowitością sprawdzał na

<sup>1)</sup> „Wher's Lyell?” „Oh! he's sure to be somewhere at the bottom of a well, seeking for truth.”

gruncie wszystko to, na czém opierał najważniejsze swoje rozumowania.

Pierwsze wydanie pomnikowego dzieła Lyell'a „Principles of Geology” pojawiło się w r. 1829/30. Chodziło tu o zbadanie skutków *obecnie* działających przyczyn, aby ztąd wnosić o przeszłości. Skutki te nazwał Lyell autobiografią naszej planety. Według jego zdania, siły obecnie działające, co do swojej istoty i natężenia, są podobne do tych, które w odległych okresach geologicznych powodowały największe zmiany.

Wprawdzie jeszcze w końcu zeszłego wieku postawiony był pogląd, że zatapianie się wielkich lądów, podobnie jak występowanie nowych, odbywa się powoli; ale dopiero Lyell kategorycznie wypowiedział to zdanie, dodając, że aby się o tém przekonać, potrzeba długich i mozolnych obserwacyj. „Ruch świata nieorganicznego, powiada, daje się przyrównać do skazówki zegaru, której posuwanie się widzimy i słyszemy, podczas gdy fluktuacje natury organicznej z trudnością są dostrzegalne. Śledząc je długi czas i porównyując ich wzajemny stosunek przed rozpoczęciem się, po upływie pewnego czasu, możemy przekonać się o rzeczywistości tego ruchu.”

Przykład dany przez Lyella znalazł wielu naśladowców. Zaczęto badać, jak powiada gorący zwolennik ewolucjonizmu, Oskar Schmidt, <sup>1)</sup>, skutki działania rzek, które dotąd zanedbywano, studyować osady delt, kolosalne osadzania się szlamu, jakie wskazuje Nil i Amazonka, dalej niszczącą pracę nieregularnych ruchów morza, oraz raz niszczącą, to znowu budującą pracę jego regularnych prądów. Zmierzano, w jaki sposób lodowce bruzdują, ścierają, polerują i miażdżą skały; zbadano, co źródła mineralne rozpuszczają i osadzają, jakie materiały przez obecną czynność bywają przesuwane, jak kształt ziemi i morza, w skutek podnoszenia i opadania lądów, zmianie ulega. Nawet porównywanie dawniejszych i dzisiejszych raf koralowych doprowadza nas do wniosku, że ci spokojni architekci nie zmienili sposobów, jakimi prowadzą dalej budowę. Słowem przyjęcie nadzwyczajnych, w czasie obecnym niesłychanych wydarzeń i sił, zdaniem O. Schmidta, okazuje się niepotrzebném. Do objaśnienia rozwoju skorupy ziemskiej, według teorii Lyella, potrzeba tylko czasu.

Otóż rozumowanie podobne, na które tak bezwarunkowo zgadza się O. Schmidt, byłoby racjonalne wtedy tylko, gdybyśmy byli pewni tego, że siły o których mowa działają jednostajnie i stale. Ale doświadczenie przekonywa nas, że w wielu razach nie tak się rzecz ma, że siły te działają nieraz nadzwyczaj nieregularnie. Co większa, gdyby nawet za dni naszych tak było, jak tego wymaga teoria, to doświadczenie nasze jest nadzwyczaj ograniczone, abyśmy na jego podstawie mogli czynić wnioski o całości z jednej maleńkiej cząsteczki, bez narażania się w tym razie na otrzymanie mylnych rezultatów. Badanie

<sup>1)</sup> „Descendenzlehre und Darwinismus,” pag. 118.

pewnych zjawisk geologicznych w ciągu szeregu lat, w ciągu nawet wieku całego, dostarcza wprawdzie dowodu, który może mieć wartość w danym razie jako ogniwo wielkiego łańcucha wypadków, nie stanowi przecież miary, kiedy idzie o stosowanie rezultatów tego badania do całego cyklu. Wartość doświadczenia jest w tym razie w stosunku jego długości do cyklu zjawisk badanych.

Pozostawiając jednak na stronie kwestyę tę, której Lyell, a tém bardziej O. Schmidt nie był w stanie stanowczo rozwiązać, mimo iż tak kategorycznie wypowiada się pod tym względem, nie możemy nie przyznać, że zmiany rzeczywiście mają miejsce: zmiany poziomu, budowy, twardości lub rozpuszczalności. Czy jednak zmiany te są jednostajne i ciągłe, dotąd *sub judice lis est*.

Drugim większych rozmiarów dziełem Lyell'a jest „Starożytność człowieka” <sup>1)</sup>, którego przed rokiem wyszło w Londynie wydanie czwarte, znacznie rozszerzone i uzupełnione przez autora. Lyell wprowadził doń liczne rezultaty, zdobyte poszukiwaniami Pengelly'ego, Falconer'a i Prestwich'a. Autor podał w tém nowém wydaniu opis szkieletu znalezionej przez Rivière'a w jaskini mentońskiej. Na podstawie niegładzonych narzędzi i zwierząt zaginionych, jakie tam się znalazły, odnosi ten szkielet do wieku paleolitycznego. Powiada nam w przedmowie, że już po wydrukowaniu dzieła Rivière'a odkrył drugi szkielet w jaskini sąsiedniej i w tych samych znajdujący się warunkach. Zwierzęta zaginione znalezione były na wyższym poziomie; wszakże Lyell sądzi, że kwestya położenia ich powinna być starannie zbadaną wprzód, nim „można będzie ostatecznie ustanowić geologiczny stosunek wieku szkieletów ludzkich.”

Lyell uważał za potrzebne zupełnie przerobić część dzieła swego traktującą o okresie bezpośrednio poprzedzającym okres, w którym mamy ślady człowieka. Co się tyczy dzieła lodów, jest cokolwiek niezdecydowany; w obecnej edycji dzieła swojego roztrząsa obie strony tej kwestyi, podając liczne ciekawe fakta z badań Nordenskiölda i Browna. Również przytacza bardzo wiele danych, zupełnie nowych, a odnoszących się do starożytnej cywilizacji, o jakiej dają nam wyobrażenie pomniki egipskie i zabytki krajów wschodnich. Wreszcie w tém wydaniu podaje liczne ważne fakta wzięte z rozprawy Huxleya „O związku gadów z ptakami,” pomieszczonej poprzednio w *Popular Science Review*; dalej niektóre dane co do początku rasy z dzieła Darwina „Pochodzenie człowieka,” oraz książki Galtona „Gieniusz dziedziczny.”

Many wiele dowodów istnienia jaskiń: od jaskini Kent w Anglii do wspaniałych jaskiń Les Eyzies i Dordogne. Lyell wykazuje, że

<sup>1)</sup> „The Geological Evidence of the Antiquity of Man, with an Outline of Glacial and Post-Tertiary Geology, and Remarks on the Origin of Species in the special reference to Man's first Appearance on the Earth.” By Sir Charles Lyell, M. A., F. R. S. 4 Edition, revised. London.

w jednej z jaskiń znaleziony został rzeźbiony stoliczek z kości słońcowej, niewątpliwie wyrobiony z kości mamuta. Takim sposobem popiera silnie opinię, że człowiek pierwotny był współczesny z mamutami, który to fakt dotąd podawany był w wątpliwość.

Szczegółowo rozwodzi się Lyell nad badaniem jaskini Kent, podając niektóre ważne uwagi nad zębami szczególnego tygrysa, zwanego machairodus. Pengelly nie zgadza się z opinią Boyd Dawkins'a co do stanowiska tego zwierzęcia, i mieści je w wyższych pokładach, gdy tymczasem Dawkins odnosi je do niższych. Zresztą nie ma to wpływu na ważność odkrycia zębów tego zwierzęcia. Co się tyczy dowodów starożytności człowieka nic na podstawie geologii, ale na podstawie historii, autor w tej edycji dowodzi wielkiej starożytności cywilizacji egipskiej.

„Nie możemy brać pod uwagę—powiada—samej tylko wielkości i liczby piramid obecnie istniejących, a nie mówić nic o napisach na nich położonych, nie przypuszczając, że są dziełem długiego szeregu pokoleń. Najznakomitsi przecież uczeni są zdania, że te piramidy zbudowane były przeszło na 3000 lat przed narodzeniem Chrystusa, i mamy dowody na to, że Egipcjanie *wtedy już posiadali ustalony rząd, znakomicie postąpili w sztukach i mieli licznie rozgałęzione stosunki handlowe.*”

Słuszną również jest opinia Lyella co do trudności dokładnego określenia, co to jest gatunek. Autor powiada, że im więcej wystąpiło nowych form, tem trudniej zdecydować, co rozumieć należy przez odmianę, a co przez gatunek <sup>1)</sup>. Większa część najznakomitszych naturalistów uważa określenie gatunku za kwestyę niepodobną do rozwiązania, jeżeli ma się rozumieć definicya ma być dokładną, a nie pozostać czczym ogólnikiem bez znaczenia. W każdym razie, czyto pójdziemy za określeniem dawniejszém Linneusza, czy też za nowszém E. Häckla, niewiele się z niego dowiemy <sup>2)</sup>. Co do nas, trzymamy się opinii, że lepiej jest w książkach popularnych nie dotykać nawet tej wieży Babel, jaką jest określenie gatunku, i pozostawić każdego czytelnika przy własném jego pojęciu o gatunku. I dlatego błachym wydaje nam się zarzut stawiany przez recenzentów dziełkom popularnym, w których nie objaśnioném zostało, co to jest gatunek.

1) „What Lamarck then foretold has come to pass; the more new forms have been multiplied, the less are we able to decide what we mean by a variety, and what by a species.“ Lyell, op. cit.

2) Podług Linneusza, jak podaje Cuvier w swojém „Règne Animal“ definicya gatunku jest taka: „la réunion des individus descendant l'un de l'autre et des parents communs, et de ceux qui leur ressemblent autant qu'ils se ressemblent entre eux.“ Podług Häckla gatunek jest „die Gesamtheit aller Zeugungskreise, welche unter gleichen Existenzbedingungen gleiche Formen zeigen.“



Nie mogąc dłużej zatrzymywać się nad tém poprawnym wydaniem znakomitego dzieła Lyella, powiemy w ogóle, że prawie wszystkie kwestye traktuje autor z tym spokojem i powagą, które stanowią charakterystyczne jego cechy. Dlatego to książka Lyella będzie bardzo cennym nabytkiem dla naukowej literatury naszej, jeżeli wydanie jej przyjdzie do skutku <sup>1)</sup>). Radzilibyśmy tylko tłumaczowi, aby przekładu dokonał według 4-go wydania angielskiego, gdyż wydania dawniejsze nieodpowiadałyby dzisiejszemu stanowisku nauki.

Wracając do głównego dzieła Lyella, stanowiącego epokę w geologii, zaznaczymy, iż ogólna zasługa jego polega na tém, że zorganizował całą metodę badania historii powstania skorupy ziemskiej, kładąc stałe zasady nauki geologii. Teorya jego, jak powiedzieliśmy wyżej, daje się głównie zawrzeć w tych słowach, iż przez jednostajne działanie sił, jakie obecnie występują na ziemi, utworzoną została widzialna skorupa ziemska ze stanów poprzedzających naszej planety.

Wszakże Lyell nietylko był znakomitym badaczem samych zjawisk naturalnych; widzimy w nim również bystrego obserwatora natury ludzkiej, jak tego dowodzi interesujące jego czterotomowe dzieło podróży po Ameryce. Umysł jego, ciągle świeży i otwarty na wszelkie nowe wrażenia, był zawsze sympatyczny dla tych, którzy poświęcali się badaniu natury, i słusznie utrzymują, że gdyby sam nie pozostawił po sobie żadnych prac piśmiennych, to i tak jeszcze wielkieby położył zasługi dla nauki słowami zachęty i gorącym poparciem, jakiego nigdy nikomu nie odmawiał. Nie jeden młody geolog, zachęcony słowami Lyella, pracując gorliwie na polu geologii, oddał ważne usługi tej nauce. Ale Lyell powodzenie swoje winien w pewnej części Leonardowi Horner, z powołania również geologowi, nauczycielowi i przyjacielowi swemu, a późniejszemu teściowi <sup>2)</sup>). Wszakże nierównie więcej zawdzięcza swojej małżonce. Mało komu może wiadomo, ile nauka obowiązana tej kobiecie, dzielącej ze znakomitym geologiem jego prace, uważającej jego powodzenie za swoje własne. Lyell znalazł w niej wybornego lingwistę, nieodstępną towarzyszkę podróży, dzielącą z nim wszelkie niebezpieczeństwa i trudy. Gdyby nie zespoliła pracy swojej z pracą małżonka, niezawodnie i sama byłaby więcej znaną na polu naukowym, i dlatego podnosząc na szpaltach „Biblioteki“ zasługi świeżo zgasłego geologa angielskiego, uważaliśmy za właściwe powiedzieć słówko uznania dla jego uczonej małżonki.

Z ziemi, na której prowadzi swoje poszukiwania geolog, wnieśmy się w przestrzenie światów, dziedzinę badań astronoma, i zastanówmy się nad kwestyą, która zarówno geologa jak i astronoma obchodzić musi.

<sup>1)</sup> Przed niezbyt dawnym czasem „Przegląd tygodniowy“ ogłosił, iż zamierza wydać to dzieło Lyella w przekładzie polskim.

<sup>2)</sup> Karol Lyell pojął za małżonkę starszą córkę L. Hornera.

W całym szeregu nauk niema teoryi (z wyjątkiem może teoryi rozwoju jestestw organicznych), któraby zwróciła na siebie taką uwagę, przeszła tyle kolei, i tak energicznie była bronioną, pomimo silnej opozycji swych przeciwników, jak hipoteza Laplace'a o mgławicach, czyli tak zwana hipoteza nebularna. Niewątpliwie pochodziło to w znacznej części z wziętości tych znakomitych astronomów, którzy ją podtrzymywali całą siłą, ale jeszcze więcej z jej wewnętrznej istoty, oraz z faktu, że wiele zjawisk, niewytłumaczonych w inny sposób, znajduje w niej zadawalające rozwiązanie. Postęp nauk skłania nas do szukania najprostszych praw, przy pomocy których możnaby objaśnić najzawiakławsze z pozoru rezultaty; a hipoteza o mgławicach właśnie stałaby się takim prawem, gdyby można było nadać jej tak wysoki stopień prawdopodobieństwa, jak np. obecnie przyznajemy prawu ciężenia Newtona, albo też teoryi światła, której podstawą jest drganie. Że kiedyś dojdzie może do tego stopnia prawdopodobieństwa i uznaną zostanie za prawdę ustaloną, opinii tej trzyma się bardzo wielu astronomów, którzy uznając jej prostotę i jasność, zgadzają się wszakże na to, iż musi ona uleść znacznym modyfikacyom, jeżeli ma zająć to wysokie stanowisko w przyszłości.

Przed odkryciami, dokonanemi za pomocą spektroskopu, hipoteza nebularna nie miała wielkiego znaczenia. W miarę postępu w budowie teleskopów, z kolei zmniejszała się liczba tak zwanych mgławic, które sprowadzano do rojowisk odległych gwiazd, i zdawało się prawdopodobnym, że powiększenie siły teleskopu stanowi wszystko, czego potrzeba astronomom dla przekonania się, że i pozostałe mgławice dadzą się również sprowadzić do tego samego stanu. Dla zyskania stalszej podstawy potrzeba było odkrycia prawdziwej gazowej mgławicy, któraby poparła tę hipotezę.

Ten ważny rezultat w naszej wiedzy winniśmy spektroskopowi. Kiedy wszelkie inne środki nie były w stanie dać nam pewnych wskazówek co do istnienia w odległych przestrzeniach niebieskich ciał gazowych, spektroskop, to nieocenione narzędzie, rozstrzygnął stanowczo, że znaczna część mgławic, które nie dały się rozłożyć za pomocą najsilniejszych teleskopów, jest poprostu mechaniczną mieszaniną trzech gazów, z których dwa są nam bardzo dobrze znane, to jest azot i wodór, trzeci zaś, jakkolwiek dotąd niezbadany dokładnie, z tém wszystkiém jednak charakterem swoim, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zbliża się do pierwszych, czyli jest ciałem prostém, gazowém, nie dającym się przeprowadzić w stan płynny. Nie jest rzeczą nieprawdopodobną, aby nie miał być jednym z pierwiastków znanych na ziemi, gdyż znajomość nasza rozmaitych odmian widma, jakie otrzymać można od téj samej substancyi wśród rozmaitych okoliczności, jest zbyt niedostateczną, abyśmy mogli wypowiedzieć stanowcze zdanie pod tym względem. Ale spektroskop jest w stanie powiedzieć nam nierównie więcej co się tyczy natury rozbieranego światła, a rezultat, do jakiego przychodzimy na jego podstawie, jak utrzymują nie-

którzy, jest nieprzyjazny hipotezie Laplace'a. Gęstość gazu, z którego wychodzi światło, wywiera wpływ na widmo i mierzy się szerokością linii je składających. Otóż hipoteza nebularna potrzebuje na swoje poparcie koniecznego warunku, aby w przestrzeni niebios znajdowały się mgławice różnego stopnia zagęszczenia. Szerokość linii widmowych dostarcza nam jeszcze pewniejszego i delikatniejszego dowodu, na który więcej możemy liczyć. Ze spostrzeżeń Hugginsa okazuje się, że jasne linie w widmach mgławic nie przedstawiają żadnej dającej się ocenić różnicy grubości. Linie prawie niezmiennie były nadzwyczaj cienkie, a to dostarcza dowodu, że badane w ten sposób gazy są nie tylko jednakowej albo prawie jednakowej gęstości, ale że znajdują się w stanie bardzo małej prężności, które to fakta, zdaniem Johna Plummera, są fatalne dla rozbieranej hipotezy. Ci którzy utrzymują w całości tę hipotezę, powinni, powiada ten uczony, wykazać doświadczeniem, że widmo gęstego gazu, kiedy jest bardzo słabe, nie tylko sprowadza się do pojedynczej linii, ale że sama ta linia bywa wąską, jak w przypadku rozrzedzonych gazów. Jeżeli to twierdzenie nie będzie ustalone, nie pozostanie inna alternatywa nad odrzucenie hipotezy w mowie będącej, jako zwodniczej i nie mogącej służyć do wyjaśnienia początku systemu słonecznego, i trzeba będzie w takim razie, zdaniem Plummera, szukać innej jakiejś nowiej teorii, albo też starać się zmodyfikować dawną, celem rozwiązania tych zagadnień, które miały w niej znajdować rozwiązanie.

Dotąd przyjmowano, że materya mgławic istniała pierwotnie w stanie nadzwyczajnego ogrzania, ale nie wskazywano dostatecznej siły, która wytworzyła tę wysoką temperaturę. Wszakże nierównie fatalniejszym zarzutem, podług J. Plummera, jest ten, że gazy mgławic nie są w stanie, same przez się, utworzyć takiego systemu jak nasz, gdyby nie dodana została inna obca materya z zewnątrz. Prawdopodobnie — ciągnie dalej Plummer — żaden obrońca Lockyerowskiej teorii rozkładu cząsteczek materyalnych na ich pierwotne elementa działaniem wielkiego ciepła nie zajdzie tak daleko, iżby miał wystawiać sobie, że dwa znane gazowe składniki mgławic, łącznie z jedną nieznaną substancją, stanowią wszystko, co potrzeba do utworzenia kuli takiej, jak nasza gwiazda centralna, zwłaszcza w obec tej okoliczności, że potrzebne rzeczywiście materyały, jak wiadomo, istnieją bardzo blisko i zdają się nie mieć innego użytku w ekonomii wszechświata nad tworzenie, przy pomocy mgławic, słońce i systemów takich, jak nasz układ słoneczny.

Wyrażając się w ten sposób, Plummer ma tu na myśli system kometarny, zdolny, według niego, do dostarczania potrzebnego materyału z zewnątrz, oraz do wywiązywania nadzwyczajnej ilości ciepła, o którym wyżej była mowa. Ale nastęrczają się tu pewne wątpliwości, które należałoby usunąć wprzód, aby można było przyjąć, iż podobna okoliczność jest możliwą. Tu należy najprzód odległość mgławic od naszego układu słonecznego, oraz ich prawdziwa objętość, a na-

stępnie wielkość, czyli raczej massa ogółu komet. Co do pierwszych, pochodzi to z niewłaściwego połączenia prawdziwych mgławic gazowych i rojowisk gwiazd. Nie można wątpić, iż te ostatnie oddziela od nas odległość niezmierna, ale wiadomo, iż istnieje w przestrzeni niebios zupełnie różna klasa przedmiotów tylko pozornie podobnych do najodleglejszych rojowisk gwiazd, i niema powodu do przypuszczenia, że znajdują się one od nas w podobnych odległościach. Zdawałoby się nawet prawdopodobniejszym, że są bliżej od nas, przynajmniej w pewnych razach, niż najbliższe gwiazdy stałe, gdyż niezmierna wielkość, jaką zajmuje ogromna mgławica w konstellacji Oryona, jeżeli przyjmiemy nierównie większą odległość, musiałaby być tamą do podobnego przyjęcia. W samej rzeczy umysł skłania się do opinii, że mgławice są najbliższymi naszymi sąsiadami; jednostajność natury, nie przedstawiająca naszej kontemplacji mass materii bezporównania większych od tych, z jakimi mamy do czynienia w naszym układzie słonecznym, zdaje się wymagać przyjęcia, że mgławice nie przewyższają podobnej wielkości. Przed takie przypuszczenie sprowadzamy te ciała do zakresu komet, odwieczających nasz układ słoneczny; ale w przestworach niebieskich są niewątpliwie liczne grupy czyli zbiorowiska podobne, jeżeli już pominiemy te, co odbywają ruch po orbitach parabolicznych lub hiperbolicznych i wymagają nieskończonego czasu do przejścia tych nieskończonych odległości, przez które ciągną się ich orbity. Takim sposobem niezmiernie otchłanie, oddzielające od siebie gwiazdy, a które zdają się istnieć jedynie na to, aby ułatwiać swobodny obrót układom gwiazd, mogłyby być widownią nie tylko ruchów komet, ale również powstawania nowych światów.

Wiara w bardzo nieznaczną massę największej liczby komet opiera się poniekąd na więcej istotnych podstawach. Według Laplace'a, massa komety Lexell'a, która w latach 1767 i 1779 zbliżyła się bardzo do Jowisza, a pomimo to nie sprawiła zaburzenia między jego księżycami, wynosiła mniej, niż  $\frac{1}{5000}$  część massy Ziemi. Jak widzimy tedy, jest wielka różnica pomiędzy tą ilością, a powszechnie przyznaną wagą, która miała nie przechodzić „kilku funtów.“ Musimy tu jednak zauważyć, że kometa Lexell'a, podobnie jak kometa Encke'go, była jedną z komet o krótkim peryodzie obiegu, które są najnieznacniejsze z tej klasy, a jak dodaje Plummer, wiara w nieznaczną massę komet opiera się na niepewnej i niedostatecznej podstawie. Ważne odkrycie, że kometom w ich orbitach towarzyszą całe szeregi meteorów i że one same są już to meteorami niezwyktój objętości, albo też gęstym zbiorowiskiem takich ciał, dowodzi, iż massa ich musi się zbliżać do massy komety Lexella, której granicę wyższą oznaczył Laplace.

Ustaliwszy takim sposobem, w pewnym zakresie, pojęcie co do mass komet i mgławic, zastanówmy się teraz z kolei, idąc za Plumme-rem, czy systemy kometarne zdolne są zaopatrywać materję mgławicową potrzebnym materyałem do tworzenia nowych słońc. Rzecz to nadzwyczaj trudna przy naszej niedokładnej znajomości budowy tych

dziwnych ciał. Zdaje się być pewnym, że skład komet jest bardzo rozmaity. Jedna tylko znana substancja, jak wykryła analiza spektralna, istnieje na pewno w kometach i tworzy, w przypadkach w których znaleziona została, istotną ich część składową. Substancją tą jest węgiel <sup>1)</sup>, ale ten sprawdzony został na pewno w trzech czy czterech kometach, pomimo badania widma wielkiej liczby tych ciał niebieskich. Inne komety dały widma bardzo zbliżone do widma węgla, a które t $\acute{e}$ m sam $\acute{e}$ m mog $\acute{a}$  odpowiadać jakiejś substancji podobnych własności. Przynajmniej prawdopodobnym jest, że z post $\acute{e}$ pem wiedzy znalezion $\acute{e}$ m zostanie, iż jakieś ciało proste, czyli pierwiastek, tworzy ich g $\acute{ł$ ówną część składową. Również nie jest rzeczą nieprawdopodobną, aby inne komety były podobne składem do meteorów, których rozbioru dokonano za pomocą zwykłych metod chemii analitycznej. W meteorach, jakie spadły na Ziemię, znaleziono wielką liczbę pierwiastków znanych na t $\acute{e}$ j planecie, a mianowicie: żelazo w stanie rodzimym, nie w po $\acute{l$ ożeniu; kobalt, nikiel, siarkę, krzem pod formą augitu; molibden, cynę, miedź, oraz pewną liczbę innych metali w mniejszej ilości. Wszystko to s $\acute{a}$  substancje, zupełnie odmiennego charakteru od tych pierwiastków, jakie skł $\acute{a}$ dają mgławice. W obudw $\acute{o}$ ch tych rodzajach ciał znamy dwa wa $\acute{z$ ne składowe elementa, którym podobnych nie znajdujemy na ziemi: substancję, którą podobnie jak węgiel znajdujemy w skł $\acute{a}$ dzie komet, oraz gaz również nieznamy, istniejący obok azotu i wodoru w mgławicach.

Jakkolwiek w systemie Laplace'a element kometarny zajmował jedynie podrzędne stanowisko, nie nale $\acute{z}$ y wystawiać sobie, iż by $\acute{l}$  zupełnie pomini $\acute{e}$ ty. Przeciwnie, Laplace, jak powiada Plummer, z przenikliwością cechującą wielkie umysły dostrzegł, że spotkanie się komety z mgławicą by $\acute{l}$ o nieuniknione, i mechaniczne zagadnienie zmniejszania się prędkości, skutkiem ruchu pierwszej powstrzymwanego przez gazy t $\acute{e}$ j ostatniej, zwróci $\acute{l}$ o na siebie jego uwagę. Spostrzegł, że kometa, znajdując się raz w zakresie przyciągania mgławicy, nie jest w stanie j $\acute{e}$ y się wymknąć, i musi obracać się oko $\acute{l}$ o j $\acute{e}$ y s $\acute{r$ odka ci $\acute{e}$ żkości po spiralnej, zbli $\acute{z}$ ającej się do tego s $\acute{r$ odka; ale nie znając właściw $\acute{o}$ j chemicznej budowy tych ciał, nie m $\acute{o}$ gł posunąć dalej swoich poglądów. Przy s $\acute{w}$ ietle post $\acute{e}$ pów i odkryć nauki nowo $\acute{z}$ ytniej łatwo jest dostrzedz, że to  $\acute{ł}$ ączenie się komet z materją mgławic, przewidywane przez Laplace'a, mo $\acute{z$ e być dokonane nierównie prędszej, i że niezale $\acute{z$ nie od wzrostu temperatury, wywoływanej przez tarcie, nierównie znaczniejsze wywiązywanie ciepła powstawać mo $\acute{z$ e w skutek chemicznego  $\acute{ł}$ ączenia się obudw $\acute{o}$ ch. Trudno jest bli $\acute{z$ ej określić chemiczne skutki, a to z powodu nieznamo $\acute{s}$ ci naszej niekt $\acute{o}$ rych z tych substancji; to jednak pewna, iż w w każdym razie musiałyby powstawać

<sup>1)</sup> Utrzymują niektórzy, że materialem komet dającym widmo węgla jest węglowódor. Plummer nie podziela t $\acute{e}$ j opinii i robi uwagę, że linie wodoru nie były widziane, że zatem przyjęcie to jest zupełnie dowolne.

nadzwyczajne wywiązywanie się ciepła; a czy utworzony w ten sposób związek przyjmuje płynną czy też stałą formę, będzie miał zawsze, zdaniem J. Plummera, większą ciężkość gatunkową, niż reszta mgławicy, której, możnaby powiedzieć, tworzy pewną część, i obrót około środka ciężkości masy dokonywać się będzie ściśle w ten sposób, jak wskazał Laplace.

Na podstawie powyższego Plummer dotykalnie maluje stan mgławicy, kiedy po upływie wielu wieków wielka liczba komet, towarzyszących im strumieni meteorów pochłonęła w siebie jej substancja. Składałaby się ona z większej lub mniejszej pozostałości pierwotnych gazowych składników, które na podstawie rezultatów, do jakich doprowadził spektroskop, wykazują dotąd najwyraźniej charakterystyczne widmo o jasnych liniach, po rozproszeniu po całej masie wielkiej liczby płynnych jąder, dążących do wspólnego środka ciężkości w spiralnych orbitach, gdzie środek zajęty przez jasną płynną masę, ogrzaną do białości. Temperatura takiej mgławicy będzie nierównie wyższa, niż temperatura mniej rozwiniętej. Łatwo jest nawet zrozumieć, że natężone działanie ciepła byłoby dostatecznym do przeprowadzenia w stan gazowy płynnych jąder w przypadku widma o jasnych liniach, ale wtedy potrzebaby przyjąć, że słabe widmo z trudnością pozwoliłoby wykryć różnicę pomiędzy takim a prawdziwie ciągłym. Przeciwnie, możemy sobie wystawić, że dobrze rozwinięta mgławica staje się zbitą płynną masą, w tym razie również dającą ciągłe widmo. I nie zdaje się niepodobnym, aby znaczna liczba ciał, w tym ostatnim stanie istnienia, nie mogła być rzeczywiście odkrytą w przestworach niebieskich. Wiele jest takich mgławic, których za pomocą silnych teleskopów nie można było sprowadzić do rojowisk gwiazd, ale nawet, które nie mogą być pomieszczone na liście prawdziwych mgławic, dających widmo przerywane, których rzeczywisty stan pozostaje, w skutek tego, zagadką do chwili obecnej. Z dwóch przypuszczeń Plummer uważa drugie za najprawdopodobniejsze; wszakże gdyby zostało przyjętym, potrzebaby zbudować hipotezę o mgławicach na podstawie zmienionych okoliczności. Są jednak pewne fakta, które zdają się wykazywać, że pierwsze przypuszczenie jest racjonalniejsze, czyli że w pewnych przypadkach więcej zbliża się do prawdziwego stanu rzeczy. Wiadomo, że wielka mgławica w Andromedzie, o którą roztrąca się siła teleskopu i spektroskopu, przedstawia widmo bardzo nieprawidłowe. Pozornie ciągła, przedstawia przecież brak pewnych części kolorów czerwonego i pomarańczowego, gdy inne pokazują nierówne stopniowania natężenia. Ale i wiele innych mgławic daje początek do pewnych podejrzeń, i żadna teoria, zdaniem Plummera, nie potrafi objaśnić tych faktów.

Nie idąc dalej za Plummerem w rozbiórce tej kwestyi, na podstawie tego, cośmy przywiedli i wyjaśnili, możemy zawnioskować, że hipotezie o mgławicach bardzo jeszcze wiele brak do tego, aby mogła służyć uczonym za punkt wyjścia przy objaśnianiu początku układów słonecznych. Wobec tego w cóż się obróćą twierdzenia tych, którzy

szukając dla teorii Darwina podstawy w powolnym rozwoju światów, ośmielają się utrzymywać, iż Laplace *dowiodł*, że każda planeta była pierwotnie mgławicą? Właśnie ta fałszywa opinia, mogąca nie jednego wprowadzić w błąd, skłoniła mnie do przedstawienia obecnego stanu hipotezy o mgławicach i znaczenia, jakie prawdopodobnie może zyskać w przyszłości. Jak bowiem z jednej strony bezwarunkowo nie odmawiamy jej znaczenia, tak z drugiej nie możemy się zgodzić na to, aby na podstawie jednej bardzo wątpliwej hipotezy budowano teorię, która sama jest hipotezą tylko.

Sprawozdanie nasze obecne zakończymy rozbiorem raportu naukowego, złożonego w końcu roku zeszłego francuzkiej Akademii nauk przez p. Roulin, a dotyczącego badania Milne Edwards'a nad fauną okolic południowych. Aby powziąć wyobrażenie o zakresie i ważności poszukiwań autora—powiada na początku swego raportu Roulin—dosyć jest rzucić okiem na atlas w 4 częściach, dołączony do pracy tego uczonogo. Na stu siedmiudziesięciu wielkich kartach, z których składa się ten atlas, autor przedstawił, dla każdej z okolic, które miał rozpatrywać, nie tylko rodzaje, ale i główne gatunki, o których jest mowa w tekście, a system, jaki przyjął dla uwidocznienia geograficznego rozdziału zwierząt, wyższym jest od wszystkich systemów, jakie dotąd były używane w tym celu. Osobny znak, którego kształt i kolor nie pozwalają mieszać z żadnym znakiem, figurującym na tej samej karcie, pomieszczony jest na każdym z punktów, gdzie zauważony został gatunek, któremu odpowiada ten znak, i różne te punkta połączone są między sobą liniami tej samej barwy, co pozwala odróżnić, zaraz z pierwszego wejrzenia, obszar powierzchni geograficznej, zajętej przez każdy gatunek.

Tekst tego dzieła dzieli się na dwie części.

W pierwszej z nich Milne Edwards, po kilku uwagach wstępnych, rozbiera z kolei faunę, które odróżnia między sobą, poświęcając każdej oddzielną księgę.

W pierwszej księdze opisuje faunę okolic antarktycznych, której obrazu ogólnego nie skreślił dotąd żaden naturalista. Było to zadanie trudne, dla spełnienia którego—powiada Roulin—do rozległych wiadomości zoologicznych należało łączyć pewną szczególną erudycję; autor musiał szukać informacji w stosunkach z wielką liczbą podróżnych i oceniać starannie znaczenie każdego świadectwa.

Badanie tej fauny podbiegunowej, które uważano za tak trudne, wydało obfitsze owoce, niż się nawet spodziewał sam Milne Edwards, i doprowadziło go do wielu rezultatów ogólnych wielkiego znaczenia.

Na szczególną uwagę zasługują rozdziały odnoszące się do rozmieszczenia żagłociągów (albatros), oraz innych ptaków morskich, które gnieżdżą się w pasie antarktycznym.

Milne Edwards bada przy tej sposobności wartość cech, na których ornitologowie opierają różnice gatunkowe, i stara się dowieść, że w wielu przypadkach mniemane gatunki powinny być uważane za

odmiany miejscowe, a nawet odmiany indywidualne. Dalekim jest z resztą od przyjęcia hipotezy, według której różnorodność typów zoologicznych zależy od wpływu warunków bytu; jest to punkt, co do którego wypowiada kategoryczne zdanie i do którego powraca wielokrotnie.

W drugiej księdze, poświęconej faunie Nowej Zelandyi, autor zajmuje się nie tylko gatunkami krajowemi, żyjącymi dotąd na tej wyspie i jej przyległych, ale również gatunkami zaginionemi, porównując je z temi, których szczątki, również w stanie kopalnym, odkryte zostały na innych punktach kuli ziemskiej. Co do gatunków obecnie żyjących, wykazuje, że jak zwierzęta morskie w tych okolicach są po większej części identyczne ze zwierzętami innych okolic oceanu Południowego; tak zwierzęta lądowe, przeciwnie, są prawie zupełnie różne od tych, które obserwowane były gdzieindziej. Zwraca uwagę na pewne fakta, które zdają się wskazywać, że w niezbyt odległej epoce od okresu obecnego, nie tylko trzy części Nowej Zelandyi komunikowały ze sobą, ale że ziemie, które obecnie znikły pod wodami, łączyły je z kilkoma wyspami Polinezyi, podczas gdy żadna komunikacja tego rodzaju, jak się zdaje, nie istniała pomiędzy Nową Zelandyą i Australią, Ameryką albo też starym lądem, od epoki, w której zwierzęta ssące zaczęły się pokazywać na tych różnych wyspach.

W trzeciej części widać ten sam plan, co w drugiej, i autor, roz biorając w niej zwierzęta zamieszkujące obecnie Tasmanię, ląd australijski i przyległe wyspy, zbliża do nich te, których znamy tylko szczątki kopalne. Wskazuje charakter specjalny tej fauny i pewne podobieństwa, istniejące między nią a fauną lądową Europy, jaka istniała w epoce osadzenia się pokładów jurasowych; w końcu stara się wykazać stosunki, jakie istnieją z jednej strony między krańcem północnym Australii i Nowej Gwinei, z drugiej między tą ostatnią ziemią a wyspami Papuasów na wschód, oraz Moluckiem na północo-zachód.

Czwarta księga ma za przedmiot badanie zwierząt tak żyjących jak i kopalnych, części Ameryki południowej, i tam, podobnie jak dla Nowej Zelandyi, Milne Edwards ustanawia różnicę istotną między fauną lądową a fauną morską; tej ostatniej zdaje się głównie zawdzięczać swoje pochodzenie rozszerzenie fauny antarktycznej, gdy tymczasem fauna lądowa miała wziąć początek z okolicy brazylijskiej.

Milne Edwards wykazuje starannie rysy popobieżstwa, istniejące między ustrojem pewnych zwierząt ssących Ameryki zwrotnikowej, a ustrojem ssących, zaludniających obecnie Australią, a które, żyjąc w Europie w epokach geologicznych odległych, znikły z niej zupełnie pod koniec okresu trzeciorzędowego. Również kładzie nacisk na cechy zoologiczne zwierząt wyższych, które nie miały podobnych sobie przed tym samym okresem, i które zamieszkują Amerykę południową, nie pokazując się na żadnym innym punkcie kuli ziemskiej.

Badanie zwierząt przybrzeżnych, a głównie skorupiaków, prowadzi autora do przekonania, że w epoce geologicznej niezbyt odległej od epoki obecnej, Ameryka południowa musiała być oddzielona od



Ameryki północnej, i że wtedy morze Antylskie łączyło się z oceanem Spokojnym.

Druża część téj długiej i ważnej pracy poświęcona jest rozbirowi wniosków, jakie autor, według swego własnego zdania, ma prawo wyprowadzić z faktów podanych w części pierwszej, oraz wykładowi przyczyn, które można przypisać różnicom dającym się dostrzedz obecnie pomiędzy faunami, jakie z kolei scharakteryzował. To badanie przyczyn poprowadziło go do roztrząsania pewnych opinij, wypowiedzianych w tym przedmiocie, a z których żadna nie wydaje mu się zupełnie zadawalającą. Nie mogąc iść w ślad nawet za autorem raportu, zaznaczamy na tém miejscu, że po wielu uwagach ogólnych, będących jedynie następstwem przywiedzionych poprzednio faktów, Milne Edwards przychodzi do rozbirowu hipotezy przyjmującej nieograniczoną zmienność typów zoologicznych, pod wpływem różnych znanych warunków biologicznych oraz skutkiem wyboru naturalnego. Milne Edwards występuje przeciwko téj hipotezie, jakkolwiek przyjmuje możliwość pewnych zmian, dokonanych pod wpływem różnych przyczyn, których działanie, trwając przez długi czas, musi ostatecznie zatrzeć prawie zupełnie te podobieństwa zewnętrzne, po których zazwyczaj rozpoznajemy, pomiędzy potomkami wspólnych rodziców, istnienie pewnego pokrewieństwa. Autor uważa, że zoologowie zanadto zwiększyli różnice gatunkowe, a nawet rodzajowe, i podług niego wiele gatunków zapisanych do katalogów stanowi jedynie rasy miejscowe albo odmiany indywidualne; zachodzi jeszcze dalej i zdaje się wątpić, że w stanie natury, podobnie jak pod wpływem człowieka, zwierzęta, w miarę zmiany warunków bytu, którym podlegają, nie mogą nabywać cech, któreby przekazywały swoim potomkom, stanowiąc tym sposobem gatunki drugorzędne, stałe, niezdolne do krzyżowania się między sobą.

Takim sposobem, jak widzimy, Milne Edwards jest przeciwny hipotezie Darwina.

Zgadając się z opinią, przyjmowaną za dni naszych przez większą część naturalistów, że kula ziemską zaludnianą była za pomocą wielu aktów stworzenia miejscowych i kolejnych, Milne Edwards stara się określić zakres niektórych z tych ognisk zoologicznych, pierwotnych lub drugorzędnych. Aby dojść do tego, ucieka się do własnej metody, która cechuje się nie samą tylko nowością: jeżeli idzie np. o zwierzęta tego samego gatunku, żyjące w okolicach bardzo od siebie odległych, metoda jego polega na szukaniu, czy inne gatunki téj saméj grupy, żyjące na jednym z tych punktów, a których brak na drugim, nie istnieją na stacyach pośrednich; i jeżeli tak się rzecz ma, wnosi ztąd, że punkt, w którym znajdują się połączeni najliczniejsi reprezentanci typu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, był ich punktem wyjścia. Wniosek ten, według zdania autora, nabywa nowego znaczenia, jeżeli liczba tych zwierząt zmniejsza się w miarę zwiększania się odległości pomiędzy stacyami, a domniemanym środkiem.

Autor bada oprócz tego, jakim sposobem prądy morskie, albo panujące wiatry, mogły się przyczyniać do rozszerzania gatunków pływających albo latających, i podaje pod tym względem bardzo ciekawe szczegóły.

W końcu, aby nie pominąć żadnej z przyczyn ogólnych, które przyjmowały główny udział w sposobie rozmieszczenia zwierząt po powierzchni kuli ziemskiej, bierze pod uwagę zmiany kolejne, jakie miały miejsce w konfiguracji części wynurzonej powierzchni. Dokonywając się jużto przed, już po ustaleniu się pewnych faun miejscowych, zmiany te nie mało przyczyniły się do przeszkodzenia posuwaniu się pewnego typu po za jego kolebkę, jakkolwiek nieraz mogły i dopomagać do tego posuwania się. Słusznie tedy autor przypisuje tym zjawiskom wagę nadzwyczajną. Ale czy ich wpływ rozciąga się tak daleko, jak to utrzymuje Milne Edwards? Czy wpływ ten dostateczny jest na przykład do zupełnego wyjaśnienia pewnych anomalij, na których chciano się opierać dla podtrzymania teoryi wielokrotnych aktów stworzenia? Oto pytania, których komissya akademii nauk nie roztrząsa, a które i my, pozostając na stanowisku sprawozdawcy, pozostawiamy również bez odpowiedzi. Milne Edwards wypowiada stanowcze twierdzenie, zgodne z opinią zmarłego niedawno naturalisty L. Agassisa, że w największej liczbie przypadków stan obecny naszej wiedzy paleontologicznej nie pozwala naturalistcie rozwiązywać wielu kwestyj, do jakich między innymi należy i początek gatunku: komissya akademii nauk pochwała w zupełności tę oględność autora.

---

## W S P R A W I E

### rodowodu i nazwiska rodziny

# MONIUSZKÓW.

Pan Aleksander Walicki wyborną swoją biograficzną książką p. n. *Stanisław Moniuszko* (Warszawa, 1873) zaczyna od wzmianki, iż „w pamiętniku Czesława Moniuszki (ojca naszego kompozytora) w rękopiśmie zostającym, znajduje się zanotowana tradycja, jakoby ród ich pochodził od dwóch braci rycerzy, w XV wieku z Rzymu do Polski przybyłych, nazwisko *Moneo* noszących. W istniejących wtedy rozterkach krajowych, obaj czynny udział wzięli i tak dobrze stronie zwyciężkiej się zasłużyli, iż w nagrodę dano im indygenat z nazwiskiem Moniuszków, i herb Krzywdę. Osiedlili się następnie w ziemi Bielskiej, w województwie podlaskiem, około rzeki Biebrzy i dali początek licznie rozrodzonemu potomstwu.”

Pan Walicki nie robi żadnych uwag nad tą tradycją i czyni to słusznie, przytaczając ją tylko jako podanie, a nie posiadając pod ręką żadnych danych w tój mierze. Zaraz atoli po wyjściu jego książki, „Gazeta Warszawska” w ocenie jój treści stanowczo zaprzeczyła italskiemu pierwiastkowi nazwiska Moniuszków. Podzielając trafność wyrażonych przez nią uwag, dorywczo odpisaliśmy słów kilka w tym przedmiocie do powyższego dziennika. Gdy atoli w pismach codziennych wszystkie drobne artykuły giną niepowrotnie, a z biegiem czasu to i owo nam przybyło, ośmielamy się zatem w trwałych łamach Biblioteki Warszawskiej powtórnie zaprotestować przeciw gołosłownemu mniemaniu Czesława Moniuszki. Postać taka jak ś. p. Stanisław obchodzi naród, i to dostatecznie usprawiedliwić powinno słów kilka w sprawie pochodzenia rodziny gienialnego naszego współrodaka.

Dziwactwem najpierw byłoby obawiać się aby nam nie wydarto części sławy człowieka, który będąc związany z nami na wieki każdą myślą i chwilą swego życia, choćby nosił obce nazwisko, nie będzie nigdy przyświecać na niebie obcego narodu. Tém bardziej gdy i ten nie zachodzi wypadek. Mamy jednak obowiązek zawczasu obalić błędne mniemania, aby w przyszłości nie wyrodziło się coś na małą skalę w rodzaju sporu o Kopernika, który o tyle dla wielu cudzoziemców nie jest łatwym do rozwiązania, iż współcześni widząc w astronomie Polaka, nie mieli potrzeby tego nikomu dowodzić lub śmiałości zaprzeczać.

Najpierw gramatycznie nazwisko *Moniuszków* należy do stariej grupy takich nazwisk jak *Kościuszko*, *Sierhuszko*, *Orzeszko*, *Szafranko*, *Onuszko*, *Sanguszko* i t. d. Są to zdrobniałe końcówki rodzaju nijakiego, właściwe niektórym wyrazom naszego języka np. jabłuszko i serduszko. W nazwach powstały one z męzkiego zdrobniałego zakończenia *ek* np. Jasiiek, Jaśko, Jasieńko, Stasiiek, Staśko, Stasiieńko; stryjek, stryjko, stryjjaszko i t. p. W dawniej polszczyźnie i starych dokumentach spotykamy na każdym kroku tę formę, a w wielu okolicach naszego kraju, do których należy gniazdowe Moniuszków północne Podlasie (okolica miasta Goniądza), lud nie mówi inaczej tylko: Jaśko, Staśko, psujko, rajko, wesółko, wujko i wujaszko, stryjko i stryjjaszko. Dopóki w mowie naszej posługiwaliśmy się uchem a nie ustalonymi dziś prawidłami gramatyki, dopóty w genitiwie mówiliśmy i pisali nie pana *Moniuszki* i *Sanguszki*, ale pana Moniuszka i Sanguszka, jakby wiedząc, że owa końcówka *ko* powstaje w imionach z *ek*, która rzeczywiście miałyby w tym spadku *a*, nie *i* np. Jasiieczko—Jasiieczka.

Ale przystąpmy do rzeczy bardziej pozytywnych. Oto od początku XVI wieku znajdujemy w podlaskich archiwach ziemi Bielskiej liczne wzmianki o *Monkach* i *Moniuszkach* t. j. tak wsiach jak rozrodzonej szlachcie tych nazwisk w okolicy Goniądza. Są to czasy niewątpliwie starsze od wszelkich ustnych podań ś. p. Czesława Moniuszki zmarłego przed pięciu laty. W Królestwie Polskiem znajdujemy wsię: *Mąki* (v. Monki), *Moniaki*, *Monkowce* i t. p.; w Galicyi są *Mono-*

*wice* i *Maniłówka*, a pod wyżej wzmiankowanym Goniądzem na Podlasiu (dziś w gub. Grodzieńskiej): *Mońki*, *Moniuszki* i *Moniuszczki*. Pierwsza leży w parafii Goniądz, druga w parafii Dolistowo, a trzecia w parafii Trzciannie, wszystkie zaś razem w niedalekiem sąsiedztwie w północnej części powiatu Białostockiego <sup>1)</sup>.

Nie potrzeba na to wielkiej bystrości, aby w trzech nazwach powyższych widzieć proste w zdrobnieniu stopniowanie tém tylko osobliwe, że potrójne, gdy zwykle wszystkie inne a tak pospolite w kraju bywają tylko podwójne <sup>2)</sup>. Dla nas jednak którzy mamy przytępięne już ucho na dawną mowę polską, do którego tyle przywiązuje znaczenia ks. Malinowski, twierdzenie powyższe może wydawać się niedowiedzioném. Ale dla tych, którzy urabiając język, mieli to ucho w całej sile, nazwa *Moniuszko* nie mogła być czém inném, tylko zdrobnieniem wyrazu *Mońko*; tak jak lud dotąd w powyższej okolicy Podlasia, nie zdrabnia kamienia w kamyczek, wianka w wianeczek, kwiatka w kwiateczek; ale w *kamuszek*, *wianuszek*, *kwiatuszek*, a chcąc zdrobnić nazwę *Moniek*, *Mońko* nigdyby nie powiedział *Monieczek* lub *Monieczko*, ale *Moniuszek* lub *Moniuszko*. Że zaś *Mońko* czyli *Monko*, *Mąko* ma w sobie czysty pierwiastek słowiański, nie ulega zatem żadnej wątpliwości, że stara i czysto-podlaska szlachta *Moniuszkowie*, nie mieli nic nigdy wspólnego z błędnymi rycerzami italskiej Romy. Tęgoż samego dowodzi już herb rodziny *Moniuszków* *Krzywda*, jeden z najbardziej powszechnych u gniazdowej szlachty w ziemi Bielskiej.

Ze szczegółowej taryfy tej ziemi, jaką mam pod ręką, ułożonej do podatku podymnego w r. 1775, widać, że wieś *Moniuszki* należała wtedy do 11-tu częściowych dziedziców, z których 6-ciu było *Moniuszków*. Z tych Jan i Piotr mieli po 2 dymy, a Andrzej, Maciej, Szymon, i Jakób po jednym. Nadto w wielu okolicznych wioskach jak: *Kuczynie*, *Kołodziejach*, *Białosukniach* i *Mońkach*, posiadali różni *Moniuszkowie* mniejsze lub większe fortuny. We wsi *Smogorówce* wymienionj obok *Klewianki* i *Moniuszek* w przywileju danym przez Zygmuta I-o roku 1529 *Moniuszkom*, w półtrzecia wieku później (1775 r.) mieszkało jeszcze czterech *Moniuszków*: *Andrzej*, *Antoni*, *Michał* i *Jan*. Tak dawne

<sup>1)</sup> W artykule naszym o ziemi Bielskiej (Bibl. Warsz. t. III z roku 1873), wliczają gniazda częściowej szlachty w tej części powyższej ziemi, która odpadła do gub. Grodzieńskiej, podaliśmy w liczbie 161 wiosek i *Moniuszki* (str. 252); tylko w roku położonym przy tém siole zaszła pomyłka przez danie r. 1446 zamiast 1546.

<sup>2)</sup> Najwięcej nazw zdobniałych posiadało województwo Płockie, z którego wiele ludności przybyło w wieku XIV i XV do ziemi Bielskiej. I tak w powiecie Niełzborskim powyższego województwa (położonym w klinie między rzekami *Wkrą* i *Łydynią*) połowa nazw zaliczała się do tej kategorii jak: *Luberadz* i *Luberadzyk*, *Rykaczewo* i *Rykaczewko*, *Giżyno* i *Giżynko*, *Modła* i *Modelka* i t. p. Wpływało to z ciągłego podziału ziemi i zakładania nowych siól na tychże dzielnicach gruntów.

rozrodzenie się tego domu w jednym kącie kraju, nadaje dziwnie miejscową i staroświecką barwę Moniuszkom, którzy doświadczając różnych losów fortuny, jedni przenosili się z Podlasia na Litwę, drudzy własnym potem pradziadowską skibę skrapiali; inni bywali zamozni i piękne folwarki do dziś o miedzę od starego gniazda posiadają. Przykład Stanisława Moniuszki (dziada kompozytora), który opuściwszy wyrostkiem rodzinne gniazdo podlaskie wykształcił się własną pomocą i dorobił na Litwie kilkomilionowej fortuny, nie był pierwszym ani ostatnim u szlachty ziemi Bielskiej. Na 30 lat przed tém, podobne koleje przeszedł Józef Pułaski regimentarz konfederacyi barskiej, a w chwili gdy Moniuszko opuszczał pieszko dom rodzicielski, pan starosta warecki liczył się już do panów koronnych. Wypadki podobne nie należy uważać za wyłącznie losowe i tylko od indywidualnych zdolności zależne. Mają one głęboki związek z kolonizacyjnymi tradycjami i zdolnościami dawniej szlachty mazowieckiej, która w stosunkowo nader krótkim czasie potrafiła opustoszałe po Jadzwingach leśne krainy własną ręką wykarzcować, tysiącem sioł zabudować, nadmiernie się w nich rozrodzić i we wszystkie strony Rzeczypospolitej wysłać synów swoich w pogoń za pracą i fortuną.

*Zygmunt Gloger.*

## KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Podróż po Niemczech p. Tissot. Berlin: arsenał, bursa, francuzkie łupy, akademia berlińska, professorowie.—Legends Paladynów p. Autran: Król Franków, Las dębowy.—Podróż do Stanów Zjednoczonych p. Simonin.—Abraham Linkoln, historia obalenia niewolnictwa w Północnej Ameryce p. Jouault.—Listy Prudona: wojna z poetami i autorkami.—Anatomia pszczoły p. Michała Girtwojna, w przekładzie francuzkim.—Nowa mapa Eugeniusza Cortembert: wpływ miejscowości na rozwój gieniuszu.—Zebranie Towarzystw naukowych z miast prowincjonalnych w Sorbonie.—Wystawa rolniczo-archeologiczna w Blois.—Kongresa tegoroczne.—Protestacya p. Leger przeciw bulgarskim pieśniom.—Zmarły Amedeusz Achard.—Powieści z nad zatoki Juan pani Lambert.—Rozprawa o Hercegowinie, p. do Sainte Marie.—Stodziesięcioletni malarz Waldeck.—Jubileusz Michała Anioła we Florenyi.—Konkurs dramatyczny na stóletnią uroczystość ogłoszenia niepodległości w Stanach Zjednoczonych.—Nowa geografia powszechna, Elizeusza Reclus.

Niedawno jeszcze zarzucano Francuzom i oni również wyrzucali sobie nieznajomość najbliższych a najgroźniejszych sąsiadów swoich

Niemców. Od czasu wojny zmieniła się postać rzeczy. Język niemiecki stał się dziś obowiązującym w szkołach, a liczni turyści zamiast sympatycznych Włoch, przebiegają wzdłuż i w poprzecz kraje niemieckie, badają je pod różnemi względami; wielu z nich kręśli wrażenia swych wędrowek, przyprowadzając je częstokroć już nie solą atycką, ale palącym pieprzem. Do najcharakterystyczniejszych pod tym względem należą wspomnienia z podróży do Berlina p. Wiktora Tissot, które mamy właśnie pod ręką.

Uspodobienie wewnętrzne autora, nie czyni go pobłażliwym dla Prusaków; chłoszcze ich téż dotkliwie, ale przyznać potrzeba że nie przekracza nigdy granic przyzwoitości, a co więcej że nie rzuca kłamliwych sądów. Maluje tylko rzeczywistość jaskrawemi barwy, żaden rys nie uchodzi przed bystrym jego wzrokiem.

Oto droga wiodąca do Berlina:

„Z górzystych brzegów Elby wjeżdżam na piaski brandeburskie: nic smutniejszego nad ten obraz! Nie dojrzyć tu ani wsi, ani pola, nie dosłyszeć ani turkotu wozów, ani gwaru wesółych kmieci. Wkoło ciśnie grobowa. Tu i tam kilka nędznych chat, przytulonych jak zgrzybiałe żebraczki do dzwonnicy kościelnej, grożącej téż upadkiem. Gdzieś tam karłowate sosny, ich korzenie sterczą z pod piasku, jak czarne sploty węzów. W dole kałuża stęchłej, zielonkowatej wody. Nigdzie ani człowieka, ani ptaka. Barwa nieba zgodna z obrazem: szare, ciężkie, istne sklepienie grobu.

„W miarę jak się zbliżasz do Berlina, widoczném zwycięstwo pracy ludzkiej nad niewdzięczną przyrodą. Zielenieją pola, niby oazy wśród pustyni. Drzewa owocowe, ubogie w liść, sterczą jakby gromnice w okolo niskich domostw. Dziewczyna w łachmanach prowadzi do wody krzykliwe gęsi stado. Na widnokręgu rysują się wiatraki z rozpostartemi skrzydły. Obróć głowę, zobaczysz las czerwonych kominów a po nad niemi słupy czarnego dymu. Otóż i Berlin!”

Nie myślimy iść trop w trop za autorem. Mało kto z czytelników naszych nie zna Berlina, tych olbrzymich koszar, zimnych, sztywnych, jednostajnych, gdzie zamiast katedry, arsenał podnosi w obłoki dumne czoło, gdzie posąg *zwycięstwa* panuje na placu królewskim, jak posąg złotego cielca w obozie Izraelitów; „gdzie w miejsce dzwonów chrześcijańskich, słyhać tylko grzmot bębnow, dźwięki wojskowej trąby!”

Autor podaje statystyczne cyfry, świadczące o gwałtownym wzroście téj dziś jednej z pierwszych stolic europejskich. W roku 1830, Berlin liczył 230,000 mieszkańców, dziś liczba ich wzrosła do 850,000. Amerykańskie tylko miasta dają przykład równie szybięj kolonizacyi. W r. 1871, natychmiast po wojnie, przybyło odrazu 133,000 nowéj ludności. W miarę przyływu, nowa dzielnica wyrosła jakoby cudem z pod ziemi. Nie wystarczyło to jednak; powódź rozlała się na zewnątrz, rodziny całe obozowały pod gotém niebem. Obok stolicy powstało drugie miasto, złożone z bud drewnianych, przewane *Barakią*.

Zamożniejsi gnieździł się w starych wagonach. Pootwierano szynki piwne. Barakia przeżyła jedno lato, z nadejściem zimy, władze tknięte litością poumieszczały kobiety i dzieci po domach przytułku i szpitalach, ludność męską spędziły do miasta, zostawiając ją własnemu przemysłowi.

Przy tak wielkim napływie, Berlin napełnił się błotem i stęchlizną, wody Sprei nagle zczerniały. Jeden z poetów nowej szkoły odmalował rzekę w realistyczny sposób: „Spree—rzekł—wpływa do stolicy białym łabędziem, a wypływa z niej wieprzem.”

Idźmy za autorem do arsenału, „to alfa i omega—mówi on—to kolébka Berlina! Monarchia pruska wyszła z kuli armatniej, jak orle wychodzi z jaja. W tém muzeum wojenném zawarta historia narodu. Paryż chlubi się swym Luvrem, Rzym Watykanem, Berlin ukazuje z dumą swój arsenał. Siła przeważa tu nad prawem i nad sztuką. Francya ucywilizowała świat potęgą idei, Prusy hukiem działa ucywilizowały Germanią. Rzućmy okiem na ten przybytek Marsa! Bóstwo opiekuńcze siedzi w górze na stosach łupów, za nim jeńcy okuci w łańcuchach. Matematyka, mechanika, geometrya i artylerya w postaci czterech spiszowych niewiast, ukazują tryumfalnie drogę do wnętrza; piąta niewiasta wyobrażająca żal, stoi nad drzwiami pochylona boleścią. W salach niższego piętra, zebrane wszystkie rodzaje armat, jak zwierzęta w arce Noego. Niektóre rzeźbione z całym mistrzostwem XVI wieku, na wielu z nich wyryte świętokradzko wersety pobożnych psalmów, na innych złośliwe obelgi przeciwko papieżowi. W głębi zwalono na stos działa z Metz i Strasburga.“

Snadno pojąć jak uderzyło serce Francuza na ten widok. Drżący jak liść przebiega wschody: nowe upokorzenie! nowa boleść! Posłuchajmy go tylko:

„Czekamy kilka minut: drzwi rozwarły się wreszcie. Wchodzi my, patrzmy ze zgrozą.... Rury stalowe pokrywają ściany, istne tuby organów. Straszne organy, zwiastujące *Dies Irae* ludom! Gdy zagrzmią, ziemia drga pod łoskotem walących się trupów, krwawa para zaćmiewa słońce! Oko gubi się w tym obszarze, jakby w głębi tajemniczego lasu. Słuchasz, rychło zapragną znowu krwi ofiarnej.”

Francuz patrzy osłupiałym wzrokiem na pyszne kolumny podtrzymujące sklepienia, obwieszone w około sztandarami z Werth, Strasburga i Orleanu. Szkolna młodzież tymczasem przebiega salę; przewodnik tłumaczy jój historję każdego przedmiotu. Krew kipi w żyłach Francuza.... słucha.... pragnie spełnić do kropli gorzką czarę. Oto lekcya historyi.

„Francuzi—mówi z dumą przewodnik byli od wieków wrogami ojczyzny naszej. W ciągu dwóch ostatnich wieków, trzydzieści razy wyzywali nas do boju, ale Bóg ukarał ich pychę. W roku 1870 i 1871 zwycięzkie nasze wojska weszły powtórnie do nowej Babilonii, nasze konie przebrnęły Sekwanę, a my piliśmy wino francuzkie na cześć Niemiec. Przeklęty naród padł ugodzon piorunem. W Werth pierwsza

porażka Mac-Mahona, zabraliśmy tam dwa orły które tu widzicie, sześć mitralicz, trzydzieści armat i 4,000 niewolników. Twierdze w Wogezach otwierają nam bramy. Następuje kapitulacja Sedanu. Tu zdobyte orły co zdobią tę kolumnę. Znajdujemy w mieście 400 armat, 70 mitralicz, 150 dział oblężniczych. W tej szklanej skrzyni widzicie klucz Sedanu. Oto 3000 karabinów, 7000 szpad i 500 kirysów z pod Toul. Tu zawieszona chorągiew gwardyi ruchomój. W cztery dni potém poddaje się Strasburg z tysiącem armat i siedmnasto tysięczną załogą. W końcu kapituluje Bazaine. Jesteśmy oto w dziale Metz. Zdobywamy tu 170,000 niewolników, trzech marszałków Francyi, 35 orłów i chorągwi, 600 dział polowych, 800 oblężniczych, 300,000 karabinów. Oto na suficie szpady i pistolety zabrane oficerom. Te tysiąc chassepotów zdobyte w Verduu, tamte podjęte w polach Avron. Owe chorągwie wydarte armii Burbakiego na granicy szwajcarskiej. Francuzi oddali nam w tej wojnie 600,000 chassepotów i 6000 armat. Prędzej później zechcą je odebrać, to téż bądźmy gotowi. Pracujcie, nie zasypiajcie pola, niech każdy z was czuwa na straży Renu!"

Lekcyja trwała trzydzieści minut. Był to wiek męki dla Francuza. Drzwi rozwarły się znowu, odszedł w milczeniu z głową pochyloną ku ziemi „jak z Kalwaryi, na której ukrzyżowano nieszczęśliwą Francję!"

Autor krąży po Berlinie, zbiera wrażenia, odwiedza pałace rodziny panującej; żaden przedmiot nie uchodzi jego bystrego wzroku, z każdego wyprowadza wnioski. Z całą bezstronnością podnosi miłosierdzie cesarzowej Augusty; z podziwieniem patrzy na dzieła Straussa, zapewniające półki w gabinecie następczyni tronu. Odwiedza Bursę, tę zaczarowaną jaskinię co pochłonęła francuzkie miliardy. Rzuci w kilku zarysach obraz gmachu, a zarazem dotyka stanu finansowego Prus, od ostatnich powodzeń: „szal opanował wszystkie głowy niemieckie. Uwierzono w Berlinie w powrót mitologicznych czasów, sądzono że Sprea stała się nowym patoklem. Oczarowanie trwało rok cały. Tworzono tysiące przedsiębiorstw. Spółki wyrastały z ziemi, istne grzyby po deszczu, wszystko szło na akcye: browary, jatki i winiarnie. Domy po dziesięć razy na dzień zmieniały właścicieli; cena ich stała się bajeczną. Budowano na gwałt. Pod turkotem wagonów wiozących francuzkie złoto, ziemia rozpadała się cudem; z łona jój wychodziły piwiarnie, ogromne jak katedry, ogrody zakłete pełne woni, wodotrysków i czarodziejek.

Autor z obawy aby go nie posądzono o przesadę, przytacza co chwila na świadectwo to ustępy z poważnych dzienników, to słowa znanych w Niemczech literackich osobistości. *Trybuna* z 1 sierpnia 1872 roku mówi: „Nigdy likwidacya nie odbyła się tak porządnie. Na Bursie nie zamieniono dziś ani jednego policzka, ani jednej obelgi. Syndykat nie potrzebował wdawać się w godzenie spraw skandalicznych.” W tymże roku pisał sławny powieściopisarz Gustaw Frejtag te pełne znaczenia wyrazy: „Wielkie klęski zrodziły się ze zwycięstwa, honor



stolicy wiele na tém ucierpiał. Wszystkich opanowała gorączkowa chęć zarobku, szalona żądza złota! Wszyscy grają dziś w grę hazardową. Książęta, generałowie, wysocy dostojnicy, wszyscy korzystają z położenia swego, aby spiesźnie przyjść do majątku. Straszliwy to pożar! dusze słabieją!... Na widok takiego zepsucia, godzi się powątpiewać o przyszłość!"

Ustęp z dzieła pana Tissot, poświęcony uniwersytetowi berlińskiemu, zajął nas szczególnie, jako dotyczący przedmiotu najściślej zespolonego z celem sprawozdań naszych. Powtórzymy go w treści.

Uniwersytet berliński powstał później od wszystkich innych, na widnokręgu naukowym w Niemczech. Założył go Fryderyk Wilhelm w roku 1810, w czasach największych klęsk kraju nowa wszechnica wywarła odrazu przeważny wpływ moralny i polityczny. Professorowie nieustraszeni szczękiem napoleońskich bagnatów, usiłowali zapalić iskrę w młodych sercach: katedra zmieniła się w trybunę, aula w forum. Filozof Fichte w odezwie do narodu niemieckiego, parafrazował pieśni Körnera, uczeni głosili krucyatę. Z przybytku nauk wyszły szeregi gotowych na śmierć ochotników, którzy tchnęli zapał w starych żołnierzy. Słowo professorów stworzyło niezwyciężony zastęp.

Zrodzony w takich warunkach uniwersytet berliński zachował wojowniczy i ściśle narodowy charakter, professorowie filozofii i historii, podnosząc przewagę Niemiec w świecie, potracili dźwięczną strunę w sercach młodych pokoleń. Głównym ich zadaniem wtajemniczyć tę młodzież w sprawy państwa, rozbudzić w nich poczucie i miłość obowiązków publicznych. W owym sanktuarium nauki pomieszczono państwo na oltarzu, przed tém bożyszczem wszyscy kłonią w milczeniu głowy. Grono arcykapłanów składają dziś uczeni słynnych imion jak Momsen, Wirchow, Bächner, Gneist, Dubois Raimond, Kurcyus sławny helenista, Sepsius znakomity egiptolog, Dunker historyk, Helmhuls professor fizyki.

Momsen od czasu wojny począł naciągać historję, na rzecz propagandy pruskiej. Był on dawniej współpracownikiem Napoleona III, pobierał zato 10,000 franków rocznie; po zawartym pokoju, widząc że Francya ma jeszcze niejaki zasoby, napisał do jednego z uczonych, zapytując czyby akademia napisów nie mogła wypłacać mu dawniej pensyi. List pozostał bez odpowiedzi. Zniecierpliwiony Momsen ogłosił rozprawę pod tytułem „*po wojnie*,” wzywa w niej uczonych, tak z Niemiec jak z innych krajów do przepomnienia międzynarodowych uraz. „Trzeba, mówi on, przebaczyć wiele Francuzom, bo nie wiedzą co czynią, *to naród idiotów!* Za tą broszurą poszła inna udowadniająca niemiecką narodowość Alzacyi i Lotaryngii. Momsen wychudły, temperamentu żółciowego, dziwnie ma odrażającą postać. Słowa jego zaprawne jadem, nie mówi ale kąsa.

Wirchow przewany uczonym *trychnistą*, (gdyż rzucił postrach między rzeźników) zajmuje katedrę fizyologii; zaprzecza on istnienia Bogu, nie wierzy w nieśmiertelność w celu propagowania zasad swoich,

miewa publiczne konferencye. Niegdyś zacięty demokrata, nie łatwo dostał się do akademii berlińskiej. Dziś jego opinie polityczne znacznie się przemieniły.

Obok niego występuje Ludwik Büchner, autor książki francuzkiej pod tytułem *Siła, materya*. Büchner idzie ślad w ślad Wogta, Moleschotta, Darwina, usiłuje systematycznie udowodnić pochodzenie człowieka od małpy. Aby jak mówi rozproszyć pomrok ciemnoty i nieuctwa, wygłasza swój system w publicznych konferencyach, na które wzbroniony wstęp kobietom.

Professor prawa Rudolf Gneist, autor *Dziejów konstytucyi angielskiej*, niegdyś zawzięty wróg pruskich rządów upadł, na kolana jak Gwebr przed słońcem Sadowy. Dziś jest deputowanym, członkiem rady municypalnej. Młodzież przezwala go *człowiekiem kopalnym, mas-todontem*.

Dubois Raimond zwany *Francozen Fressen*, (Frankożerca), od lat dwudziestu rozdnuhuje nienawiść Niemców ku Francyi. Urażał ję w czasach tryunfu, dziś depece po drgającym ję ciele, wyrażenia jego zyskały popularność. Chciałby, jak mówi, aby Francya miała jedną głowę, snadniej ściałby ją miecz wielkiego kanclerza! Pomimo całej nienawiści, czuje on przecież, że język Racina i Kornela, przechodzi wytwornością formy język Szyllera i Goetego. Ztądto w roku zeszłym domagał się wymownie utworzenia akademii, któraby jak francuzka, postanowiła ściste prawidła stylu, czuwała nad czystością języka, wyrzucała z niego mnóstwo obcych wyrazów. Akademia nie powstała dotąd, ale propaganda lingwisty wydała już owoce: wyrazy tyczące się wojskowości: *marsz, kanon, reduta, artylerya, etap*, zastąpione zostały czysto niemieckimi, poczta nawet zamieniła tradycyjne *poste restante*, na *post lagernde*.

Mimo tych usiłowań, mnóstwo jeszcze pozostało słów francuzkich w potocznej mowie Berlińczyków, wprowadzili je protestanci francuzcy wydaleni z kraju odwołaniem Edyktu Nantejskiego. Potomkowie ich przed siedemdziesięciu laty składali piątą część ludności berlińskiej. Oni to założyli wieś Moabit na północ Berlina. Dotąd zachowali w stolicy swój kościół, swoją szkołę. Język ich jest mieszaniną Germanizmu z przestarzałą francuzczyzną XVII-ego wieku.

Dubois Raimond pochodzi od jednej z tych przesiedlonych rodziu. Należy do niej także Michelet professor uniwersytetu, który obchodził w roku zeszłym pięćdziesięcioletni jubileusz swoich prac professorskich: ostatni to przedstawiciel Heglizmu w Niemczech. Do nich należeli niemniej, zmarli professorowie i dostojnicy: Ancellon minister oświecenia, i Savigny minister sprawiedliwości. Między żyjącymi pozostał jeszcze poeta Chamisso, powieściopisarz Fouque Klemens, Brentano, naczelnik szkoły romantycznej, baron Remont, hrabia Renard i wielu innych koryfeuszów literatury. Ci niewdzięczni synowie przeklinają Francją z całą nienawiścią sekciarzy i neofitów. Kiedy cesarz Wilhelm powrócił do Berlina w purpurze Fryderyka Barbarossy, kolonia

*Franko niemiecka* wręczyła mu adres posłuszeństwa i wierności. Dzienniki pruskie naganily tę zbyteczną gorliwość.

Uniwersytet berliński przeżył czasy świetności swojej. Liczba uczniów zmniejsza się z każdym rokiem, z powodu niesłychanej drożyzny i braku miejsca; prawdziwi miłośnicy nauk odbiegają ztąd do Lipska, Jeny, Tubingi, Heidelberga, gdzie tytuł *studiosus*, pozostał dotąd tytułem honorowym.

Pan Tissot przygotowywa do druku dzieło o Niemczech południowych i północnych. Opis Berlina jest tylko ustępem z owęj obszernęj pracy. Zapowiedziana publikacya przedstawi szczegółowo organizacyę wszechnic niemieckich i obraz życia uniwersyteckiej młodzieży.

Imię Karłomana rozgłośnie dziś brzmi we Francyi; piękny dramat Borniera, o którym pisaliśmy niedawno, przyciąga codziennie liczne tłumy. Legendy paladynów Autrana, przebiegają z rąk do rąk; przytoczyliśmy z nich jedną o Rolandzie, dajemy dziś w tłumaczeniu dwie inne: *Król Franków i Las dębowy*.

#### *Król Franków.*

Z kępiastą brodą i z rosleni bary,  
Dzielnie wygląda Karłoman stary!  
Gdy w Akwizgranie swym odpoczywa,  
Wzrokiem go rzesza ściga życzliwa.  
Piętnaście piędzi wzrost jego liczy,  
Oko ma jasne, pełne słodyczy;  
Lecz niech to oko zapłonie gniewem,  
Drżysz, jak liść tracon wicheru powiewem.  
Mocny i krzepki, by lew pustyni,  
W obec swych wiernych cudaż on czyni,  
Rycerza w zbroi podniesie górą,  
Na twardej dłoni trzyma jak pióro.

Ku służbie Bożej zazwyczaj skory,  
Chodzi na jutrznię i na nieszpory;  
Sławi szczególnie wśród świętych grona,  
Dyonizego, Franków patrona.  
Gdy wiernych druhów na bój nie wiedzie,  
Ugania żubry, wali niedźwiedzie;  
Gdy z łowów głodny powróci z rana,  
Zjada ćwierć wołu i pół barana.  
Popija wodą lecz chętniej winem,  
Lubi uczonych: z mądrym Turpinem  
Pochód dziejowy pilnie rozbiera,  
Czci Wirgilego, sławi Homera.

O dawnych bojach rozprawia długo,  
Kaźda mu rzeka maleńką strugą.

Odkrywa drogi na mapie staréj,  
 Gdzie Aleksandry szły i Cezary.  
 „Pyrrus i Daryusz przez świat szeroki  
 Przemkli jak pędzą szumne potoki,  
 Chwała ich, mawiał, dziś marnym cieniem,  
 Bo ich mój Roland nie wsparł ramieniem.”

Dzieli Karloman z mistrzami trudy,  
 Zakłada szkoły, oświeca ludy;  
 W umyśle uczniom w szczepić się stara,  
 Cześć Cycerona, miłość Pindara.  
 Skoro umilkną wojenne burze,  
 Śpiewa godzinki w kościelnym chórze,  
 A gdy pieśń pomknie po łukach Fary,  
 Pękają szyby, drgają filary.  
 W poście odmawia długie pacierze,  
 Króla Dawida miłuje szczerze;  
 Dla Salomona nie ma téj cześci,  
 Bo zbyt ulegał władzy niewieściej.  
 „Gdy w żonie, mawia, statek i cnota  
 Jedna ci starczy na dni żywota.”

Sprawy domowe wciąż miał na oku,  
 Wstawał o świcie kładł się o zmroku;  
 Kiedy folgując znużonej głowie  
 Snem twardem zdjęty legł na wezglowie,  
 Purpurowemi odzian makaty,  
 Stu dzielnych mężów sprawuje czaty;  
 Otoczą łoże kołem szerokiem:  
 Nikt się nie ruszy, nie mrugnie okiem.  
 Każdy ku ziemi czoło nakłoni,  
 Miecz ma u boku, gromnicę w dłoni.  
 Głęboka cisza zaległa ziemię:  
 Usnął Karloman i świat z nim drzemie.

Gdy zagrzmią trąby, gdy hukną dzwony,  
 Zrywa się mocarz, woła barony;  
 Z króla w żołnierza przedzierzgnion cudem  
 Jé czarny suchar z prostaczym ludem;  
 Dzieli z nim pracę, trud i mozoły,  
 Lega przy koniu, na ziemi gołej,  
 A kiedy posną młodzi i starzy,  
 On sam w obozie czuwa na straży!

*Dębowy las.*

Gdy go bojowy ogarnął szal,  
 Król w przeddzień bitwy sen straszny miał.

Jakób apostoł przystąpił doń,  
 Palmą zieloną trącił mu skroń:  
 Płaszcz jego z białej utkany mgły.  
 — „Pohaniec—rzecze—podzwania w kły!  
 Jutro stanowczy nastąpi bój:  
 Walka to ciężka, o królu mój!  
 W pierwszym wam starciu zabraknie sił,  
 Twym przednim strażom krew ściecze z żył;  
 Ale Saracen nie zmoże was:  
 Chwała poległym na wieczny czas!”

Zrana sen wiernym opowie król,  
 Na czole troskę, w sercu ma ból;  
 Słuchają męże, rycerstwa kwiat,  
 Rwie się sokołem do pierwszych czat.  
 Tam śpieszy Thibold z odwagi znan,  
 Angelier bitnych Normandów pan,  
 Auseis, Gotfryd, dorodny Guy,  
 I dzielnych jeszcze młodzieńców rój.  
 Z tysiąca piersi wytrysła krew,  
 Król wielkim głosem ryknął jak lew:  
 „Dzień chwały Twojej o Panie zbliż!”  
 Bóg go wysłuchał: znów górą krzyż.

A gdy grzebano te stosy ciał,  
 Uczcić poległych Karloman chciał,  
 „Tym zuchom, rzecze, nie ujsć już ztąd,  
 Sypmyż im kopce w podwójny rząd:  
 Zatkniemy włócznie u sennych głów.  
 Kiedy w te kraje powrócim znów,  
 Niechże nam o nich świadczy ten znak!

Jak król rozkazał stało się tak:

Dębowy oszczep gdzie leży trup,  
 Niby grobowy zatknięto słup!

Skończył się wreszcie on krwawy dzień,  
 I nocny ziemię ogarnął cień.

Rycerski zastęp śpi trudu syt,

A gdy zajaśniał poranny świt,

Mężowie z ziemi zerwą się wskok,

Na kopce łzawy obróćą wzrok.

Ach! cóż zobaczył rycerski lud?

Sennaż to złuda? czy Boży cud?

Każden tam oszczep wrosł w ziemi głąb,

Z każdego wykwitł zielony dąb!

I dziś z tych dębów rozrosł się las,

Szumić on będzie po wieczny czas,

I na wiek wieków walecznym w cześć,  
O sławnych bojach rozgłośi wieść!

Jeden z najczynniejszych członków Towarzystwa geograficznego paryżkiego p. Simonin, wydał w tym roku opis nowój przejażdżki swojój do Stanów Zjednoczonych. Od roku 1867, po raz piąty zawołany ten podróżnik, przepływa wody Atlantyku, a lubo cel owych dalekich wędrówek, zbliżony raczėj do myśli, która wiodła Argonautów po złote runo, niż do celu Cooków i Kolumbów, korzysta przecież i nauka z tych wypraw uczonego geografa; nowy bowiem Jazon przynosi ze swėj Kolchidy nie samo tylko brzęczące złoto, ale i wiadomości obchodzące ucwilizowaną społeczność.

Pan Simonin, gorący zwolennik Ameryki, patrzy na nią z miłością, a jak utrzymują niektórzy, ze zbyt niém uprzedzeniem. „To—mówi on—kraje, którym się dość napatrzeć nie można. Stany Zjednoczone Ameryki należą do tych uprzywilejowanych okolic, słuszną więc aby synowie Francyi zwiedzali je od czasu do czasu, aby wróciwszy opowiadali braciom co słychać poza Atlantykiem, w narodzie który od lat stu umiał utrzymać rzeczpospolitę i żyć pod jėj prawami!”

Jak zapowiada sam tytuł książki: *A travers les Etats Unis*, autor przebiega szybko ogromną przestrzeń od Nowego Yorku do San Francisco. Zatrzymuje się tydzień w kraju Mormonów nad Słonem jeziorem, opisuje to miasto świętych, w którym zbudowano wprzód teatr niżeli kościół, gdyż jak mówił Brigham Young „Bawić się i modlić to jedno!” Przez śnieżne stopy Newady, podróżnik zbliża się do ziemi obiecanej, owėj Kalifornii, ziemi złota i srebra. Jako inżynier z powołania, przebiega kopalnie, kreśli szczegółowy ich obraz; następnie opisuje stolicę, liczącą dziś do 150,000 mieszkańców. W śniatych rzutach pióra, maluje obyczaj tėj różnoplemiennėj ludności. Ciągłe zetknięcie z najarystokratyczniejszym metalem, dziwnie oddziałało tu na pojęcia. W owym demokratycznym świecie—mówi autor—każdy musi mieć jakiś tytuł. Od czasu ostatniej wojny, prawdziwy szłał ogarnął umysły w tym kierunku. Tyle tu komodorów, generałów, pułkowników, sędziów, doktorów, profesorów i prezydentów, ile u nas hrabiów, markizów albo książąt. Te improwizowane tytuły, zarówno tu cenione, jak w starożytnych domach europejskich, tytuły rodowe uświęcone wiekami. Godności te nic nie kosztują, łatwo je nawet otrzymać cudzoziemcowi; ten co kreśli te słowa, tytułowany był zawsze doktorem i profesorem, na całej przestrzeni od Atlantyku po Ocean Spokojny. W Stanach Wschodnich, urządzonych najwcześniej, rzeczy dalej nierównie zaszyły. Na cmentarzu Bostońskim większa część grobów ozdobiona tarczą herbową. W Nowym Yorku, każdy prawie przyznaje się do krwi Knickerbokerów, pierwszych osadników holenderskich. W Wirginii każdy pochodzi z starėj angielskiej szlachty; w Kalifornii każdy mieni się pionierem z przed 1848 roku!”

Do najważniejszych ustępów w dziele p. Simonin, należy statystyczny wykaz przybywających wciąż osadników, którzy w mgnieniu oka zmieniają głuche pustynie, w ludne i kwitnące osady. Od roku 1820 do 1870, według sprawozdania Edwarda Yunga, (*Special raport on immigration*), przybyło 7,500,000 jednostek. Stany Zjednoczone miały około 1840 roku 20,000,000 ludności, dziś liczą jej dwa razy tyle. Niestychanęj swobodzie praw nadawanych przybyszom, zawdzięcza wielka rzeczpospolita, swój niesłychany rozkwit. Na mocy tych praw, każdy Amerykanin, to jest osadnik, skoro tylko objawi chęć naturalizacji, przypuszczany bywa do niektórych przywilejów obywatelskich; otrzymuje ziemię, w cenie półtrzecia dolara za hektar; na mocy tychże praw, ziemia uprawiana przezeń w ciągu lat pięciu, staje się jego własnością. Każdy pełnoletni członek rodziny fermiera, może zająć 64 hektary roli, za co płaci tytułem wpisu pięć dolarów. W ciągu roku, obowiązany zbudować chatę, z jednemi co najmniej drzwiami i jednem oknem. Oto i wszystko, czego rząd wymaga od nowego obywatela rzeczypospolitęj. Co więcj, biuro *Labor exchange*, istniejące w Nowym Yorku, od r. 1850 ułatwia przybyszom sposoby osiedlenia.

Powtarzamy rzecz za p. Simonin, nie wchodząc w żadne krytyczne sądy. Wiemy że inni w mniej różowem świetle przedstawiali losy przybyszów. Przy kim prawda? co kłaść na karb pesymizmu jednych a optymizmu drugich? trudno nam w rzeczy samej odgadnąć.

Obszerniejszy jeszcze ustęp poświęca autor biednym czerwonoskóрым Indyanom, którzy topnieją niby śnieg na słońcu, pod wpływem cywilizacji europejskiej. Liczba ich na całej przestrzeni Stanów Zjednoczonych wynosi dziś zaledwie 300,000. P. Simonin patrzy na nich raczej okiem zimnego i nieprześląganego ekonomisty, niż okiem chrześciana. „Te trzykroćstotysięczne ludy—mówi on—potrzebują do wyżwienia, obszarów niemal równających się całej środkowej Europie, gdyż nie wyszedłszy ze stanu pierwotnego, przenoszą z miejsca w miejsce koczownicze namioty, stosownie do pory roku. Całym ich zajęciem polowanie na bawoły. Na téj przestrzeni, sto milionów ludzi mogłoby żyć podsycając ziemię własnym potem. Owe sto milionów, przyjdzie prędzej czy później, i zmoże w końcu trzykroćstotysięcy barbarzyńców. Takim jest konieczny porządek rzeczy, takim prawo postępu i cywilizacji!”

P. Simonin spotkał w tym względzie silną opozycją ze strony ludzi szanujących godność i swobodę człowieka. My sami byliśmy świadkami żywych sporów na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego. Zarzucano mu, że te ludy, tak wiernie opisane przez Coopera, miały swoich bohaterów, swoją poezją, swoje odwieczne tradycye. Oto ich pierwotna geneza przechowana w podaniu. „Na początku ziemia pokryta była tumanem pary; najbystrzejsze oko nie mogło nic dopatrzeć. Wielki duch njął łuk w rękę, i dopóty strzelał, aż w końcu pierzchły owe tumany. Ziemia ukazała się z pod mgły, ale nie było ludzi na niej. Wówczas wielki duch ulepił z gliny człowieka i upiekł go na ogniu.

Człowiek był biały, snąć ogień nie dosyć go ogarnął. Wielki duch powtórzył próbę, na ten raz człowiek stał się czarny jak węgiel: snąć zadługo zostawał w piecu. Trzeba było przystąpić do dzieła po raz trzeci: *Omne trinum perfectum*. Doświadczenie udało się na koniec: człowiek wyszedł przyrumieniony. Czerwono-skrózec jest zatem najdoskonałym typem rodu ludzkiego.”

Pan Simonin patrzy na rzeczy z amerykańskiego stanowiska, nie dziwnego że znalazł opór pomiędzy Francuzami, którzy nie pojmują praw postępu opartych na gwałtach i ztracie całego plemienia!

Francya pilniej dziś niż kiedykolwiek, obraca oczy na nową półkulę świata. Wkrótce po ostatniem ogłoszeniu rzeczypospolitej francuzkiej, ukazała się w Paryżu wybornie skreślona biografia ostatniego prezydenta Stanów Zjednoczonych p. t. *Abraham Linkoln*, jego młodość, żywot publiczny, oraz historia obalenia niewolnictwa w Północnej Ameryce, przez Alfonsa Jouault. Wyższa myśl kierowała autorem, miał on na celu pokazać w sposób popularny, jakich potrzeba cnót, jakiej prostoty obyczajów, jakiej energii, aby sprawować godnie trudny zawód kierownika rzeczypospolitej.

Postać Linkolna odmalowana w śmiałych zarysach. Szorstki i energiczny z natury, był on prawdziwym typem geniuszu amerykańskiego. Rosły, krzepki jak dąb, barki miał naprzód pochylone, chód niezgrabny, ciężki, nogi wielkie, rozrosłe w dalekich pochodach, ręce ogromne, stwardniałe od wiosła i siekiery. Nie umiał utrzymać w spoczynku tych rąk przywykłych do pracy bezustannej. Głębokie brózdki zorane na obliczu, świadczyły o przetrwanych próbach w ciągu długiego i ciężkiego żywota. Wielki nos panował nad szerokimi ustami, sięgającymi niemal od jednego ucha do drugiego. Szyja gruba, śniada, zarastała bujnym i czarnym włosem. Wszystko to nadawało mu groźną postać; przy bliższem jednak poznaniu, rysy te dziwnie łagodniały, z czoła połykał promień inteligencji.

Autor znał osobiście Linkolna. Poznał go w czasie podróży swojej po Stanach Zjednoczonych w roku 1865. Przybył właśnie do Washingtonu 4 marca, na uroczystość ogłoszenia powtórnej jego prezydentury. Wielka to była uroczystość: kongres tylko co zatwierdził poprawę konstytucyi, ostatecznie znoszącą niewolnictwo. Prowincye południowe całkiem wyczerpane z sił, ściśnięte wojskiem nieprzyjacielskiem, opasane północną flotą, nie mogły się dłużej opierać. Rezultat ten okupiony był krwią 300,000 poległych, milionem rannych i piętnastoma miliardami franków, wydanych z obu stron na koszt wojenne, nie licząc spalonych osad, miast obróconych w zgliszcza!

W takichto warunkach, Abraham Linkoln, otoczony kołem senatorów i ministrów, w obec nieprzeliczonych tłumów ludu, zebranych na placu przed Kapitołem, składał przysięgę na wierność konstytucyi. W pełnej prostoty mowie, opłakiwał on gorzko klęski wojny domowej; w końcu pamiętne wyrzekł słowa: „Jeżeli Bóg chce, aby ta wojna



trwała dopóty, aż się wyczerpie ostatni dolar zdobyty pracą niewolników, przez lat dwieście pięćdziesiąt; aż każda kropla krwi, co wytrysła pod biczem, zapłacona będzie inną kroplą ściekłą pod ostrzem miecza, powtórzymy to samo, co powiedziano trzy tysiące lat temu: sądy Pańskie sprawiedliwe są i słuszne!"

W miesiąc potem armia północna zdobywa Richemont; 7 kwietnia Linkoln wchodzi w tryumfie do miasta przy poklasku zwyciężkiej armii, wyzwolonych murzynów i wszystkich przyjaciół ludzkości; 14-go pada pod morderczym żelazem.

Autor był obecnym w teatrze, w chwili gdy zbrodnia została dokonana. Widział jak za wozem pogrzebowym, uprzężonym w sześć białych koni, postępował tłum murzynów w żałobie; jak z okien pałaców swoich, kobiety zasypywały kwiatami tych biednych czarnych, którym niedawno pod karą śmierci nie było wolno deptać nogą tej uprzywilejowanej części miasta Richemont.

Dziełko pana Jouault w szczupłych rozmiarach, obejmuje wiele ciekawych szczegółów. Skreślony tu w zajmujący sposób obraz tej krwawej wojny, tak ważnej w dziejach ucywilizowanego świata.

Mówiliśmy już o rozpoczętej publikacji listów Prudhona. Gdy to piszemy, sześć tomów zapowiedzianych wyszło z druku, lecz jak widać rzecz dotąd niewyczerpana. W pierwszych listach można jeszcze było dopatrzeć gdzieś słaby promyczek; im głębiej zapuszczamy się w ten las, tém większa ogarnia nas ciemność, tém powietrze duszniejsze, na tle pochmurzonego nieba przebiegają tylko błyskawice paradoksów, grad zasypuje oczy!

Prudhon ze wszystkich stron uderza na społeczeństwo; radby je do gruntu zreformować na swój sposób. Bada przyczyny upadku dzisiejszego, woła nakoniec: *Eureka!* Przykłada rękę do rany. Tą gangreną społeczną jest według niego idealizm. Z całą też siłą uderza na kobietę, którą mieni być kapłanką tego bożyszcza; onato wprowadziła ideał w życie praktyczne, najprzód za pośrednictwem religii, później drogą literatury, powieści i teatru. Dzieło to złowrogie, prowadzi ludzkość do zatraty. Jeżeli kobieta według Prudhona, wywarła taki wpływ antycywilizacyjny, nie świadczy to wcale o jej wyższości. „Kobieta—mówi on—niższą jest od mężczyzny, tak pod względem fizycznym jak moralnym i umysłowym.” Oburza się też niesłychanie, na ten dziwaczny zwrot w obyczajach, przyznający jej przewagę, do której żadnego nie ma prawa. „Kobieta nie pracuje, brak jej zupełnej siły twórczej, nie wymyśliła nawet wrzeczona i kądzieli. W literaturze nie zostawiła najmniejszego śladu, nie umie bowiem ani myśleć, ani pisać; sztuki piękne zupełnie dla niej obce. Odkąd żywiol niewieści wpłynął na literaturę, nastąpiła stagnacja, a potem zupełny upadek. W skutek tej *innovacyi*, społeczeństwo francuzkie zagrożone, literatura francuzka zgubiona do szczytu!

Jeżeli żywioł niewieści wydał zatrute owoce na polu literatury, autor nie przypisuje tego bynajmniej bezpośredniemu działaniu kobiet. Ospę tę zaszczepili pisarze głośnego imienia, których Prudhon zowie *niewieściuchami*. Protoplastą owych niewieściuchów jest według niego Jan Jakób Rousseau. „Uzuciowość przemaga nad rozumem u sławnego Genewczyka; charakter jego słaby, dusza miękka, sąd fałszywy, rozumowania pełne sprzeczności. Główna jego wina w tém, że był pod jarzmem ideału.”

Imy *niewieściuch* Lamartine, sroższą jeszcze odbiera chłostę. Zrazu Prudhon obsypuje go pochwałami, jak starożytni wieńczyli niegdyś ofiarnego barana; później uderza nań z całą siłą; mieni go głównym trucicielem społeczeństwa, który zarażał umysły zabójczym jadem ideału. Nienawidzi w Lamartinie arystokraty, szydzi z mistycznych jego mrzonek, mieni go żywym anachronizmem. „I czemużto—mówi sarkastycznie—Lamartine nie żył za czasów Ludwika XIV? jego poezya byłaby oświeciła świat, chwała jego przetrwałaby wieki nieskazoną!” Silniej jeszcze uderza na Lamartina jako na męża stanu. Przebaczyłby mu wreszcie *medycy*: to pieśń pogrzebowa na grobie przeszłości; ale mieszać się poecie w sprawy publicznej takiej zbrodni przebaczyć nie może. Pastwi się też nad nieszczęśliwym *Rafaelem*, w którym widzi uosobienie poety; rozbiera poemat wiersz po wierszu, miesza go z błotem, rzuca pociski, których powtórzyć trudno.

W ogólności, wszyscy poeci szkoły romantycznej, zaliczeni do niewieściuchów: „to puszczyki pokwilające pieśń grobową!” Alfred de Vigny, Laprade, należą do świata umarłych. W pośród tych cmentarnych widm i upiórów, jeden tylko Wiktor Hugo stanowi niejaki wyjątek. Ale ubolewa nad jego dolą, zowie go poetą wypartym z ojcowizny; ztąd zmuszonym szukać ideałów w zmarłej średniowiecznej przeszłości!

Jeżeli autor listów z taką zajadłością uderza na pierwszych pisarzy tegoczesnych, o ileż surowiej pomiata pisarkami! „One to stworzyły we Francyi *Nimfomanię literacką!*” wyraża się z najwyższym oburzeniem. Z pomiędzy nich, wybiera cztery typy: panie Roland, Stael, Necker de Saussure i Georges Sand. Staje w obec nich z mieczem w ręku, jako mściciel znieważonej ludzkości.

W pani Roland widzi żywe wcielenie Żyrondy, to jest żywiołu idealnego, który zabił rewolucyą. Żyrondyści zaliczeni przecie do kategorii niewieściuchów, uwikłani w sidła kobiece, drogo przypłacili obłąd pod gilotyną!

Szydzi nielitościwie z pani de Stael. „Korynna—mówi on—poetka, malarka, improwizatorka, śpiewaczka, to naturalnie żywe uosobienie autorki. Zapytuje potem złośliwie, czy taki geniusz jak Korynny, może poprzestać na zwyczajnym powołaniu żon i matek, czy zatem społeczeństwo nie upośledziło kobiety? „Żartuj sobie kochanku!—dodaje w końcu—napróżno kolesz nas w oczy twoim geniuszem! Masz wielką dozę pychy i zarozumiałości, zrzekłś się obowiązków

płci twojej, usiłowałaś napróżno zdobyć zalety właściwe mężczyznom. Jesteś rodzaju nijakiego: tyś potwór literacki!”

Z większym jeszcze wstrętem patrzy na panią Necker Saussure, zimną pietystkę protestancką, z pargaminową cerą i zacisniętymi ustami. „Prawdziwa szczerłość rzadką jest u kobiety”—wyrzekła niegdyś pani Saussure. Prudhon czepia się tych słów: „Prawda niezaprzeczo-na!—odpowiada na to—nie trzeba by przypisać wężowi, staremu inicjatorowi płci niewieściej, téj obłudy, którą filozofowie i satyrycy przypisują zwykle kobiecie? Co do mnie, sądzę że brak szczerości pochodzi u niej z umyślowego kierunku; działa ona pod wpływem intuicji, nie zaś rozumowania. Ponieważ intuicja nie prowadzi daleko, ztąd kobieta musi nieraz zatrzymać się przed nielogicznością własnych wywodów. Nie ufa téz sobie, nieszczerą jest z obawy.”

Przeciwko pani Georges Sand wypuścił Prudhon wszystkie swe baterie. Zaczém ją poznał, przekonany był że kobieta nie potrafi zlepić dwóch myśli razem. „Pani Sand ma geniusz!—mówiono wkoło niego; prace jój świadczą o intelektualnej równości mężczyzn i kobiet.“ Słowa te zapalały go gniewem. Znał tylko ustępy z dzieł słynnej autorki. „Pytałem—mówi on—co z utworów pani Sand zasługuje na szczególną uwagę? Jeden ukazywał mi Lelię, drugi Indyannę, trzeci Mauprata. Zły to znak ta różnica opinii! postanowiłem poznać wszystko do gruntu. Odczytałem więc kolejno Indyannę, Walentyne, Lelię, Mauprata, Jakóba, Różę i Blanke, Spirydona, Leona Leoni, Teweryno, *Historję życia mego* i t. p.”

Prudhon oburzony był zrazu: nie mierząc słów, zowie autorkę obłudnicą, zbrodniarką, plagą, zarazą społeczeństwa; później jednak złagodniał w zdaniu: uniewinnia poniekąd pisarkę, błędy jój przypisuje zewnętrznym wpływom. I cóż tak rozbroiło straszego wroga płci niewieściej? Oto z Pamiętników pani Sand dowiedział się że wzrastała od dziecka, żadnym nie skrepowana przesądem; babka jój bowiem zagorzałą była wolteryanką, nauczyciel nie wierzył w Boga. Autorka wychowana pod takim wpływem, w dwódziestym roku życia umiała już kilka obcych języków, posiadała obszerne wiadomości w dziedzinie nauk, filozofii i sztuk pięknych!

„Pani Sand—mówi Prudhon—ma z natury usposobienie spokojne, umysł wcale nie sofistyczny, serce nie nadto czułe. Powolna aż do łatwowierności, pojmuje rzeczy jasno, sądzi trafnie zwykłe przygody życia. Charakter jój, temperament, wychowanie, zimna krew, słowem wszystko wskazywało jój drogę wprost przeciwną od téj, na jaką poprowadziły ją złe stosunki. Gdyby spotkała była zrazu człowieka poważnego, z duchem niezłomnym, Georges Sand, z onéj bachantki zbudowanej jaką widzieliśmy, byłaby się stała reformatorką miłości, apostołką małżeństwa, potęgą rewolucji. W powieściach pani Sand widzieć można zmiany téj duszy chwiejnej, bez właściwej równowagi. W Walentynie to kobieta spokojna, przyjmująca z rezygnacją węży nieidealnego wcale małżeństwa. W Indyannie, trawiona nudotą, szu-

ka wrażeń, kocha głowę ale nie sercem. W Lelii piorunuje na miłość, poznawszy jej szaty i niezgłębione odmęty. Artystka wpadła w sidła. W sztuce widziała najwyższy objaw dobra i sprawiedliwości, gdy tymczasem sztuka nie jest celem, ale pobudką. Nie zgadła artystka, że ta artystyczna wolność, która ją łudzi, prostą jest swawolą, nie idealną wcale. Zbłąkała się, zaufawszy artystom, poetom, owym najniebezpieczniejszym przewodnikom, jakich napotkać można pomiędzy ludźmi!"

Cała sześciotomowa korespondencyja Prudhona prowadzona w tym duchu. Każdy list pełen zdań paradoksalnych, nie jeden zaprawny obrzydliwym cynizmem.

W liczbie najnowszych i najozdobniejszych publikacji francuzkich, z wydziału czysto-naukowego, uderzyła nas jedna określająca anatomią pszczoły. Zajęcie nasze było tém żywsze, gdyśmy na okładkach wyczytali nazwisko Michał Girtwojn. Zaczém mieliśmy sposobność poznać młodego autora, który tak zaszczytnie w obec ludów obcych, świadczy o téj pochopności do pracy, cechującej nowe pokolenie młodzieży naszej, radzi byliśmy wiedzieć, jak też Francuzi oceniają jego dzieło. Przebiegliśmy téż specjalny przegląd pszczolniczy (apiculteur) i w kilku ostatnich zeszytach wpadły nam w oczy najchlubniejsze świadectwa oddane autorowi naszemu.

„Jest to, mówi jeden ze sprawozdawców, doskonała monografia powiększonych organów pszczoły, wykazana z równą dokładnością jak cudowna praca Straussa Durkheim o chrabąszczach. Widzimy z radością, że uczony specjalista z kraju polskiego, téj kolébki wyrozumowanego pszczolnictwa, ogłasza po francuzku dzieło pomnikowe: Historię naturalną pszczoły.”

Równie chlubne słowa, czytamy w dawniejszym buletynie z 1874 roku: „Pan Girtwojn przedstawia na posiedzeniu monografią dotąd niewydaną organów pszczoł i ich budowy. Towarzystwo pszczolnicze uważa jednomyślnie tę pracę, jako *pierwszorzędną* (hors ligue). Dwadzieścia cztery wielkich tablic owéj monografii, obejmuje wielką liczbę figur w powiększeniu, wykonanych ze szczególném staraniem. Autor poświęcił lat dwa na to znakomite studyum. Towarzystwo składa mu za nią żywe podziękowanie.”

Poznaliśmy wreszcie autora. Widząc szczere zajęcie nasze i poszanowanie z jakim patrzymy na jego pracę tak zaszczytną i pożyteczną, on sam ukazał nam drogi, jakie doprowadziły go do tego stanowiska, jakie zajął dziś w świecie naukowym. Zamiłowanie w pszczolnictwie odziedziczył on po ojcu i po dziadku Antonim Palczewskim: w dzieciństwie już wieku przyglądał się pilnie ich pasiekom. Później zawód na inném obrany polu, przygłuszył w nim wrodzoną skłonność; w roku dopiero 1870, bliższe stosunki z panem Aleksandrowiczem, uczniem wydziału lekarskiego w Warszawie, rozbudziły w nim chęć do badań w dziedzinie nauk przyrodzonych, a szczególnie pszczolnictwa. Pierwszym owocem tych prac były rysunki wykonane do dzieła pana

Ramaszyńskiego właściciela wzorowej pasieki w Warszawie, i wynalazcy postępowych ulów. Wkrótce te ule sprowadzono do Luchowa pod Kowno. Tu pan Girtwojn przebywa rok cały. W miarę badań i trudów, rośnie w nim coraz bardziej miłość przedmiotu. Niechcąc zatrzymywać się w połowie drogi, wchodzi jako uczeń do wyższej szkoły rolniczej imienia Haliny, w Żabikowie koło Poznania: zajmuje się głównie pszczolnictwem, wydaje pierwsze dziełko *Podręcznik*, zwraca na siebie uwagę Towarzystwa rolniczego w Poznaniu, otrzymuje zasiłek, urządza wzorową pasiekę. Ztąd pośpiesza do Berlina, przegląda pilnie bogate zbiory entomologiczne, wraca w Poznańskie, odbywa kurs w mieście Środzie, pod kierunkiem Antoniego Kremiera; przebiega Prusy Wschodnie i Zachodnie, zwiedza wszystkie pasieki tych okolic.

Z końcem 1871 roku, niezmiordowany badacz udaje się do Galicyi. W Woli Justowskiej pod Krakowem bierze udział w pracach D-ra Kozubowskiego prezesa Towarzystwa pszczolno-jedwabniczego; następnie przebywa rok w Akademii Proszkowskiej na Szlązku. Tu korzystając z rad D-ra Henzela i z fizyologicznej pracowni, zabiera się do drugiego, obszerniejszego dzieła: *Obraz budowy ciała pszczołowego*. Dzieło to przedstawia Akademii krakowskiej, otrzymuje od niej medal. Wkrótce potem, na wystawie powszechnej w Wiedniu sąd przyznaje mu zaszczytny medal zasługi. Obok téj pracy, pan Girtwojn przedstawił jeszcze w Wiedniu, anatomiczne okazy pszczoł w naturze, w rozmaitych okresach ich rozwoju, tudzież okazy owadów pszczołom szkodliwych. Ministerstwo rolnictwa nabyło owe szacowne zbiory.

Po dwakroć uwieńczony laurcat nie poprzestaje na odebraniem uznaniu. Wiedza jaką zdobył nie odpowiada jeszcze gorącym jego pragnieniom. Z Wiednia pośpiesza na Szlązk do wzorowej pasieki księżna Dzierżona w Katowicach. Tam pod kierunkiem tego sławnego w świecie ojca pszczolarzy, odbywa kurs na nowo. Nie dosyć jeszcze na tém. Ze Szlązka pośpiesza do Paryża, w słynnych tutejszych muzeach, przez siedm miesięcy bada fizyologią i anatomią pszczoły; słucha wykładu pierwszych tegoczesnych fizyologów: pp. Blanchard, Künkel d'Herulais i znanego profesora Hameta. Zwiedza potem pierwsze pasieki we Francyi i Anglii południowej. W Londynie bada zakład pszczolniczy w pałacu kryształowym. Wzbogacony trzyletnią nauką i doświadczeniem, wykonywa znakomitą pracę, złożoną z tekstu i stu siedm dziesięciu rysunków pomieszczonych na dwódziesięciu czterech wielkich tablicach. Ową to pracę nabyło Towarzystwo ścisłych nauk w Paryżu i wydało pod tytułem *Anatomia pszczoły*. Nakładca Rothschild powtórzył właśnie wydanie z tekstem francuzkim. W Londynie Macmollen rozgłosi wkrótce dzieło w angielskim tłumaczeniu.

Z chlubą i radością wskazaliśmy trzyletni bieg niezmiordowanych usiłowań p Girtwojna, jego bowiem tryumf jest tryumfem kraju, który go wypiastrwał. Tryumf to wielki w rzeczy samej.... W dzisiejszym stanie nauki, niełatwo przychodzi postawić krok naprzód, na jakimś-

kolwiek polu. P. Girtwojn należy do tych uprzywilejowanych, którym dano postawić ten krok i wzbogacić zasób wiedzy ludzkiej. Chlubne to świadectwo oddał mu publicznie p. Hamet, sławny professor pszczolnictwa w Paryżu. „Winszuję sobie—pisze ten uczonej—stosunków moich z panem G... z powodu prac jego entomologicznych o pszczole. Jego poszukiwania utwierdziły mnie w wielu punktach, dotąd ciemnych dla mojego umysłu.”

Niemniej chlubne świadectwo oddał mu w liście ojciec pszczolarzy ksiądz Dzierżon; oto są jego słowa:

„Zdumiony jestem patrząc, jak starannie odtworzyłeś pan cudowny układ pojedynczych cząsteczek ciała pszczoły. Tém dziełem zbudowałeś sobie pomnik trwalszy od spiżu u miłośników pszczolnictwa i przyrody, nie tylko w Polsce, ale u wszystkich narodów, gdyż tak systematyczny i prawdziwie artystyczny opis musi zająć w najwyższy sposób każdego, kto ma choć trochę pojęcia o przyrodzie.

„Dzieło pańskie da nie jednemu pobudkę do zajęcia się hodowlą tego owadu, którego budowa tak zadziwiająca. Nie omieszkam zwrócić na to uwagi w gazecie poświęconej pszczolnictwu, i w innych czasopiśmiech, a jeżeli będę miał zaszczyt uszczelniczyć w zebrańniu strasburskiem, radbym i tam przemówić o znakomitęj jego pracy.”

Nie jeden zapewne poprzestały na tych tryumfach. Pan Girtwojn gorący miłośnik naukowych badań, skierował je dziś do nowego przedmiotu: zajął się sztuczną hodowlą ryb. Korzystając z pobytu swego w Paryżu w roku zeszłym, rozpoczął studia nad piscikulturą w zakładzie kolegium francuzkiego, pod kierunkiem profesora Cosse. Ztąd popłynął do Londynu, zwiedził bogate zbiory w British-Muzeum, jak niemniej zakład Bucklanda generalnego inspektora gospodarstwa rybnego w Anglii; udał się potem do Brighton, gdzie istnieje pierwsze w świecie aquarium. W ciągu ostatniej zimy odbywał studia chowu ryb, w sławnym na świat Zakładzie kąpieliskim Seltzenhofs koło Freiburga. W chwili gdy to piszemy wyjechał do Szwajcaryi zwiedzić tameczne jeziora, ztąd uda się w Wirtembergskie, gdzie są największe pstrągarnie; później do Bawaryi dla łososi dunajskich, hodowanych w zakładzie Kupfera. W tym jeszcze roku zamierza zwiedzić Czechy, słynne z hodowli karpia i linów, poczem odbędzie studia w Anglii i Szkocji.

Pan Girtwojn obznajmiony z fizyologią ryb, zebrał już mnóstwo rysunków w tym przedmiocie. Nie wątpimy, że wystąpi wkrótce z nowym dziełem i nowe zbierze tryumfy. Życzymy szczerze powodzenia tym nowym pracom! Pan Girtwojn należy do liczby tych pozytywistów, do których można z głębi serca wyrzec po dawnemu: Szczęść Boże!

Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa geograficznego widzieliśmy bardzo ciekawą mapę utworu i pomysłu nestora geografów francuzkich p. Eugeniusza Cortembert. Uczony ten, wszechstronnie bada geografią od lat z górą czterdziestu. Mapa którą przedstawił nam w pier-

wszym dopiero zarysie, ma na celu okazać wpływ miejscowości na rozwój gieniuszu mieszkańców. Widzimy tu Francją podzieloną na departamenty: każdy departament naciągnięty farbą czerwono-cielistą, wzmacniającą ton w miarę rozwoju umysłowego. Z pierwszego rzutu oka uderza nas największa przewaga inteligencji, w stronie północno-wschodniej. Barwa departamentu Sekwany, gdzie oznaczony Paryż, panuje nad innymi najmocniejszym tonem. Południowe strony mocną też naciągnięte barwą, również jak część zachodnich. Najbledniej przedstawiają się departamenty składające środkową Francją, Bretanią i podnóża Pirenejów. Za normę do obliczenia swego bierze autor nie ogólny rozwój oświaty w mieszkańcach, ale raczej statystykę znakomitych jednostek, jakie wydał kraj w paśmie wieków, od kolebki swojej aż do czasów ostatnich. Żyjące osoby wcale tu nie oznaczone.

Pan Cortembert pracuje pilnie nad tą mapą, pragnie wykończyć ją na sierpniową wystawę, podczas geograficznego kongressu. Tekst dołączony do niej, będzie bardzo ciekawy, jak wnosimy z kilku słów wyrzeczonych na zebraniu. Autor nie może wyczerpać do gruntu rzeczy, potrąci tylko mnóstwo ważnych pytań, zostawiając rozstrzygnięcie ich etnografom i antropologom. Uwagi jego pobieżnie rzucone, żywo zajęły słuchaczy. Widzimy z nich, że środkowa część kraju, przedstawiająca względne ubóstwo inteligencji, ma ludność bardziej od innych jednolitą, mniżej połączoną z napływowemi żywiołami.

Uderzyła nas także uwaga, pokazująca kierunek gieniuszu objawiający się względnie do miejscowości. Północ naprzykład jest kolebką najpierwszych poetów, zaczawszy od Truwerów średniowiecznych, wyższych potęgą ducha od Trubadurów Prowancyi. Wschodnia część kraju licząc w to Alzacyą, wydała najznakomitszych wodzów i rycerzy: z południa wyszli najsłynniejsi mówcy: Thiers, Mirabeau, Guizot; zachód był gniazdem wielkich prawników, Bretania uboga pod wielu względami, szczyli się jednak szeregiem sławnych geografów i żeglarzy.

Uczony autor nie poprzestanie zapewne na tej pracy, ale rozszerzy ją do większych rozmiarów, kreśląc podobne mapy innych krajów europejskich. Obecni na zebraniu członkowie przedstawiali różne pytania i uwagi, co do nas, mieliśmy chęć zapytać znakomitego geografa, dlaczego nie oznaczył tonów w przeciwnym kierunku? Nie byłoby właściwiej oznaczyć jasną barwą miejsca z których wytryska najżywsze światło, inne zaś w miarę ubóstwa coraz to grubszym pokryć cieniem. Nie zmniejsza to przecież wartości pracy, tak ważnej pod względem pomysłu.

W miesiącu kwietniu byliśmy obecni na uroczystém zebraniu w Sorbonnie towarzystw naukowych z całej Francyi. Uroczystość ta, już przez to samo zajmująca, że pokazuje zaszczytne współzawodnictwo miast prowincjonalnych z Paryżem, w tym roku większe niż zwykle miała jeszcze znaczenie. Pan Wallon ojciec Rzeczypospolitéj, jak go powszechnie zowią, po raz pierwszy wystąpił publicznie w tym dniu ja-

ko minister oświecenia. Mowa jego niesłychany wywołała téż zapamię. Kiedy z ust jego zbiegł wyraz *Rzeczpospolita*, stara Sorbonna wstrząsła się od oklasków. Powtórzono znów owacyą kiedy wyrzekł: „Strzeżmy się tylko dwóch rzeczy, które były plagą naszych dziejów współczesnych, strzeżmy się: *zamachów stanu i rewolucyi*.”

Ze sprawozdań odczytanych przez sekretarza na tém zebraniu, dowiadujemy się że jeden z uczonych, pan Capmas odkrył w zbiorze starych archiwów, zbiór listów pani de Sévigne, dotąd nie ogłoszony drukiem. Ważny to nabytek dla historii XVII-go wieku. Paryż tém niecierpliwiej czeka téj nowój publikacji, że z katedry literatury w kollegium francuzkiém, wymowny professor Feugère, odżywił właśnie pamięć pani de Sevigne, biorąc jej listy za przedmiot swego kursu, w ciągu ubiegłego półroczka. Największa sala w kollegium nie mogła pomieścić słuchaczy, cisnących się na ten wykład prawdziwie znakomity.

Podobne współzawodnictwo miast prowincjonalnych z Paryżem, pokazuje się dziś na każdym kroku. Najważniejszym jego objawem jest w téj chwili wystawa rolniczo-przemysłowo-archeologiczna w Blois nad Loarą. Starożytny zamek w Blois, rezydencya niegdyś Ludwika XII i Henryka III Walezyusza, należy sam przez się do najciekawszych pomników historycznych we Francyi. Do tegoż miejsca, zamożni właściciele zamków z całej prowincyi orleańskiej ponadysłali starożytne ryzsztunki, sprzęty, obrazy, porcelany, klejnoty familijne, odwieczne księgi i rękopisma, słowem mnóstwo cennych zabytków archeologicznych. Uderza w pośród nich piękny portret Maryi Leszczyńskiej, pędzla sławnego Nottiera. Obrazy i rzeźby współczesne, nadesłane zarówno, pomieszczono w osobnych salach. Okazy miejscowych wyrobów i pódów, zapełniają wielki gmach drewniany, zbudowany w tym celu. Dwie sale obejmują prace szkolnej młodzieży. W wielkiej liczbie rysunków, odznaczają się krajobrazy i portrety, malowane przez uczniów rzemieślniczej szkółki niedzielnej. Niektóre z nich zapowiadają wyższy talent.

Wystawa w Blois otwarta 1 maja, trwać będzie sześć tygodni. Przykład ten zachęci pewnie inne miasta. Nieobliczone wypłyną ztąd korzyści, najważniejszą z nich będzie duchowa łączność Paryża z prowincyą, rozerwana od dwóch wieków systematem silnej centralizacji, tak wstrętnej prowincjonalnym miastom francuzkim.

Kongresa naukowe, zapowiedziane na ten rok, po różnych stronach kraju. W lipcu odbędzie się kongres amerykanistów w mieście Nancy; w sierpniu kongres archeologów w Chalons nad Marną; w tymże samym miesiącu w mieście Nantes kongres Towarzystwa postępu nauk, zajmujący się głównie antropologią i archeologią przedhistoryczną; na koniec kongres ściśle naukowy w Autun. Dodajmy do tych wszystkich międzynarodowy kongres geograficzny w Paryżu, połączony z wystawą.



Widzimy w tém wymowne świadectwo umysłowego ruchu w całej Francji.

Jak niegdyś *Rękopis króloworski*, tak dziś *pieśni Rodopu*, odkryte w Bułgarii przez Werkowicza, znajdują zaciętych przeciwników, którzy wzięli sobie za cel zaprzeczyć im odległej starożytności a przedstawić w nich proste fałszerstwo literackie. Walka już rozpoczęta. W Paryżu podjął oręż pan Ludwik Leger, wystąpił on silnie w przeglądzie krytycznym przeciwko prawdziwości tych pieśni. Możnażby przypuścić, mówi francuzki sławista, żeby śpiewacy nawet w wąwozach Rodopu, mogli zachować imiona boga Wisznu i boga Agni? możnaż przypuścić, że od nazwy święta Kolady, ktokolwiek oprócz mytologa urzędowego, mógł kiedykolwiek znaleźć boga Kolady? Wszystko to znajduje się przecież w zbiorze Werkowicza.

„Niepodobna nam zaprzeczyć, dodaje krytyk, natchnienia wysoko poetycznego w owych pieśniach. Gdyby ich autorowie przystali je nam jako nowe a nie stare utwory, byłiby wzbogacili bez wątpienia literaturę narodową; takie zaś jakie przystali, noszą na czole piętno oszustwa (le stymate de l'imposture)!”

Pan Leger składa podziękowanie uczonemu czeskiemu Ireczkowi, że zdart śmiało zasłonę *złej wiary* z tych utworów. Co do nas, jeżeli widzimy gdzie złą wiarę, to chyba w nadużyciu imienia Ireczka. Z pomiędzy kilku członków tej rodziny, znanych w świecie naukowym, jeden szczególnie zdobył europejską sławę. Jest nim Józef Konstanty Ireczek, prezes akademii słowiańskiej w Pradze. Napisał on historią Bułgarii w dwóch tomach, zebrał w niej z wielką erudycją szczegóły dotyczące się dziejów, religii, piśmiennictwa, słowem całego stanu przeszłego i obecnego tych Słowian naddunajskich. Dwa tomy owęj arcyważnej publikacji wyszły już z druku, i wkrótce zapewne ukażą się w tłumaczeniu francuzkiem.

Od tegoto Ireczka otrzymał właśnie professor Chodźko list z datą 2 kwietnia 1875 roku. „Nie pisałem nigdy, mówi ten uczony, ani jednego słowa o Wedzie bułgarskiej Werkowicza i nikt u nas nie wydał dotąd ani książki, ani rozprawy o tym przedmiocie tak zajmującym. Ojciec mój tylko wspominał o nim w odczycie na jednem z posiedzeń Towarzystwa Królewskiego w Pradze. Posyłam sprawozdanie z tego odczytu, znajdzie pan w końcu kilka słów o Wedzie Werkowicza.”

Dziwnym wypadkiem, sprawozdanie to wyprawione w raz z listem, czy też osobną drogą, nie doszło rąk professora Chodźki. Pojmujemy że Ireczek (ojciec), mógł okazać jakąś wątpliwość; trudno jednak przypuścić, aby zdzierał zasłonę *złej wiary* (imposture)! z utworów, które uczony syn nazywa *zajmującemi*. Pan Leger zresztą zbywa rzecz ogólnikiem, nie mówi wyraźnie, który to z Ireczków protestuje przeciw pieśniom Rodopu, nie powtarza dosłownie protestacyi, zasłania się tylko powagą nazwiska, znanego w naukowym świecie.

Z ostatniego listu Werkowicza do professora Chodźki, widzimy że walka toczy się nad Dunajem, zacięciój jeszcze niż w Paryżu; przy-

tacza on list Szafarzyka, prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk w Belgradzie, tłumacza Wedy bułgarskiej na język francuzki.

„Istnieje tu, pisze Szafarzyk pod datą 30 marca r. b., wielkie zwątpienie co do autentyczności pieśni przez ciebie odkrytych. Sądzą niektórzy, żeśmy poprawiali i przerabiali teksta. Dobrze byłoby gdybyś napisał jakiś artykuł do *Zagrzebskich Narodnych Nowin*, bez uniesienia, łagodnie, ale z całą prawdą. Powiedz poważnie że masz w ręku wszystkie dowody, na przekonanie ludzi bezstronnych, o prawdziwości zebranych przez ciebie dokumentów; że nie było w nich żadnych przemian, ale że je przepisywali słowo w słowo, ludzie nie będący sami w stanie ocenić wartości wyrazów, a tém bardziej rzeczy zawartych w owych pieśniach. Taki artykuł sprawi wrażenie w Słowiańszczyźnie, i za granicą, a czas dokona reszty. Skoro każda pieśń będzie miała w nagłówku ścisłe oznaczenie, gdzie, kiedy i od kogo wzięta, kto ją przepisał, zamknijmy wnet usta niecnym oszczercom.”

Werkowicz dodaje ze swęj strony, że od pięciu lat domaga się wyznaczenia uczonęj komissyi, złożonęj z filologów europejskich, dla sprawdzenia jeszcze raz autentycznosci odkrytych pomników.

Ktokolwiek czytał w oryginalne te pieśni, nie może w żaden sposób zaprzeczyć im cech właściwych utworom czysto ludowym, i to z czasów odległych. Sama dziecięca ich prostota, pozbawiona wszelkiego artyzmu, same powtarzania i niezliczone *waryanty*, dostatecznie świadczą o ich prawdzie. Niktby dziś tak pisać nie potrafił. Kto powątpiewa, niechaj postawi obok tych utworów, wybełkotanych dziecięcą mową, Illyryjskie pieśni Maglanowicza, stworzone przez Meriniego, wraz z nazwiskiem zmyślonego ich wynalazcy!

Imiona bóstw *Wisznu*, *Agni* i *Kolada*, któremi tak się gorszy pan Leger, nie będą naciąganiem w oczach lingwisty znającego do gruntu języki słowiańskich ludów; *Wisznu*, nie oznacza tu bynajmniej indyjskiego bóstwa: jest to po prostu bóg *wyższy* w hierarchii mytologicznęj. Co do Agni (ognia), któż nie wie że to bóstwo odbierało powszechny hołd na całej przestrzeni ziem słowiańskich; nie świadczą o tém ognie sobótkowe palone dotąd w przeddzień Św. Jana? Jeśli ta tradycja przetrwała do dziś dnia nad Wisłą i Pilicą, o ileż silnięj musiała zakorzenić się u ludów osiadłych na krańcach Wschodu, wystawionych na wpływy perskich Gwebrów, u których bałwochwalstwo Ognia panowało w całej potędze? *Kolada* wreszcie nie tak jest nadzwyczajnym, jak to utrzymuje p. Leger. Skoro lud nasz, w okolicach Lublina, powtarza po dziś w swoich pieśniach weselnych, imię pogańskiego *Lada*, dlaczegożby w cieniu gór Rodopu nie miała przetrwać w swęj pierwotnęj całości, nazwa tego starożytnego bóstwa?

Professor Chodźko spokojnęm okiem patrzy na podniesioną walkę. W Pamiętniku Akademickim ukaże się wkrótce obszerna jego rozprawa o pieśniach Rodopu, oceniająca je ze stanowiska mytologii porównawczęj, równie jak pod względem lingwistycznym. Czytaliśmy

w korekcie początek téj arcy-ważnej pracy. Professor odpowie téż sam na zarzuty p. Leger. Walka, powtarzamy, wcale go nie ustrasza. Któż nie wie że miléj stokroć walczyć, niż znosić obojętność? Ze starcia zdań wytryśnie wkrótce światło. Po zapasach nastąpi pewny tryumf. Uczeni francuzcy, jak sławny lingwista Breal, jak dyrektor kollegium francuzkiego Laboullay, podpierają silnie naszego profesora.

W paryzkim świecie literackim panuje w tym roku nadzwyczajna śmiertelność, samo towarzystwo *Des Gens de Lettres* utraciło dwudziestu czterech członków swoich, w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Między innymi umarł ulubiony powieściopisarz, krytyk i publicysta Amedeusz Achard. Sprawozdania jego teatralne w Monitorze, przed laty kilku czytowane były z równém zajęciem, jak odcinki Janina w Debatach. Zaniechał ich Achard, aby tém gorliwiej uprawiać pole powieściopisarstwa, tak od niejakiego czasu zaniedbane, tak dzikimi zarosłe chwastami we Francyi.

Marsylczyk rodem, miał on z natury wyobraźnię bujną, właściwą południowcom, odziedziczoną może po dawnych kolonistach focejskich. Wytworny smak trzymał na wodzy jego wyobraźnię, strzegł ją od zbytelnego rozprężenia, słowem nadał utworom jego ten urok, jakim zniewolił sobie umysły światłych czytelników.

W powieściach historyczno-fantastycznych: *Belle Rose, la Cape et l'Epée*, czuć jeśli nie naśladownictwo, to jakieś mimowolne zbliżenie do Muszkietarów Aleksandra Dumasa. Achard prawdziwą oryginalność okazuje w powieściach filozoficznych. Najznakomitsza z tych *Historya człowieka*, ma znaczenie głęboko psychiczne. Autor w typowej postaci bohatera swego uosobił przeżyłą ideę, ustępującą ze świata, pod wpływem nowych, żywotnych prądów. Postać tę określa tak we wstępie:

„Uderzyła mnie silnie, tajemnicza a wielce nauczająca myśl, zawarta w jednej ze wschodnich legend, w której pod przejrzystą zasłoną poezyi, odbija myśl prawdziwie filozoficzna. Ta legenda opowiada, jako Eblis, książę złych geniuszów, aby powstrzymać rozwój dobra, pochwyca gwałtem pewną liczbę dusz, w chwili kiedy z łona nieskończoności Bożej, wybiegają ku światłu. Biędne dusze schwycone w przelocie, zapędzone w głąb ciemnego i głuchego lasu, czekają tam lata i wieki. Później dopiero, kiedy siostry ich, po ziemskiej pielgrzymce kosztują już słodczy niebiańskiego spokoju, dusze te, wypuszczone na wolność, zrywają się chciwie do życia. Ale wieki szły naprzód; ludzie nowi nie mogą już zrozumieć owych dusz zapomnianych, obcych im i myślą i mową. Stworzone dla dawniejszój epoki, dla idei pogrążonój w grobie zmarłych pokoleń, tułają się po ciernistych ścieżkach wygnania, samotne i zbolate, dopóki śmierć nie rozkuje ich z twardych więzów.

Taką jest myśl powieści. Rzućmy teraz okiem na jój watek. Hrabia Jan Nauvailler de Clerfons, ze starożytnój rodziny francuzkiój, rysami oblicza dziwnie przypomina jednego z naddziadów swoich Filipa Neuvailler, którego portret zdobi galeryą starożytnego zamku. Ten

Filip był zagorzałym zapaśnikiem z czasów *Ligi*. Został po nim pamiętnik skreślony na pergaminie, ręką stwardniałą od oręża. Hrabia Jan rozczytywał się pilnie w tym pamiętniku. „Pierś uderzała mi na gwałt—mówi on—ilekroć dotknąłem ręką owęj zaklętej księgi. W oku mojem świeciły łuny pożarne, w uchu dzwoniły szczęki szablów. Portret prapradziada wisi na ścianie oprawny w stare ramy. Rzecz dziwna... jam podobien do niego... mam jego rysy, jego wzrok... gdy czytam stary pamiętnik czuję że mam i jego duszę!”

Dzielny zapaśnik z czasów Walezyusza, powrócił więc na świat w pierwszej połowie XIX-go wieku, wcielony w prawnika. „Nauka fizjologii—mówi autor—zapisła już nieraz podobne zjawisko.” Po upadku pierwszego cesarstwa, z powrotem Burbonów, hrabia Jan występuje na widownię, jako oficer w pułku gwardyi królewskiej. Patrzy on na sprawy społeczne, z tego samego stanowiska, z jakiego patrzył na nie hrabia Filip, zmarły i pogrzebany przed dwustu lat z górą. Wszystko dziwi go i dotyka boleśnie. Nie rozumie kolegów i oni nawzajem zrozumieć go nie mogą, ztąd bezustanne pojedynki. Serce jego uderza wreszcie; z całym zapaktem młodości kocha piękną jasnowłosą Ludwikę Vauxelle. Dzień ślubu już naznaczony, godzina szczęścia wnet wybije. W chwili najwyższego uniesienia, biędny Jan spostrzega, że narzeczona odwraca odeń oczy, blednie na jego widok, drży z trwogi ilekroć on wyrzeczy do niej słowo. Ludwika oddała serce innemu; szlachetny Jan zrzeka się praw swoich na rzecz szczęśliwszego współzawodnika.

Następuje rewolucya 1830 roku. Młodszy brat Jana Wilfryd walczy zacięcie w imię nowych idei. Hrabia Jan mimo gorącej miłości dla brata, zrywa z nim ostatecznie, porzuca służbę wojskową, usuwa się z widowni; następnie chwytą za oręż, walczy w Wandei w sprawie Burbonów. Po klęsce wraca do gniazda, złamany w duchu, samotny, z sercem boleśnie zakrwawionem. Po długim szeregu przygód, których tu opisywać niepodobna, dnia jednego, hrabia wyjechał do lasu na łowy: nie powrócił wieczorem. Około północy, osiodłany koń jego stanął u progu stajni. Przerażeni domownicy zapalają pochodnie, pospieszają do lasu. Nagle za skalistym złomem, przy obalonęj brzozie, zczerwionęj krwią, spostrzegają martwe ciało Jana. Cztery podkowy końskie wyłobily ślad, na samym szczycie skały. U dołu trawa potratowana, gałązki krzewów sterczą połamane. Hrabia wybornym był jeźdźcem; powód wypadku pozostał dla wszystkich tajemnicą. Przekazał on cały majątek, młodęj Herminii, córce zmarłego już brata Wilfryda. Polecik jęj aby psy i konie znalazły chleb łaskawy. „Służyły mi, kochały mnie, pielęgnuj je na pamiątkę moją, zapisał w testamentie. Na kamieniu grobowym wyrtyto proste słowa: „Żyłem sam!” W tych słowach zawarta cała historia jego życia. Hrabia żył sam, gdyż nie umiał zgodzić się z biegiem czasu.

Przytoczyliśmy treść owęj uroczej powiastki, aby pokazać jakiego to pisarza i psychologa, Francuya słusznie oplakuje w Achardzie.

Wspominaliśmy już nieraz o powinowactwie duchowém Francuzów z dawnymi Ateńczykami, powinowactwie które się tłumaczy kolonią Grecką założoną niegdyś w pośród Gallów. Nowy dowód na to stawia nam zbiorek świeżo wydanych szkiców pod tytułem: *Powiesci z nad zatoki Juan*. Autorka ich pani Julia Lambert, lekką a pewną siebie ręką, nakreśliła te obrazki spokojne i wesołe, z których powiewa jakby woń teokrytowych sielanek. Forma ich nadzwyczaj wytworna, nie ma tu próżnego wyrazu. W pełnych prostoty zarysach, pani Lambert, zakochana w rodzinnej Prowancyi, maluje brzegi morza Śródziemnego; wpatruje się w te gaje oliwne rozsiane po wzgórzach, w te granitowe szczyty Alp, rysujące się lekko na widnokregu, słowem w tę piękną przyrodę, która natchnęła tylu starożytnych poetów, tylu późniejszych trubadurów. Strona obrazowa stanowi główną zaletę owych ślicznych powiastek, ale i dramat życia oddany w nich z całą prawdą, acz bez chorobliwych uniesień.

W jednej z nich autorka maluje szczęście idealne młodej, tylko co zaślubionej pary. Młodziuchna żona, piękna i młoda, kochająca i kochana, spokojnie patrzy w przyszłość; jak skowronek ulata ku słońcu, jak pszczołka wysysa słodycz z kielicha kwiatów. Jedna chwila burzy ten złudny urok. Huk dział potrafiło wybrzeża Prowancyi. Kraj w niebezpieczeństwie! Mąż wydziera się z objęć małżonki; ona nie zatrzymuje go bynajmniej... wie że Francya pierwsze ma nad nią praw!

Obrazki to wysoko artystyczne, piękne w prostocie swojej, a co więcej ożywione prawdziwie wyższą myślą.

W jednym z ostatnich buletynów Towarzystwa geograficznego, znajdujemy rozprawę o Hercegowinie, p. de Sainte Marie, pierwszego dragomana konsulatu francuzkiego w Tunis. Jest to ustęp z dzieła, które ukaże się wkrótce na widok publiczny, wraz z mapą wykonaną przez autora. W ustępie tym mamy dokładny zarys tego kraju, obejmującego 230,000 ludności, w trzeciej części zmuzumałnionej. „Różnica religii - mówi autor - zaszczerpiła od wieków wzajemną nienawiść pomiędzy mieszkańcami. Sturczony Hercegowińczyk nienawidzi brata po krwi, giaura, prześladowa go na każdym kroku. Co zaś do rządu, ten zasługuje na najwyższą pochwałę. Swoboda wyznania panuje tu zupełna, liczba cerkwi i kościołów katolickich zwiększa się z każdym rokiem, dzwony brzmią, procesye przebiegają wsie i miasteczka.

Równa swoboda pod względem języka. Turecki jest tu urzędowym, ale używają go tylko naczelne władze, albo cudzoziemcy osiedleni w kraju. Lud miejscowy mówi po serbsku, karmi się rodzimą poezją; lubi szczególniej pieśni opiewające przygody prawdziwych lub zmyślonych bohaterów: cara Lazara, królewicza Marko, Luka Wukalicza. Ślepe dziady wędrowne, przygrywając na guzli, powtarzają do tysiąca wierszy na raz: lud słucha ich z uniesieniem. Między innemi do tysiąca sławny „Osman” Gundulicza. Pieśni Słowian według wyrażenia

nia poety, przebiegają istne gołębie od jednego do drugiego plemienia. Nie wątpimy że i pieśni bułgarskie przechowane wśród skał Rodopu należą do tych wędrownych ptaków; autor nie wspomina o nich w swojej krótkiej rozprawie. Niepodobna aby te pieśni nie zabiegły do Hercegowiny, skoro w góry bułgarskie przybłąkała się nie jedna pieśń o królu Lazarze, tym ulubionym bohaterze Serbów.

Przed miesiącem grono artystów obchodziło uroczyste w Paryżu, urodziny najstarszego z malarzy nietylko francuzkich, ale pewnie świata całego. Mówimy tu o hrabi Waldeck, urodzonym w 1766 roku. Ten nestor malarzy umarł w tych dniach, zacząwszy sto dziesiąty rok życia. Do ostatniej chwili zachował wszystkie władze umysłowe. Skonał bez choroby z wyczerpania sił, w skutek późnej starości.

Hrabi Waldeck rodem z Pragi czeskiej, zamieszkał od młodu we Francji, którą uważał za własną ojczyznę. Biegły artysta, należał on niemniej do najsłynniejszych podróżników zeszłego wieku. W roku 1775 popłynął do przylądka Dobrej Nadziei i zwiedził Afrykę południową. Za powrotem do Paryża oddał się z zapałem malarstwu: pracował pod kierunkiem Dawida i Proudhona. W roku 1794 wszedł do armii francuzkiej, odbył kampanię egipską. Po kapitulacji umyślił zwiedzić poraz drugi Afrykę, w towarzystwie czterech Francuzów. Towarzysze jego nie mogąc znieść trudnej przeprawy przez pustynię Dongola, pomarli wszyscy w drodze. Waldeck pozostawszy sam, przedarł się do osad portugalskich, z kąd morzem powrócił do Francji.

Wkrótce potem przedsięwziął nową podróż: zwiedził kopalnie srebrne w Meksyku. W tej podróży odkrył w starym monasterze egzemplarz ilustracji rysowanych przez Juliusza Romana, sławnego ucznia Rafaela, sztychowany rylcem Marka Antonina; drogocenny to zabytek sztuki XVI-go wieku, jedyny jaki pozostał w świecie, z zatraconej publikacji.

Waldeck słynął głównie jako restaurator starych rycin; nikt mu w tym względzie nie dorównał. Ostatni raz wystąpił na wystawie roku 1869, mając lat 103. Dwa jego obrazy przedstawiały zabytki archeologii meksykańskiej.

Włochy, które tak świetnie obchodziły w roku zeszłym jubileusz Petrarcki, przysposabiają w tym roku we Florencji niemniej świetną uroczystość na czterechsetletnią pamiątkę urodzin Michała Anioła. Urządzoną tam będzie zarazem wystawa nieśmiertelnych jego arcydzieł, rozrzuconych po świecie. Z polecenia prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej, odlewy wszystkich rzeźb mistrza, któreni chlubią się tak publiczne jak i prywatne zbiory we Francji, wysłane będą niezwłocznie do Włoch. Pan Barbé de Jouy, konserwator średniowiecznych zabytków w Luwrze, przedstawiać ma Francją na tym jubileuszu.

Innego rodzaju uroczystości przysposabiają na rok przyszły Stany Zjednoczone Ameryki. Nie idzie tu już o uczczenie wielkiej osobi-

stości, rzucającej blask na kraj który ją wydał; Ameryka ma uczcić zbiorowe dzieło geniuszu narodowego, kwitnące pełnem życiem: obchodzić ma stoletni jubileusz samodzielnego bytu. Uroczystość jak wiadomo, przypada na rok przyszły.

Z tego powodu p. Michaelis urządził w Paryżu konkurs literacki i dramatyczny. Rozesłał odezwy do wszystkich znanych autorów, zakładając program i warunki tego konkursu.

Dwa sądy przysięgłych rozpatrzą i ocenią utwory konkursowe. Pierwszy sąd złożony będzie z najznakomitszych krytyków francuzkich, angielskich i amerykańskich. Imiona ich dotąd nie ogłoszone.

Drugi sąd pod honorową prezydencją Wiktora Hugo składać się będzie z samych literatów francuzkich. Mianowani sędziami: Emil Augier, Oktaw Feuillet, Ernest Lógouvé, członkowie akademii i Emil Perin administrator teatru francuzkiego. Z pomiędzy pięciu wskazanych przez pierwszy sąd dramatów, drugi sąd wybierze trzy, najwłaściwsze do przedstawienia na scenie.

Plan sztuki nakreślony szczegółowo z całą ścisłością. Zdaje nam się jakby organizatorowie kongresu zapomnieli, że celem ich uczcić pamiętkę niepodległości, zbyt twarde bowiem jarzmo narzucają na kark autorom! Zobaczmy bliżej program:

„Każda sztuka konkursowa powinna intrygą i przedmiotem odnosić się do jakiegoś ustępu z wojny o niepodległość amerykańską. Napisana ma być prozą, złożona z pięciu, a co najmniej z czterech aktów.

Treść jej będzie przedewszystkiém moralna. Wprowadzone w grę namiętności muszą mieć charakter szlachetny. Rola głównej bohaterki ma być szczególnie wzniosła i sympatyczna, równie jak rola głównego bohatera sztuki. Typ komiczny potrzebny także dla ożywienia rzeczy.

Wielkie postacie Lafayette'a i Washingtona, przesuną się tylko zdaleka przez scenę, aby dać pobudkę do gorących oklasków. Ponieważ te sztuki mają być grane na wszystkich niemal scenach świata, niepodobna znaleźć w każdym kraju aktorów, którzyby w godny sposób przedstawiać mogli te dwie osobistości historyczne, tak powszechnie znane i tak wysokiego znaczenia.

Wypada nakoniec zwrócić uwagę, na rzecz nadzwyczaj ważną. Wiadomo że przyjacielskie stosunki istnieją dziś pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi. Dwa te ludy szanują się i pojmują wzajemnie. Trzeba zatem w przedmiocie, który z natury swojej musi przypominać koniecznie przeszłość, trzeba powtarzamy unikać wszelkiego rozdrażnienia uczuć narodowych.”

Otóż ostatni ten warunek zdaje nam się zupełnie niepodobnym. Gdzie będzie prawda historyczna? gdzie dramat? jeżeli konwencyonalne względy nakazują stłumić uczucia, które sto lat temu, zapalały tak gwałtownie serca i umysły zapaśników? Anglia sama jeśli miłuje sztukę, powinna zaprotestować przeciw takićj nieloiczności.

W końcu programu wyliczone nagrody konkursowe. Autor dramatu uznanego za najlepszy otrzyma sumę 5000 franków, nadto pię-

kny odlew z brązu wartości 4000 franków, złoty medal, a na koniec trzecią część dochodu z rozprzedaży książki, wydanej z wytwornym przepychem. Drugi numer nagrodzony będzie srebrnym, trzeci brązowym medalem. Czwarty i piąty zaszczycone będą wzmianką honorową.

Termin sądu jeszcze nie oznaczony.

Księgarnia Hachette wydała pierwszy zeszyt *Geografii Powszechnej*, opracowanej przez znakomitego geografę Elizeusza Reclus. Olbrzymia ta publikacja składać się będzie z pięciuset zeszytów w ósemce. Całość utworzy od dziesięciu do dwunastu tomów, ozdobionych dwoma tysiącami map i drzeworytami. Dla ułatwienia kupna dzieło wychodzić będzie częściowo, w tygodniowych zeszytach po 50 centimów.

Nie pierwsza to praca geograficzna p. Reclus. Dawniejsze jego dzieło p. t. *Ziemia*, miało już trzy wydania. Tłumaczono je na język angielski i niemiecki.

## PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgnowaniu ciała ludzkiego*, przez Dr. St. Jerzykowskiego członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Warszawa, nakład Czerwińskiego i Sp. str. 254 in 8-vo, z 20 drzeworytami w tekście.

Dziełko niniejsze ma na celu obznajmienie publiczności z zasadami higieny. Zbytecznym byłoby dzisiaj dowodzić, o ile znajomość higieny potrzebną jest każdemu człowiekowi, i każdej społeczności, zdążającej do normalnego fizycznego i psychicznego rozwoju; zbytecznym byłoby wykazywać korzyści jakie z zachowania zdrowia, bądź indywidualnego, bądź plemiennego dla rozwoju ekonomicznego i bogactwa krajowego wypływają. Historia, medycyna, filozofia, a w najnowszych czasach statystyka, stanowczo tę kwestyą rozwiązały.

Już w głębokiej starożytności, pierwsze podstawy higieny znajdujemy w zakonach Budhy, Konfucjusza, Mojżesza, Machometa, oraz u prawodawców greckich i rzymskich; tak że higienę policzyć śmiało możemy do najpierwszych nauk, ujętych w prawa pisane. Wobec dzisiejszej obojętności dla tej nauki, dziwić się nam należy, że ją obok troskliwość prawodawców starożytnych względem higieny, że ją obok religii wspólnie wykładano. Przyczyny tego zdaniem naszym szukać należy w zaniedbaniu i lekceważeniu przyrodzonych warunków rozwoju, a bardziej jeszcze w opacznym ich tłumaczeniu. Ówczesni myśli-



ciele i prawodawcy postrzegali niejednokrotnie okropne skutki z zaniedbania przepisów higienicznych pochodzące; pojmując jasno, że tylko w zdrowym ciele pracuje zdrowa dusza, ze smutkiem przewidywali upadek tak fizyczny, jak i moralny całego plemienia. Chcąc złemu zaradzić ułożono przepisy najdrobniejszych szczegółów życia; przepisy te wszakże najczęściej pozostawały martwą literą, gdyż nałogi natury ludzkiej silniejszymi są nad wszelkie pisane prawa. To niewątpliwie dało powód Pliniuszowi powiedzieć iż „pomiędzy wszystkimi zwierzętami, jeden człowiek zaniedbuje higienę!” Na pochwałę naszej komisji edukacyjnej, przypomniéć należy, iż przed 100 laty jeszcze wydała rozkaz: „aby po wszystkich szkołach narodowych wykładano popularną higienę.” Komisya edukacyjna nie miała czasu wprowadzić w życie ową ustawę i dotąd higiena napróżno walczy o prawo obywatelstwa w rzędzie przedmiotów wykładowych w szkołach ludowych, średnich i wyższych. Dziwnym wypadkiem, nauka ta, będąca podstawą moralności i medycyny, której znajomość tak konieczna dla każdego indywiduum, nie znalazła dotychczas uznania w ustawach wychowania publicznego.

Owoż, chcąc w części temu zadość uczynić, Dr. Jerzykowski z Poznania wydał niniejsze dziełko, dla publiczności nielekarskiej, celem wyjaśnienia najgłówniejszych warunków pielęgnowania i utrzymania ciała ludzkiego. „Mając głównie to na celu, powiada autor, żeby podać przepisy higieniczne i dyetetyczne, tudzież sposoby ratowania chorych w przypadkach nagłych, niecierpiących zwłoki, pominąłem wszystko coby po przeczytaniu tego dziełka mogło w czytelniku wzbudzić ochotę lub pokusę do usuwania słabości z powstałych już chorób; żeby ono mogło nasunąć nieszczęśliwą myśl, że jest lekarzem, że zna środki różne przeciwko chorobom, że leczyć potrafi.”

W części pierwszej autor traktuje o budowie ciała ludzkiego. Traktat ten rozpoczyna od wykazania różnic, w zewnętrznój postaci różnych plemion ludzkich zachodzących. Trzymając się wiernie podziału przez Blumenbacha, w wieku XVIII podanego, przytacza drzeworyty typowe pięciu głównych plemion. Strona artystyczna owych drzeworytów nieszczęśliwie została wykonaną. Nie wiemy czy w tym razie szło autorowi o wierne odwzorowanie sztuki graficznój z czasów tegóż Blumenbacha, czy téż przez nieudolne wykonanie tychże drzeworytów, podobizny pozostawiają wiele do życzenia, a nadto grzeszą przeciwko ścisłości naukowej. Główny przedstawiciel plemienia kaukazkiego wygląda jakoby miał uwłosienie krótkie, co zbliża go do włósienia wełnistego murzynów, opatrzony sutemi wąsami, a natomiast pozbawiony głównej plemiennój cechy i ozdoby, zarostu brody. Widocznie chciał autor przedstawić osobnika cywilizowanego z epoki golenia brody; jedną wszakże wątpliwość nasuwa dla nas ów rysunek, wydaje się bowiem, jakoby prawa brew w plemieniu naszym przedłuża się haczykowato do końca nosa. Wreszcie modnie wycięta koszula

i tużurek uzupełniają raczej obraz trefnisia niż istotnego przedstawiciela plemienia kaukazkiego. Pomijając tę stronę artystyczną podanych drzeworytów, musimy zwrócić uwagę szanownego autora, na pewne niejasności w samém określeniu cech plemiennych. Ścisłość wszędzie nie jest rzeczą zbyteczną, w popularno-naukowym zaś wykładzie jest nieodwołalnie wymagalną. I tak: autor opisując plemię kaukazkie odróżnia je od innych, jako mające „przedewszystkiem wielką, okrągławo-proporcjonalną czaszkę” (stron. 4). Co to ma znaczyć wielką czaszkę? Miałby autor na myśli porównywać nas z mikrocefalami? inaczej zrozumieć tego określenia nie możemy; gdy bowiem średnia objętość czaszki u Europejczyka wynosi podług wymiarów D-ra Dawis 1367 granów, zbliżonego do nas Mongola 1304, Oceanijczyka 1319, Amerykanina 1308, Afrykanina 1293, Australczyka 1214. Różnice jak widzimy nie są zbyt rażące aby upoważniały autora do podobnego określenia. Jeśli przyjmiemy objętość czaszki Australczyka za 100, objętość czaszki Murzyna wynosi sto jednaście i sześćdziesiąt setnych, Chińczyka sto piętnaście, Teutonów sto dwadzieścia cztery i ośm dziesiątych. Następnie autor, czaszki plemienia kaukazkiego określa jako *okrągławo-proporcjonalne*. W określeniu tém tkwi już nie niejasność, ale poprostu błąd naukowy. Czaszki bowiem Europejczyków nie są okrągławe, za jakie je autor mieć chce, lecz owalne; za takie przyjmują je dziś wszyscy antropologowie, poczynając od Blumenbacha, a mianowicie: Cuvier, J. St. Hillaire, Lyell, Vogt, Burmeister, Leby, Haeckel i wielu innych. Okrągło-głowe zaś czaszki należą do plemienia mongolskiego.

Niemniej grzeszy autor niejasnym wyrażeniem: *twarzą cofniętą w tył!* chyba tu autor miał na myśli szczęki?

Mówiąc o włosach wypadało autorowi coś więcej powiedzieć nad to co orzekł: „włosy są długie i miękkie, przechodzące stopniowo od *rażącej* białości, aż do czarnych kruczych, z różnym cieniowaniem.” Czynimy tę uwagę, ponieważ nowsi antropologowie wielkie znaczenie różnicom owłosienia przypisują. Na tej podstawie Haeckel dokonał podziału rodu ludzkiego na dwanaście oddzielnych rass, pomiędzy którymi rassa biała za swe szczególne owłosienie, wyjątkowe miejsce zajmuje. Badania bowiem drobnowidzowe, włosów różnych plemion, wykazały że u jednych z nich włos jest spłaszczonym nakształ wstęgi, a w przecięciu poprzecznym przedstawia się owalnym; plemiona mające podobne owłosienie, Haeckel obejmuje mianem wełnisto-włosych (Homines Ulotriches), w odróżnieniu od innych, których mieni nazwą gładkowłosych (Homines Lissotriches), u których owłosienie nigdy nie jest wełnistém. Włosy tych plemion są wałeczkwate a nie wstęgowate, w przecięciu przedstawiają się okrągłemi, a nie owalnemi.

W dalszym ciągu nie możemy się zgodzić z autorem względem podanej cyfry plemienia kaukazkiego, obliczonej w ilości trzystu dziewięćdziesięciu milionów, wówczas gdy plemię mongolskie na pięćset pięćdziesiąt dwa miliony oblicza. Ścisłe obliczenie z ostatnich lat dla

obu tych plemion cyfrą jednostajną pięćset pięćdziesięciu dwóch milionów podają.

Mówiąc o zamieszkaniu rasy białej, autor pominął Amerykę, gdzie wszakże obecnie daleko więcej plemienia kaukazkiego niżli tu-byłców zamieszkuje, jak to sam gdzieindziej stwierdza.

Rozdział drugi traktuje o różnicy między człowiekiem a zwierzętami. Różnice te określa autor stanowczo, ale przez zbytnią troskliwość określenia jego stają się niejasnemi; i tak, na czele tych różnic w samej budowie zachodzących, stawia autor:

I-o Że na dwóch *tylko* silnie zbudowanych nogach w postaci prostopadłej (zapewne pionowej) do ziemi, może czynności swe odbywać. Wiemy wszakże z doświadczenia, że i inne także zwierzęta jak ptaki i małpy na dwóch tylko nogach czynności swe odbywają; że wreszcie, są pewne czynności ludzkie, które postawy pionowej wcale nie wymagają. Widocznie szło autorowi w tym razie, że człowiek jeden zachowuje pionową postać w chodzeniu i staniu, lecz nie objaśnił przytém, że to jest własność budowy ludzkiej, skutkiem odmiennego nieco połączenia czaszki z kręgosłupem, i miednicy z kośćmi udowemi.

W dalszym ciągu różnic autor mówi: II-o że w całym ciele ludzkim a szczególnie w budowie głowy, zachodzi pomiędzy pojedynczemi częściami jak *najpiękniejszy* stosunek. To już rzecz gustu. Dla nas harmonia ta pomiędzy pojedynczemi częściami znajduje się zarówno w głowie gołębia, psa lub konia arabskiego, jak w głowie człowieka; „gdyby, woła starożytny filozof Xenofanes, woły i lwy miały ręce do wykonania statui, zwierzęta te wzniosłyby bogów na wzór siebie.”

Następnie pomiędzy cechami wyróżniającemi człowieka od zwierząt, autor zalicza: „że *posiada ramiona* po obu stronach tułowia leżące i od dolnej części szyi aż do uda opadające, że przy tém ramieniu wykonywającem najrozmaitsze ruchy, *znajduje się ręka*, której w skutek *nadzwyczajnej ruchliwości wielkiego palca*, winniśmy naszą zrzeczność nad sztukach i wyższość nad wszystkiemi zwierzętami.” Gdy to co autor tu wypowiada ma wyróżniać człowieka od zwierząt, mielibyśmy prawo spytać: czy małpy również nie są obdarzone ramionami do uda opadającemi? Gdyby przynajmniej autor zechciał ściśle określić, że ręce ludzkie nie sięgają tak daleko jak to ma miejsce u małp, u których aż do stawu stopowego dochodzą; wówczas miałyby najzupełniejszą rację, bez tego omówienia zarzut ten traci całkowitą wartość.

Niemniej nic wyróżniającego nie spostrzegamy w tém co autor ruchliwości wielkiego palca przypisuje. Nie możemy się zgodzić, abyśmy *ruchliwości li palca wielkiego reki ludzkiej*, zawdzięczali całą naszą wyższość i artystyczne uzdolnienie. Zapewne tu autor miał na myśli nie samą ruchliwość dużego palca, ile raczej jego *przeciwstawność* innym palcom. Niewątpliwie jestto wielce pomocnicze narzędzie, ale mechanizm poruszający to narzędzie spoczywa w mózgu i śmiem utrzymywać, że nawet przy mniejszej ruchliwości tego palca nie byłibyśmy jeszcze upośledzeni w sztuce.

Całkiem nie możemy pojąć co autor chciał wyrazić przez to co mówi w 3 rzędzie: „że ciało *nasze* pokryte jest miękką białą skórą, siedliskiem *uczucia*? Wszakże ciało każdej istoty żyjącej pokryte jest skórą, a właściwiej że siedlisko czucia znajduje się w ośrodkach nerwowych, nie zaś, jak autor chce mieć w *skórze*. Przez zbyteczną treściwość, orzeczenie to stało się całkiem niezrozumiałem.

Jako czwartą z kolei różnicę przytacza autor „że posiada mowę bardzo wykształconą.” Toby znaczyło, że zwierzęta posiadają mowę mniej wykształconą; gdy tymczasem sądzimy, iż autorowi idzie w tym razie o to, że człowiek jeden posiada mowę *członkowaną*, zwierzęta zaś mogą tylko porozumiewać się z sobą za pomocą wiadomych im znaków lub wykrzykników. Nareszcie w punkcie piątym jako różnicę autor stawia: „że człowiek zdolny jest żyć we wszystkich klimatach i okolicach kuli ziemskiej.” Na to odpowiemy, że ta zdolność nie jest tak ogólną u wszystkich pięciu plemion jak autor sądzi; wreszcie że są niewątpliwie gatunki zwierząt, jak na przykład pies, które do wszystkich klimatów urabiać się mogą; a w takim razie podług tego określenia nie różniłyby się od ludzi?

W ostatnim szóstym punkcie autor orzeka: „że posiada duszę rozumną, *wolną* (?) i choć z ciałem w jednej osobie połączoną, wszelako i bez ciała mającą istnienie, a zatem nieśmiertelną.” Sprzeczności tu zachodzące jako to: że duszę ma wolną, lecz niemniej z ciałem połączoną, pozostawiamy czytelnikowi do rozwiązania.

Te są różnice podane przez autora wyróżnienia człowieka od zwierząt. Przyznać należy, że przez zbyt lakoniczne i częstokroć niewłaściwe określenia tych różnic, autor niechcący obudzić może wątpliwości w umyśle takiego czytelnika, u którego one nigdy dotąd nie powstały. Zła obrona więcęj zwykle szkodzi sprawie jak żadna.

Z kolei opisuje autor stronę somatyczną człowieka: budowę ciała, szkieletu, mięśni, naczyń krwionośnych, nerwów, mózgu i narządów zmysłów.

Pomijamy dziwną nomenklaturę autora, który nerwy nazywa *czujnikami* (str. 35), szpik kostny *tokiem* (str. 16), goleń zowie *giczelą*, zamiast zapięcia i zastopia używa autor miejscowych wyrażen: *korzeń ręki*, *korzeń stopy*, *korzeń nosa*, piwo angijskie Ale *olejem angielskim*, kwas moczowy *moczanem*, błony *skórką* i wiele tym podobnych określeń dawno wyszłych z użycia. Czytelnik potrzebuje raz wraz sprawdzać datę wyjścia dzieła, aby się przekonać że dzieło to w roku zeszłym wydane.

Nie będę się dłużej zatrzymywał nad stroną techniczną somatologii; wszakże chcę zwrócić uwagę autora na pewne niedokładności a mianowicie: autor podaje ciężar mózgu ludzkiego u mężczyzn od 1300—1400 gramów, u kobiet zaś w przecięciu od 1100—1200 gram.; podług tego różnica mózgowa dla obu płci wynosiłaby 200 gram., gdy w istocie tak wielkiej różnicy nie ma. Biorąc przeciętnie ciężar mózgu ludzkiego w plemieniu białem u Teutonów wynosi 1262 gr. dla

kobięty i 1410,36 gr. dla mężczyzny, mózg zaś kobiety ma się do męskiego jak 100—111,7. U Europejczyków gdzie stosunek ten jest najniekorzystniejszy dla kobiety, nie przechodzi wszakże 148 gramów, u innych plemion różnice mózgowe stopniowo maleją, tak że u Amerykanów przewyżka mózgu męskiego nie przechodzi 120 gram. u Azjatów 110, u Australijczyków 103, u Afrykanów 82 gr. W plemienu kaukaskim, ostateczna granica wagi mózgu zdolnego do funkcji i myślenia zniża się do 975 gr. dla kobiety i 1133 gr. dla mężczyzny; poniżej tej wagi funkcja myślenia staje się nieprawidłową i indywidualum wówczas pozostaje idyotą <sup>1)</sup>. Nie jest przeto w gruncie rzeczy kobięta tak upośledzona pod względem wagi mózgu jak autor to podaje. Gdy bowiem kobięta posiada mniej mózgu od mężczyzny pod względem wagi absolutnej, stosunkowo do wagi ciała ma go więcej od mężczyzny (jak to stwierdził faktycznie anatom Soemmering <sup>2)</sup>).

Mówiąc o ciężarze mózgu ludzi znakomitych, autor podaje wagę mózgu *Birona*. Bylibyśmy w wielkiej niepewności o jakiego Birona tu chodzi: czy o Karola Birona księcia de Gontant, marszałka z wieku XVI, ścietego na rozkaz Henryka IV; czy Jana Ernesta Birona księcia kurlandzkiego (właściwie Beren czy Bühren), który sobie przybrał herb i nazwisko marszałka Francji; gdyby wypadkiem mózgi tych ludzi były przez kogokolwiek ważone. Dodatek wszakże lorda w jednym miejscu uczyniony wyprowadził nas z błędu, że autor miał na myśli Bajrona (Byrona) poetę angielskiego. Wagi mózgu Bajrona i Cuvier'a autor podaje podług Wagnera 1807 gr., dla pierwszego i 1861 dla drugiego; Bérard zaś, który robił autopsję Cuvier'a utrzymuje tylko 1829,36 gr. Co się tyczy mózgu Bajrona, to Quatrefages i wielu innych 2238 gr. wyznaczają. W tym razie wszakże zachodzi wątpliwość co do sposobu ówczesnego ważenia mózgu; nie mamy pewności czy ważono go wspólnie z błonami mózgowymi lub bez nich.

Pisząc o rdzeniu pacierzowym autor wpada w sprzeczność rządzającą, której sprostowania szukaliśmy napróżno w rzędzie błędów drukarskich. „Ze rdzenia pacierzowego, mówi autor, wychodzą tak zwane nerwy pacierzowe, których liczymy 30 par. Każdy z nich wychodzi dwoma korzeniami, a których *przedni* ma wyłączne przeznaczenie pośredniczenia *czuci*, *tylny* zaś *ruchowi*. To też przeciąwszy korzeń *tylny* (podług autora ruchowy) *tracimy zupełnie czucie* np. w ręce, ale możemy ją poruszać; odwrotnie zaś ma się rzecz po przecięciu korzenia *przedniego* (podług autora czuciowego) w skutek czego *czucie* zatrzymujemy, ale tracimy władzę poruszania ręką.”

Owóż te wywody doświadczalnej fizjologii są rzetelne, ale zasada podziału funkcji tych korzeni nerwowych, podana przez autora najzupełniej fałszywa i sprzeczna z nauką.

<sup>1)</sup> Quatrefages. Les progrès de l'anthropologie 1869 p. 324.

<sup>2)</sup> Traité special d'Hygiene p. Dcray, prof. de Lyon p. 121.

W części pierwszej mówiąc o budowie ciała ludzkiego, autor powiada na str. 60: że *podług obrachunku woda wynosi w człowieku mniej więcej  $\frac{1}{5}$  część ciała całego*,<sup>1)</sup> a w części drugiej opisując własności pokarmów na str 125 mówi: *podług obrachunku składa się ciało nasze z  $\frac{2}{3}$  części wody*, które się dostają do naszego wnętrza, jużto w postaci pokarmów, jużto w postaci napojów.“ Czytelnik nie obeznany z fizyologią będzie się znajdował w trudnym położeniu pomiędzy dwiema sprzecznymi alternatywami do wyboru. W tym razie wszakże, żadna z podanych cyfr nie rozwiązuje kwestyi. Stosunek ten jest wielce zmiennym i rzecz można najzupełniej różnym u każdego indywiduum i w każdym wieku. Wszelako przeciętną liczbę dla wieku dojrzałości przyjmują fizyolodzy jako  $\frac{70}{100}$  <sup>1)</sup> całego ciężaru ciała.

Część druga, gdzie autor traktuje o pokarmach i napojach w ogólności i w szczególności, zajmuje zaledwie 40 stron druku (od 90—131); oczywiście wykład tak obszernego przedmiotu, z istoty swój staje się zbyt treściwym, a przez to nie dość jasnym.

Bardziej lekarskiej treści są przedmioty w trzecim i czwartym rozdziale zawarte: „O pielęgnowaniu ciała ludzkiego, oraz o poradach o czynić należy w nagłych chorobach ciała.“ Tu autor występuje, jużto z ogólnie przyjętymi, jużto z właściwie swemi radami, i w tym razie wykazuje nie tylko należyta biegłość w swój sztuce, lecz nadto sumienność i prostotę ich, będące prawdziwą ozdobą praktycznego lekarza.

Gdyby D-r Jerzykowski zakreślił sobie z góry plan swego dziełka, z pewnością wykonanie jego byłoby inne.

Widocznie autor mając na celu napisanie dziełka o zachowaniu zdrowia, do bardzo szczupłego wykładu higieny i dyetetyki wprowadził dodatkowo wykład antropologii, anatomii i toksykologii i rozszerzając w ten sposób zakres swego dzieła, mimowoli stał się zbyt treściwym i urywkowym, a przez to mniej ścisłym, ile praca tego rodzaju wymaga. Z tego względu książkę dra. Jerzykowskiego nie możemy uważać, jako higienę lub makrobiotykę; jest to swego rodzaju *paradnik* mówiący o wielu przedmiotach, lecz niedość, poruszone w nim kwestye, wyczerpujące.

Dziełko to wyszło w Warszawie nakładem pp. Czarneckiego, Godlewskiego i Spółki. Okoliczność ta daje nam powód do pewnych refleksyi. Wówczas gdy nasi księgarze-wydawcy, niektóre ze swych nakładowych dzieł drukują za granicą, (dla większej taniości papięru) z nie małą szkodą produkcyi krajowej; autorzy z księztwa poznańskiego (dr. Małeck i dr. Jerzykowski) szukają u nas nakładców i wydawców. Czém się to dzieje, że prowincya ta, z kąd pochodzą nasi pierwszorzędni myśliciele tacy jak Kopernik, Heweliusz, Linde, dwaj Śniadeccy, Staszic, Trentowski, Hoene-Wroński, Libelt, i wielu innych; gdzie jeszcze przed laty 20 tak wielki ruch piśmienniczy wrzał, że

<sup>1)</sup> Lewes. *Physiology of comon life* p. 25.

pod brzemieniem myśli polskiej bez przerwy pracowały drukarnie poznańskie, dzisiaj zaledwie ślady życia daje.

Przyczyny tego muszą być bardzo ważne. Widocznie naukowe dzieła polskie nie znajdują dostatecznej liczby czytelników i dlatego rywalizować z niemieckimi nie mogą. Niewątpliwie jestto wpływ germanizmu i trudnej z nim rywalizacji na polu naukowym. Autorzy polacy albo piszą po niemiecku, albo [szukają dla siebie gdzieindziej nakładców. Maż-li w przyszłości ruch naukowy wydawniczy księstwa zacieśnić się do wydawnictwa dzieł treści religijnej, towarzystw naukowych i bibliotek prywatnych kilku ludzi dobrej woli? Statystyka pod tym względem byłaby nader pożądaną i pracą godną Towarzystwa Przyjaciół nauk. Gdyby tak było jak mniemamy, należałoby wyszukać zaradczych środków przeciwko tak zgubnie oddziaływającej germanizacji. Jeśliby można było zaprowadzić w księstwie instytucje na wzór Maticy czeskiej, która dla Czechów tak wielkie korzyści przyniosła, nie wątpimy że wpływ tej instytucji byłby stokroć potężniejszy, niżeli bezowocne walki w parlamencie pruskim z większością niemiecką.

Dr. W. Szyszlo.

*Einleitung in die slavische Literaturgeschichte und Darstellung ihrer älteren Perioden, von Dr. Gregor Krek, Professor der slavischen Philologie und Literatur an der Universität Graz. (Wstęp do historii literatury słowiańskiej i przedstawienie najdawniejszych jej peryodów). Erster Theil. Einleitung in die slavische Literaturgeschichte. Graz. 1874. Verlag von Leuschner u Lubensky, 8-vo str. VIII, — 336.*

Z badań lingwistycznych, które na początku bieżącego stolecia wykryły wzajemne pokrewieństwo języków indoeuropejskiego czyli aryjskiego szczeptu wiadomo, że wśród mnogości narodów, jakie niegdyś wspólną azyatycką opuścili siedzibę, rodzina prastłowiańska stanowiła jedną z najludniejszych odnog owego pierwotnego narodu. Ta wspólność pochodzenia rozproszonych i oddalonych dziś od siebie różnych ludów słowiańskich, jak z jednej strony oparta jest na dowodach lingwistycznych, tak z drugiej znajduje dostateczne potwierdzenie w dziejach bytu politycznego Słowian, a bardziej jeszcze w historii ich starożytniej kultury. Ze znajomość tej przeszłości Słowian politycznej i umysłowej nie tylko pomiędzy narodami obcemi, ale nawet wśród szerszego ogółu każdego z pojedynczych narodów słowiańskich, jest bardzo mało rozpowszechnioną, fakt to nie dający się zaprzeczyć. Wszelkie zatem usiłowania, przysparzające środków pomocniczych i ułatwiających nabycie w tym zakresie wiedzy, nader są pożądane, zwłaszcza téż, gdy, przedsięwzięte z należytą rzeczą znajomością, wykonane zostaną umiejętnie. Przykład podobnej pracy przedstawia nam dzieło D-ra Kreka, profesora uniwersytetu w Gracu, wydane pod tyt. „Wstęp do historii

literatury słowiańskiej." Autor, podejmując wydanie historii literatury Słowian w najdawniejszej epoce ich życia, uznał za właściwe poprzedzić tę pracę wiadomościami z pierwotnych dziejów politycznych, jako też z historii starożytnej kultury Słowian. Systematyczne przedstawienie tych wiadomości stanowi bogatą treść obecnego „Wstępu," czyli pierwszej części dzieła znaczniejszych rozmiarów. Wstęp ten dzieli autor na dwie księgi. W księdze 1-ój zawarł „najgłówniejsze wiadomości o języku, losach i stopniu kultury starożytnych Słowian," poczerpnięte z paleontologii lingwistycznej i z pisarzy starożytnych. Zastosowanie badań lingwistycznych do rozjaśnienia pierwotnej tak zwanéj przedhistorycznej epoki życia ludzkości i rozdzielenia się aryjskiego szczepu na pojedyncze narody, oraz wypadki tego zastosowania, osiągnięte w połowie obecnego stulecia, przedstawia autor w trzech kolejnych rozdziałach 1-ój księgi. W rozdziale 1-ym mówi o Słowianach, jako części nieodłącznej od wspólnéj rodziny Aryjów. Tu spotykamy zajmujące ogólne rysy z życia pierwotnych Aryjów, dotyczące miejsca ich pobytu, języka, kultury, obyczajów, życia rodzinnego, społecznego i umysłowego. W rozdziale 2-im, zatytułowanym „Słowianie po ich odłączeniu się od ogólnego pnia aryjskiego," mówiąc o wydzieleniu się Słowian z pierwotnej rodziny aryjskiej, kreśli autor obraz rozszczepienia się pierwotnych Aryjów na pojedyncze narody. Według téj teorii pierwotny naród rozpadł się na wschodnich i zachodnich Aryjów; ze wschodnich powstały narody irańskie i indyjskie; z zachodnich zaś najprzód grupa słowiańsko-litewsko-niemiecka i grecko-italsko-celtycka, które następnie z biegiem czasu rozdrobniły się na pojedyncze, mniej więcej w historycznej dobie występujące narody europejskie. Autor, uznając ten podział, przyjęty dziś w nauce za najbardziej racjonalny, obznajmia także czytelnika i z innymi, różniącymi się od powyższego poglądami uczonych na ten przedmiot. Między temi przytacza w streszczeniu oryginalną teorią, jaką ogłosił Johannes Schmidt w rozprawie p. t. *Die Verwandtschaftsverhältnisse der indogermanischen Sprachen* (Weimar 1872). Uczony ten na miejsce przyjętego dotychczas językowego szczepu aryjskiego z rozlicznemi jego odnogami, stawia obraz fali, rozszerzającej się spóśrodkowo swe kregi językowe, słabnące coraz bardziej w miarę oddalania się ich od środkowego punktu językowego (str. 27 rozprawy Schm.). Tak że według tego sposobu widzenia, grupa np. słowiańsko-litewska pomiędzy europejskich zostaje w ścisłym pokrewieństwie z niemiecką; z drugiej zaś strony posiada cechy, jakie właściwe są tylko grupie wschodnio-aryjskiej; z czego wynika, że grupa słowiańsko-litewska stanowi ogólnie językowe pośrednie zarówno pomiędzy grupą niemiecką, jak i wschodnio-aryjską.

Podobnie język grecki byłby pośredniemi ogniwem pomiędzy wschodnio-aryjską grupą a italską; italska ogniwem między grecką i celtycką a niemiecką, tak jednak, że sama bliżej przytyka grupy celtyckiej, aniżeli greckiej, i t. d. Wskutek téj hipotezy przyjąćby należało ciągłe, nieprzerwane (continuirliche) przejścia od jednego języka do drugiego



i znieść pierwotne granice pomiędzy językami w obrębie całego szczepu aryjskiego. W takim razie zarówno pierwotny język aryjski (Ursprache), jak i języki główne oddzielnych grup (Grundsprachen) zniknąłby musiały ze świata rzeczywistości i być zaliczonymi do uczonych złudzeń, które służą wprawdzie do ułatwienia badań naukowych, ale uważane realnie, jako indywidualia historyczne, są niczém (J. Schmidt, stronica 31). Professor Krek, nie przesądzając tej hipotezy i trzymając się ustalonych dotąd pojęć naukowych o języku pierwotnym i głównych jego odnogach, rozpatruje dalej „Słowian jako osobny naród” pod względem geograficznym, językowym, umysłowym i społecznym (str. 33—55). W końcu rozdział 3-ci poświęca Słowianom po rozdzieleniu się ich na pojedyncze narody. Autor mówi tu: *a*) o rozszczepieniu się wspólnej prastowiańskiej mowy (Grundsprache) na pojedyncze języki. Przyjmuje więc, że z owego początkowego języka słowiańskiego powstały najprzód 2 gałęzie: północno-wschodnio-południowa i zachodnia. Od téj ostatniej najwcześniej oddzieliła się gałąź połabska, a następnie serbo-łużycka, czeska i polska. Zaś północno-wschodnio-południowa gałąź rozdzieliła się na północno-wschodnią (języki rosyjski i małoruski) i południową. Ta ostatnia z biegiem czasu rozwinęła się, podług autora, najprzód na grupę bułgarsko-słoweńską i serbsko-chorwacką, a następnie na języki: bułgarski, słoweński i serbskie. Z powodów czysto naukowych nie możemy wraz z autorem podzielać mniemania, że rozdzielenie się języków bułgarskiego i słowiańskiego nastąpiło na gruncie słowiańskim (auf slowenischen Boden) i że w skutek tego dzisiejszy język słowiański jest najbliżej spokrewniony z bułgarskim. Pogład taki Miklosicza na utworzenie się języków południowych, w obec istotnych właściwości tych języków, w nauce dziś ostać się nie może. Właściwości fonetyczne języka bułgarskiego (dzisiejszego) każą go łączyć w jedną grupę z językiem starobułgarskim, czyli starosłowiańskim; drugą zaś grupę będą stanowić języki serbskie i język słoweński, będzie to więc grupa serbsko(-chorwacko)-słoweńska. Łączenie zaś przez niektórych uczonych (jak autor wzmiankuje) języka słoweńskiego raczój z rosyjskim, aniżeli z grupą serbsko-chorwacką, uważać należy w najlepszym razie za naukowe przywidzenie.

Z kolei pod *b*) podaje autor wiadomości geograficzno-historyczne o Słowianach, na podstawie świadectw piśmiennych krytycznie je rozpatrując (str. 61—85). I wreszcie pod *c*) kreśli „obraz kultury i obyczajów” starożytnych Słowian, gdzie spotykamy odtworzone na zasadzie świadectw obcych pisarzy ciekawe rysy charakteru Słowian, ich zajęć, życia rodzinnego i społecznego, pojęć religijnych i moralnych; w końcu wiadomości o piśmie starożytnych Słowian (str. 132—137) zamykają księgę 1-szą tego dzieła.

Od czasu jak językoznawstwo na zasadzie wspólności pierwiastków i jednakowej budowy fleksyjnej języków aryjskich wykazało wspólnie narodów aryjskich pochodzenie, zwrócono się z kolei do porównywania ze sobą pierwotnych płodów umysłowych tych narodów, to jest:

wyobrażeń religijnych, podań ludowych, powieści, pieśni i t. p. Usiłowania w tym kierunku stworzyły nową naukę, nazwaną mitologią porównawczą, która już za dni naszych doszła do ważnych naukowych wypadków, rzucających światło na umysłową przeszłość rodziny Aryjów. Autor nasz dla rozpatrzenia rozlicznych tworów umysłowych w obrębie Słowiańszczyzny poświęcił księgę 2-gą swego dzieła, dając jej tytuł: „Ogólne uwagi o tradycyjnej (podaniowej traditionelle) literaturze słowiańskiej i stosunek jej do historii kultury, a zwłaszcza do mitologii (str. 141—146).”

Księga ta rozpada się na dwa działy, ponieważ autor rozważa literaturę podaniową Słowian pod dwojakim względem: formalnym i realnym. Pierwszy dział traktuje „o formalnej stronie literatury podaniowej,” obejmując tą nazwą: 1) język i 2) zwyczaje Słowian, gdzie tłumaczy autor początek i znaczenie wielu nazw i wyrazów słowiańskich, oraz różne przez starożytnych Słowian praktykowane obrzędy. W dziale 2-im zajmuje się autor „realną stroną literatury ludowej.” Wyjaśnienie znaczenia, jakie mają bajki, klechdy, przysłowia i inne utwory ludowe, dla nauki, która w nich doszukuje się pierwotnych pojęć mitologicznych każdego narodu, jest przedmiotem tego działu. Autor rozbiera tu, o ile można, dość zwięzłe następujące rodzaje literatury ludowej: 1) bajki i powieści ludowe czyli klechdy, 2) przysłowia, zabobony, zaklęcia i zagadki, i 3) pieśni ludowe. Dla pieśni poświęca autor stosunkowo mniej miejsca, aniżeli innym częściom literatury ludowej, gdyż w przyszłości ma zająć się nie tylko mityczną epiką ludową, ale przeważnie poezją narodową słowiańską.

Z przeglądu treści tego dzieła widzimy, jak różnorodny i bogaty zawiera ono w sobie materiał naukowy. W przedstawieniu tego materiału i krytycznych zdań wywodach autora, obok uwzględnienia całej biblijografii traktowanego przedmiotu, przebija wszędzie metodyczne, ściśle naukowe badanie, które jednak nie przeszkadzało autorowi wyłożyć tak obfitę treść w sposób jasny i możliwie przystępny nawet dla szerszego koła czytelników. W skutek czego dzieło to jest zarówno pożyteczną pomocą przy studiach nad filologią słowiańską, jako też stanowi podręcznik jedyny w swoim rodzaju dla każdego, kto bez samodzielnego studyowania źródeł pragnie się bliżej zapoznać z przeszłością całej rodziny ludów słowiańskich. W każdym przeto razie książka profesora Kreka jest ważnym i cennym w literaturze filologii słowiańskiej nabytkiem.

*Ad. Ant. Kryński.*

*Dawne ustawy miasta Kalisza, wydał Adam Chodyński.*

Kalisz, 1875.

Wiadomo powszechnie, że w drugiej połowie ubiegłego stulecia, kiedy kraj widocznie chylił się do upadku, inteligentniejsza część narodu, zapobiegając grożącej ruinie, zaczęła poruszać myśl zreformowania kraju, i w znacznej części przeprowadziła różne ulepszenia w administracji, ekonomice krajowej i innych stronach życia narodowego.

Rząd przychylając się do jęj opinii, sam czynny brał udział w sprawie zreorganizowania społeczeństwa i tym końcem tworzył i wyznaczał różne instytucye, których zadaniem było: zbadać wadliwości urzędzeń, usunąć je, poprawić stosownie do potrzeb czasu i zdrowej polityki. Jedną z takich instytucyi była tak zwana komisya dobrego porządku, ustanowiona w r. 1778, na którą włożono obowiązek zbadania przywilejów miejskich, administracyi miast, ich dochodów i rozchodów, porządku stanu sanitarnego i t. p. Słowem komisya dobrego porządku miała się zająć zreorganizowaniem miast w celu podniesienia ich dobrobytu.

Działalność obywatelską tęj komisyi poznać możemy w części z tego, co ona zrobiła dla miasta Kalisza, gdyż jęj postanowienia i uchwały, wydawane w przeciągu lat ośmiu, wyszły świeżo z pod prasy, dzięki staraniom p. Chodyńskiego, który z archiwum kaliskiego wypisywał jak nateraz wszystkie te rozporządzenia, które dotyczyły administracyi miasta. Stanowią one ważny przyczynek do dziejów wewnętrznych naszego kraju w XVIII wieku i jako takie zasługują na bliższą uwagę historyka, bo rzucają pewne światło na charakter ówczesnych reform w kraju a co ważniejsza, podają nam wiele ciekawych szczegółów dotyczących stanu miast polskich z ostatnich lat istnienia Rzeczypospolitej. Z uchwał administracyjnych komisyi dobrego porządku dowiadujemy się o istnieniu, braku, lub wadliwości różnych instytucyi miejskich, o stanie zabudowań Kalisza, porządku i czystości miasta, o niedołęztwie czy niedbalstwie miejscowego magistratu, na co komisya kilkakrotnie się uskarża i szuka środków zaradzenia złemu. Wznawia dożywotni magistrat, reformuje go, kreśli obowiązki urzędników miejskich, wyznacza im pensyę, zaleca środki do spłacenia długów ciężających na mieście. W dalszym ciągu wydaje przepisy dotyczące moralności publicznej, doradza rodzicom aby dzieci swe po ukończeniu szkół kształcili w umiejętności prawa kupieckiego lub uczyli jakiego rzemiosła; wyznacza etat na utrzymywanie dwóch uczniów medycyny w akademii krakowskiej, zakazuje próznowania w święta zniesione, a ku powiększeniu ludności miejskiej jak najsurowiej zaleca sz. magistratowi, aby każdemu przyjąć miejskie prawa i tu (w Kaliszu) osiąść żądajacemu, bez żadnej opłaty i wymuszonych częstacyi tęj ławności nie odmawiał. Zachęca dalej mieszczan do zakładania fabryk, obiecując uwolnienie od wszelkich podatków na lat sześć; przyprowadza do porządku zarząd nad dobrami miejskiemi, a jeszcze dalej wydaje przepisy dotyczące dobrego utrzymania dróg i mostków, czyszczenia ulic miejskich, sprzedaży wiktuałów; nakazuje zaprowadzenie więkšej ostrożności w obchodzeniu się z ogniem, organizuje coś nakształt straży ogniowej, ustanawia kasę ogniową, poleca utrzymanie kosztem miasta akuszerki, której wcale nie zastaje w Kaliszu i wiele innych szczegółów, których tutaj wyczerpać niepodobna.

Widzimy jak obfity zawiera się w tęj książce materiał dziejowy do historyi miast polskich w XVIII wieku. Zwiększy się on znacznie, jeżeli p. Chodyński dotrzyma obietnicy uczynionęj w przedmowie

i w dalszym ciągu ogłosi drukiem inne wypisy z archiwum miasta Kalisza, dotyczące rzemiosł, przemysłu i handlu.

Ed. Grab.....

*Projekt Encyklopedyi Starożytności Polskich J. I. Kraszewskiego, przyjęty przez Komisyję Archeologiczną akademii Umiejętności w Krakowie. (Kraków. w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1875, w 8-vo str. 39).*

„Czujemy to wszyscy, że żyjemy w epoce przejścia i przełomu, gdy prąd nowych idei rozrywa nici wiążące nas z przeszłością, zagrzebuje tradycję, ściera pamiątki; jesteśmy też, sądzę, wszyscy tego przekonania, iż prawdziwy a zdrowy postęp i pochod ku nowemu życiu, tylko na podstawach starego może się rozwijać zgodnie z naturą ducha narodowego. Spuścizna przeszłości, praca wieków dziesięciu, nie może i nie powinna spełznąć marnie. Do nas, cośmy jeszcze żywój przeszłości z ust ojców zaczerpnęli, należy szczątki jej przekazać następcom.”

Temi słowy rozpoczyna niespracowany J. I. Kraszewski swój projekt Encyklopedyi Starożytności polskich, gdy wezwany został przez prof. Łepkowskiego do współpracownictwa, dla wydania „Słownika,” pomienionych starożytności.

Kto badał uważnie w ciągu tylu wieków, przełomy w życiu społeczności naszej, ten tém bardziej zapragnie poznać bliżej, jak się jój oblicze zmieniało do niepoznania, ile ujemnych stron przybywało, ile zostało ze złotego pasma przeszłości, co było najgłówniejszą cechą charakteru narodowego. Pierwszy przełom widzimy w XVI stuleciu, gdy zbytek i wystawność zajmuje miejsce dawniej skromności i prostoty; drugi wydatnieje ze zgonem Zygmunta Augusta, i wprowadzeniem *elekcyi*; trzeci przybiera nowe cechy za pierwszego *Wazy*, a smutnie kończy się z Sasami. Panowanie Stanisława Augusta zadaje najcięższe ciosy narodowości, rozpowszechnia zepsucie obyczajów, zaszczerpia cudzoziemczyznę, czego dotąd wyraźne mamy ślady. Z końcem XVIII wieku po upadku Rzeczypospolitej, powstaje nowa społeczność i widzimy przepaść dzielącą ojców z synami w pojęciach, myślach, ubiorze i przy domowém ognisku; wiek XIX, szczególniej pierwsze lat trzydzieści zachowuje wiele stron ujemnych, ale odzyskuje i wiele dodatnich: nowa generacya, dążąc za postępem, nie zrywa z tradycją przodków, i podnosi do najwyższych wyżyn życie duchowe. Od owój doby upływa blisko pół wieku, ale i ten okres może być słusznie do słownika archeologicznego wcielony, taką bowiem nową przepaścią oddzieliliśmy się od owych czasów.

Życie duchowe społeczności polskiej nie zawsze szło na równi z rozwojem dziejów, widzimy nawet że w najświetniejszej epoce potęgi siły państwa, pleśń je zepsucia coraz więcej osiadała.

Nie tu miejsce wykazywać te zmiany: stanowić one mogą oddzielną a wielką księgę, dość tu nam tylko o nich namienić.

Zachodzi pytanie czy to ma być tylko słownik archeologiczny, czyli też „Encyklopedia Starożytności polskich,” albowiem obadwa te tytuły jeden za drugim znajdujemy wydrukowane. Wielka przecież tu różnica zachodzi.

Słownik na pojedyncze wyrazy rozstrzelony całości żadnej nieda, gdy je Encyklopedia skupiać może, i dokładny podać obraz każdego przedmiotu. Sądziłibyśmy, że myśl ostatniej utrzymać należy, lubo i formę słownikową zatrzymać można. Rozjaśnijmy to bliżej.

Łukasz Gołębiowski w czterech swoich tomach *Lud polski, Ubiorry, Domy i Dwory, Gry i zabawy*, pierwszy zaczął zgromadzać rozstrzelone wiadomości po rozmaitych dziełach, rękopismach, pismach peryodycznych, wreszcie i z żywej jeszcze tradycji, dotyczące starożytności polskich. Jakkolwiek nie są one zupełne, ani krytycznie obrobione, zawsze stanowią zasób bogaty. Badacz ten trzymał się porządku słownikowego, rzadko gdzie mógł przez to całość przedmiotu ogarnąć. Cały tom o ubiorach, podaje nam opisy szczegółowych części stroju i objaśnia znaczenie wyszłych zużycia wyrazów; ale czyż to może dać dostateczne wyobrażenie, jak się ubierano w pewnym okresie i jak się zbytek w strojach rozwielał, który gubił pojedyncze rodziny i w nędzy pogrążał.

Jędrzej Moraczewski w dziele *Starożytności polskie*: (Poznań: dwa tomy.) mniej rozprawom swoim dawał charakter słownika, bo każdy przedmiot starał się wyczerpywać; ale siły pomocnicze były za słabe, i publikacya ta w zakroju pierwotnym wiele obiecująca, wyszła tylko jako próbka starożytności.

Liczne są przedmioty które się łatwo skupiać dadzą, do wyczerpującego obrazu. Tak *mieszkaniamu*, w jednej rozprawie zacząwszy od chaty wieśniaka do dworu ziemianina, pałaców i zamków przez ciąg wieków, bez przerwy rzeczy, należałoby podać szczegółowe opisy: tak jak ubiory, siłę zbrojną i pospolite ruszenie. Pod wyrazem *szlachta* dzieje jej rozwinać, pod *niewiastą* jej stanowisko społeczne, prawne i moralne w przebiegu wieków. Takie skupianie przedmiotów da dopiero pouczającą księgę, w której, jak w zwierciadle odbije się przeszłość dziesięciowiekowa. Znaleźć się powinny, i nietknięte dotąd piórem żadnego badacza monografie arystokracji polskiej, czyli *panosów*, jak mówiono w XVI i XVII stuleciu.

Przykład podobnego skupiania przedmiotów godny naśladowania, daje nam *Encyklopedia Rolnicza* <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Wejśćby musiały do tego dzieła obszerne rozprawy o łowiectwie czyli *myślistwo*: leśne bartnictwo które w naszych czasach znika do szczytu, a każde ma oddzielny język, nad którym lud przez długie wieki pracował, godny przechowania, bo tylko w całości terminologia flisów i orylów w żywym słowie na całej przestrzeni rzek, utrzymała się w pierwotnej nieskazitelności. Ująć

Praca to wielka, mozolna, ale godna akademii umiejętności, która tak piękną i użyteczną myśl okrywa skrzydłem swój dostojnej opieki. Niebraknie bogatych potemu materyałów, oprócz bowiem skarbnicy w zabytkach dawnych od XVI do XVIII stulecia przechowanych, w naszym stuleciu mamy je w pracach, zaczawszy od J. S. Bandtkiego, Surowieckiego i Ambrożego Grabowskiego, aż do najmłodszego z badaczy Zygmunta Głogiera. Nie mogą być tu pominięte *Wzory sztuki średniowiecznej* Aleksandra Przewdzieckiego i Edwarda Rastawieckiego, jak *Albumy* Karola Beyera z dwóch wystaw starożytności w Warszawie i Krakowie, wraz z „Encyklopedyą Powszechną“ S. Orgelbranda w 28 tomach. Następcza nam się i drugie pytanie, czy na odpowiednią rozwinęta skalę Encyklopedia Starożytności polskich, może się obejść bez ilustracji? Są rzeczy które bez objaśniającego rysunku należycie zrozumiane być nie mogą, jak w budowlach, ubiorach, sprzętach, zbroi i w. i. Możeby należało pomyśleć o przygotowaniu mapy archeologicznej, z oznaczeniem dotychczas znanych wykopalisk, gdy i sam *projekt* obejmuje pomniki przedhistoryczne, zaczawszy od epoki kamienną.

Wstęp obszerny jakim poprzedza J. I. Kraszewski swój *projekt*, wymownie dowodzi, że ten przedmiot zna dokładnie i do głębi go zbadał. Nic tu nie opuszczono coby należało w ramach tak olbrzymiego dzieła pomieścić, a obejmując całość sam wyznaje autor, że go „prze-strach ogarniał i zwątpienie“ spotykając w tym ogromie trudności w podziale systematycznym tyłu przedmiotów. Pomimo to w rozdziałach podanych już pewien systemat widzimy, (lubo ich liczbę znacznie powiększyćby należało) i ten skłania nas do podania myśli, ażeby jedynie trzymać się pierwszego pomysłu, *Encyklopedyi starożytności polskich*, a stanowczo usunąć „Słownik archeologiczny,“ który wsiąknąć w nią powinien.

Trafną tu znajdujemy uwagę, że lubo w tém dziele, żądać pełnego opisu kraju w różnych epokach niepodobna, nie będzie można pominać milczeniem wzmianki o miejscach, w których się pomniki i zabytki sztuki lub pamiątki historyczne znajdują.

My z naszej strony dodamy, że gdy lud zając musi niepoślednie tu stanowisko, nietylko pewne miejscowości, i jak pragnie autor projektu. geografii archeologicznej, ale monografii wyczerpujących całych okolic będzie potrzeba, gdy przyjdzie mówić o Kujawiakach, Kurpiach, Mazurach, Polesiu, Pomorzu, lub krainach górzystych albo stepowych i t. p., gdzie według ziemi i klimatu urabiał się charakter rozmaitych plemion, ich ustrój duchowy, pokarmy, ubiory, budowle, zwyczaj i obyczaj.

---

każdy język w formę całości artystycznej, nie roniąc nio z jego bogactwa należy, a piękny wzór tego dał nam Józef hr. Borkowski w swój rozprawie: „O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim,“ w piśmie zbiorowém p. „Prace literackie. (Wiedeń. 1838 r.).

„Im dalej w las, t6m wi6cej drzew“ m6wi przys6owie i moŹna je dobrze przystosowa6 do rzeczy o kt6rej m6wimy. Rozczytuj6c si6 w projekcie J. I. Kraszewskiego, coraz wi6cej nasuwa si6 my6li, szczeg66w i samych przedmiot6w, naleŹ6cych do tak wielkiego dzie6a. JeŹeli ogrom ich przeraŹa, to z drugiej strony, prace juŹ wykonane mog6 zw6tpienia nasze usun6c, przypominaj6c sobie co usi6wania pojedyn6czych jednostek dokona6y, jak mamy tego dowody, w *Herbarzu Niesieckiego*, *S6wniku j6zyku polskiego* Lindego i w *Bibliografii polskiej* Kar6la Estreichera.

Encyklopedia staroŹytno6ci nie moŹe by6 dzie6em jednego cz66wika, musz6 tu dzia6a6 si6y zbiorowe, rozk6ad za6 prac i ostateczna redakcyja naleŹ6c musi do w66ciwego wydzia6u akademii umiej6tno6ci w Krakowie. Nie pow6tpiewamy ani na chwil6, Źe tych si6 nie zbraknie, i ogrom zadania przewyciŹony szcz66liwie zostanie.

W ko6cu projektu do66czony jest spis wyraz6w w dw6ch kolumnach, obejmuj6cy kart trzyna6cie. Potrzeba go uzupe6ni6, ale to juŹ rzecz 6atwiejsza, gdy zarys ca6ego dzie6a tak umiej6tnie a pracowicie mamy wykonany.

Komisya archeologiczna akademii umiej6tno6ci projekt J. I. Kraszewskiego przyj6ta, i uprasza o udzia6 w t6j pracy tych badaczy, kt6rzyby Źr6d6owo obrobione materya6y do pomienionego dzie6a posiadali. W sprawie warunk6w ust6pienia akademii swych prac, oraz oznaczenia terminu ich oddania, autorowie porozumi6c si6 mog6 z panami: J. I. Kraszewskim w Dreźnie, lub z przewodnicz6cym sekcyi Encyklopedyi staroŹytno6ci polskich dm. Aleksandrem Kremerem, wreszcie z sekretarzem komisyi archeologicznej akademii umiej6tno6ci Piotrem Umi6nskimi w Krakowie.

K. W6. W6jci6ki.

*O j6zyku litewskim*, napisa6 dr. Jan Kar66wicz. (w 8-c6 stronnic 242).

Autor wydan6j w Warszawie monografii o Don Karlosie (Don Karlos kr66lewicz hiszpa6ski. Szkic biograficzno-historyczny. 1867 r. w 8-c6 str. 195) z666y6 akademii umiej6tno6ci obszern6 rozpraw6 o *J6zyku Litewskim*, kt6ra j6 wydrukowa6a i pomici66a w Sprawozdaniach swoich. Praca ta samodzielna i gruntowna dozna6a naleŹytego uznania od akademii. W ni6j autor wymienia wszystkich pisarzy, kt6rzy ten j6zyk studyowali i oceniali. Szereg ich zaczyna ksi6dz pra6at Bochusz 1806 r. a za nim Siestrzencewicz, Kossakowski, Narbutt, Jaroszewicz, Jucewicz, Kraszewski i Akielewicz, i krytycznie ocenia ich prace. Nast6pnie przedstawia zdania cudzoziemc6w o t6j mowie: Dobrowskiego, Thunmanna, Szafarzyka, Boppa, Grimma, Muellera, Benfeya, Schleichera; pot6m wykazuje stopie6 powinowactwa j6zyka litewskiego ze s66wia6nskimi, germa6nskimi i innymi aryjskimi, okazany w gramatyce i s66wniku; wymienia j6zyki i narzecza litewskie, kre6li

charakterystykę gramatyki litewskiej, podaje próbki języka litewskiego i zamyka rzecz swoją bibliografią litewską, w której spisuje tak druki jak i rękopisma.

Z toku całej tej rozprawy widzimy dowodnie, że badania poprzedników autora, bez prawdziwej znajomości języka osnowane, grunto-wnie samego przedmiotu nie rozjaśniły, i że wedle słów jego: „dla publiczności polskiej nie mamy nic, co by ją porządnie z litewszczyzną oznajmiło.“ Z tego wyprowadza wniosek, iż potrzebne są następane prace: 1) Słownik litewsko-polski i polsko-litewski; 2) Wypisy litewskie ze słowniczkiem odpowiednim, ułożone z dawnych i nowszych próbek mowy litewskiej; 3) Gramatyka litewska ułożona według Schleichera, z dodaniem, opisu gwar w tej gramatyce nieuwzględnionych, i ciągłego porównawczego z polską wykładu. Zabierający się do napisania gramatyki litewskiej koniecznie mieć powinien gramatykę porównawczą Boppa i Schleichera, oraz ostatnie prace litewszczyzny dotyczące, przez filologów niemieckich ogłoszone w czasopismach berlińskich; 4) Wydawanie zbiorów, pieśni, podań, przysłówiów, spisów nazw ludu i miejsc z zachowaniem dosłownej akuratałości brzmień litewskich i dodawaniem form polskich lub spolszczających przy imionach własnych:

Nie możemy pominąć słów autora, które przy końcu tej szacownej i sumiennej pracy wyczytujemy.

„Należy się od nas nauce i bratniemu a niepiśmiennemu plemieniu w szczególności więcej niżesmy zrobili. Jeszcze czas, możemy dług ten spłacić, byleśmy umiejętnie a gorliwie jęli się pracy. Wkrótce może być zapóźno i mogą nas ubiedz Niemcy, jak już w wielu rzeczach ubiegli.“

K.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

### WARSZAWA.

Maj 1875 r. — Ruch wydawniczy nie ustaje. Część druga *Albumu Matejki* wkrótce ukończoną zostanie. Dzieła W. Szekspira regularnie co miesiąc w określonych zeszytach wychodzą nakładem Spółki wydawniczej księgarzy. Księgarnia Gebethnera i Wolffa podejmuje nowc z całym przepychem wydanie *Maryi* Malczeskiego z ilustracjami jednego z piérwszych naszych artystów M. Andriollego. Właśnie w dniu 2 maja r. b. rozpoczął się rok pięćdziesiąty od śmierci autora tego poematu.—Redakcja Biblioteki Umiejętności prawnych, ogłosiła znakomitą pracę Romualda Hubego: „Statuta Nieszawskie z r. 1454.“ „Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej“ przy



illustracji „Kłósów“ wychodząca, kończy druk trylogii Szyllera na *śmierci Wallensteina*, we wzorowym przekładzie, a prowadzi dalej rozpoczęte utwory A. Tyszyńskiego i Bronikowskiego romans: „Hipolit Boratyński.“ Nakładem J. Korzeniewskiego typografa i wydawcy, zaczęto zeszytami wychodzić dzieło p. n. „Mechanika popularna czyli podręcznik dla maszynistów i techników w ogólności, tudzież dla gospodarzy wiejskich i do wykładów w szkołach rzemieślniczych.“ Przez Jana Pietraszka inżyniera, mechanika. Jest to już drugie dzieło tego autora, pierwsze wydał p. n. Przewodnik praktyczny dla użytku maszynistów i ich pomocników na drogach żelaznych.

— Dzieł Zygmunta Kaczkowskiego przejranych i poprawionych przez autora, nakładem J. Ungra, wyszedł tom IX, i obejmuje oprócz znanych powieści, nową małych rozmiarów p. n. *Kato*. Rzecz dzieje się w r. 1846 we Lwowie, i o miejscowej scenie tak się autor wyraża: „Teatr, ach jakież nudny! Fredrowskie sztuki już się wygrały, Korzeniowskiego salonowe niezłe, ale znowu aktorowie tak nie salonowi.... a nasi panowie pisarze ładnie piszą, ale nie mają inwencji, nie mają oryginalności w pomysłach. Znam kilka przedmiotów z historii, które niemal wszyscy pisarze kolejną obrabiają. Z tego samego przedmiotu jeden robi dramę, inny epopeję, trzeci powieści, a czwarty bajkę; jeszcze piąty pisze na ten sam przedmiot i jego wszystkie formy ogromnie długą krytykę: *Magnuszewski* umarł, a z nim najpiękniejsze sceny polskiej nadzieje!“ Prospekt zapowiadał że wszystkie utwory Z. Kaczkowskiego objęte zostaną w dziesięciu tomach. Widzimy jednak z tego tomu że pomieścić się nie dadzą, i że jeżeli nie dwa tomy, to jeden musi być dodany. Ten sam był wypadek przy ogłoszeniu dzieł J. Korzeniowskiego, ale ich wydawca, dwa tomy prenumeratorom oddał bezpłatnie.

— W pośród największych zajęć literackich, w sile wieku, zbyt wczesnie zakończył życie ze smutkiem naszym ś. p. Aleksander Przędziecki. Po jego zgonie dwaj synowie zgasłego męża Konstanty i Gustaw pracę ojca rozpoczętą wykończają. Wydali rozprawę o „Kamieniach Mikorzyńskich,“ oraz dwa tomy dzieł Długosza w tekście oryginalnym łacińskim, w poprawnej według autografu edycji. Czuwał nad tém sumiennie Żegota Pauli. Piąty tom Jagiellonek, który zamyka całość, przejrany przez prof. J. Szujskiego w celu uzupełnień, których już umierający badacz uczynić nie zdołał, idzie pod prasę drukarską. Pozostały rękopism obszerny: „O rękopisach polskich w bibliotekach i archiwach zagranicznych będących“ złożyli akademii umiejętności w Krakowie. Jest to ciąg dalszy pracy, którą Biblioteka Warszawska ogłosiła. Część trzecią „Wzorów sztuki średniowiecznej“ za życia swego oddał do wydania A. Przędziecki, Maksymiliano wi Fajansowi i zawarł z nim w tym celu umowę, zapewniwszy ukończenie wydawnictwa tego pomnikowego dzieła.

— Dnia 15 kwietnia r. b. odbyło się roczne zebranie Towarzystwa lekarskiego plockiego. Prezes Towarzystwa Ostrowski zagaił po-

siedzenie, o znaczeniu pracy zbiorowej i o działalności członków pomienionego Towarzystwa.

— Z Wiest. Europy za miesiąc maj, dowiadujemy się, że w tych czasach w jednej z wyższych instytucyj poruszoną została rzecz co do pomieszczenia części dawnego archiwum polskiego, znajdującej się w Petersburgu, w archiwach senatu. Archiwum to dotyczy b. rządu Korony i Litwy. Przewiezione do Petersburga, uległo podziałowi: część pozostała w archiwach senatu, a druga część ważniejsza (dyplomatyczna) w roku 1828 przesłana do Moskwy do archiwum ministerstwa spraw zagranicznych. Sprawa ta, dotycząca ostatecznego pomieszczenia metryki polskiej, zaczęta jeszcze w roku 1869, obecnie, jak ów dziennik donosi, ma być zdecydowana w ten sposób, iż część metryki znajdująca się przy senacie, przyłączoną będzie do Biblioteki publicznej.

— Słuchacze wydziału lekarskiego uniwersyteckiego w Krakowie, zachęceni przez prof. D-ra Korczyńskiego, powzięli zamiar wydawania znakomych dzieł lekarskich w ogóle, w szczególności zaś podręczników naukowych, tłumaczonych z języków obcych. Professorowie wydziału lekarskiego, oraz lekarze krakowscy, uznając potrzebę tego rodzaju wydawnictwa, a zarazem oceniając dobre chęci młodzieży uniwersyteckiej, z wszelką gotowością objawili chęć popierania tych szlachetnych usiłowań i postanowili zawiązać stowarzyszenie wydawnicze pod ścisłym kierunkiem naukowym. Statut tego stowarzyszenia wkrótce wypracowanym zostanie przez osobny komitet, złożony z profesorów i doktorów: Janikowskiego, Korczyńskiego i Rydla, dra. Warschauera, tudzież słuchaczy medycyny: Kwaśnickiego, Lachowicza, Skórczewskiego i Śliwińskiego. Równocześnie zawiązał się komitet w celu podjęcia prac przygotowawczych, aby zamiar powyższy skreślony jak najprędzej urzeczywistnić. Rozesłano już zaproszenia w celu powiększenia grona stowarzyszenia. Wkładka jednorazowa wynosi zł. r. dziesięć i takowa zwróconą zostanie w dziełach wydawanych. Odczwa powyższa ma datę kwietnia r. b.

— Znany z talentu jako malarz krakowski Walery Elias, wydał: *Obrazek z podróży w Tatry* (Kraków 1875 r.), w którym opisuje mniej znane miejscowości gór naszych. Jestto już trzecia praca literacka, oznajamiająca nas bliżej z uroczemi Tatrami.

— Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta opuściło prasę dziełko, zawierające studjum o Berangerze, rozgłośnej sławy piosenkarzu francuzkim. Tytuł dziełka następujący: „Béranger, studjum; napisał Jan Amborski.” Autor językiem barwnym przedstawił wszystkie właściwości talentu Bérangera, oceniając jego zasługi literackie z wielką znajomością rzeczy i gruntownie. P. Amborski kilkoma już pracami swemi o literaturze francuzkiej, wypełnił lukę w polskim piśmiennictwie.

Taż księgarnia przygotowuje wydanie zupełne pism Kajetana Suffczyńskiego, znanego pod pseudonimem W. S. Bodzantowicza.

Oprócz powieści drobniejszych rozrzuconych po rozmaitych pismach, będą tu i większe utwory, wraz z ostatnią powieścią drukującą się u J. K. Zupańskiego: „Zawsze oni.” Wydawnictwo to pokaże w całym blasku talent ś p. Suffczyńskiego, który jeżeli nie wyżej, to śmiało obok „Soplicy” H. Rzewuskiego godnie zająć miejsce może.

— Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi, którą opracowywa pan Antoni Schneider, wyszedł zeszyt ósmy, ostatni tomu drugiego, i kończy się na słowie *Balin*.

— Dzieł Wincentego Pola wyszedł tom drugi i obejmuje: *Północny Wschód pod względem natury i Hydrografię*.

— We Lwowie nakładem i drukiem Rogosza, wyszedł drugi tom powieści Józefa Dzierzkowskiego w zupełnym wydaniu. Pożądaną było rzeczą dla miłośników literatury krajowej, ażeby wszystkie utwory jednego z pierwszych powieściopisarzy, jakim jest bezsprzecznie Józef Dzierzkowski, tak wydane zostały. Czytelnicy nasi bardzo małą ich częśćkę znają, bo tylko drukowane w odcinkach niektórych pism codziennych; zbiór ich razem da całość nieminiejszą od pism J. Korzeniowskiego, których ogłoszeniem wydawca *Kłosów* dał popęd do wydawnictw późniejszych jak: J. I. Kraszewskiego powieści, i poezyj Syrokomli, Z. Kaczkowskiego, a teraz wraz z Pismami Wincentego Pola i powieści J. Dzierzkowskiego.

— *Wielkie Bractwo*, nowa komedia Aleksandra Fredry (syna), jak pisze Gazeta Lwowska, odegrana została w połowie kwietnia na miejscowym teatrze z prawdziwie świetnym powodzeniem. Publiczność, która na pierwsze i drugie przedstawienie zgromadziła się nadzwyczaj licznie, utrzymywana przez cały ciąg sztuki w najlepszym humorze, ubawiła się serdecznie. Autora wywoływano podczas pierwszego przedstawienia kilka razy i dziękowano mu za tak przyjemny i wesoły wieczór grzmiącemi salwami oklasków. Utwór ten najnowszy autora, który talentem swym i dowcipem tak szybko umiał sobie podbić sympaty publiczności, nie traktuje wprawdzie głębszego tematu, nie stawia sobie żadnego społecznego ani moralnego zadania, ale zato *vis comica* jest w nim porywająca, scenizacya nadzwyczaj żwawa, ruch w ostatnich aktach pełen werwy i wesołej pustoty. Jest w tój sztuce kilka sytuacji, którym dla wybornego komicznego efektu przebaczyć łatwo można nienaturalność, w dyalogu wiele dowcipu; typy jak dentysty Schmolsa, chorego pana Alfonsa i Don-Żuana Tralińskiego, pełne wyśmienitego humoru. Zato charakterystyka trzech mężów jest zbyt pobieżna, a trzech żon niedostateczna. Zarzuciłoby można autorowi pod niejednym względem nieprawdopodobieństwo suppozycyj, z których rozwija się akcyja, powtarzanie się w scenach uwodzenia członków „wielkiego bractwa” przez spiskowe kobiety i t. p.: ale wady te giną w obec wielkiego powodzenia, jakie sztuka ta osiągnęła w całości.

— Dr. Kazimierz Szulc czytał na dwóch posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego obszerną rozprawę o rozwali-

nach na Ostrowiu lednickim pod Gnieznem. Uznaje p. Szulc zdanie ś. p. Przędzieckiego, że ruiny te są pozostałością kościoła chrześcijańskiego; przecież stara się wykazywać pogańską przeszłość lednickich rozwalin, usiłując dowieść: że jeśli na Ostrowiu była świątynia, to z bóżnicy pogańskiej przerobioną została. Jednocześnie w jednym z pism wychodzącym w Poznaniu, ukazało się studjum podpisane P. A., którego autor zgromadził wskazówki archiwalne, pragnąc niemi udowodnić, że ruiny lednickie są prosto szczątkami obronnego zamku.

— Stan szkół w Poznaniu określił dokładnie Dr. Szymański, przewodniczący na odbytym w drugiej połowie kwietnia r. b. w Poznaniu wiecu szkolnym. Do szkoły „średniej“ uczęszcza dzieci 668, mieszczą się one w 18-stu klassach, nauczycieli 20-tu wykładają im naukę. W szkole „obywatelskiej“ jest dzieci 919 w 18-tu klassach; nauczycieli i nauczycielek 25; 1 szkoła elementarna u Wszystkich Świętych, mieści dzieci 860, a mieszczą się one w 11-tu klassach, z których jedną zajmuje 113 dzieci. Szkoła małych dziewcząt na Garbarach liczy 940 uczennic w klassach 14-tu, z których 3 na innej jest ulicy. Szkoła Chwaliszewska liczy 950 dzieci mieszczących się w 14-tu klassach, z których jedna jest pod strychem i tak niska, że nauczyciel głową dotyka sufitu, a tak szczupła, że połowa dzieci przykuca na ziemi, bo nie ma miejsca na ławki. Każda z tych szkół elementarnych ma po 14-tu nauczycieli obojga płci. Szkoły elementarne nie są uposażone w żadne a żadne pomoce naukowe, podczas gdy bezwyznaniowe szkoły średnie i obywatelskie mają takich pomocy podostatkiem. Wszystkich dzieci uczących się w wymienionych wyżej szkołach jest 4343, z tych dzieci polskich 2166. Z tych ostatnich tylko 400 uczęszcza do szkół średnich, a 1850 do elementarnych, czyli że im szkoły są wyższe, tém mniej do nich chodzi dzieci polskich, a większość ich kończy na najniższym wychowaniu szkolnym. Zaniedbanie w jakim te szkoły się znajdują oddziaływa na uczniów rodziców; ci ostatni niewidząc korzyści dla dzieci i niedogodne warunki pobytu ich w szkole, radzi unikają posyłania do niej dzieci, mimo prawa obowiązującego dzieci w pewnym wieku do uczęszczania do szkoły. I temuto przypisać należy, że według statystyki urzędowej, przy ostatnim spisie ludności znalazło się w Poznaniu 7,500 osób nie umiejących ani czytać ani pisać. Polacy stanowią  $\frac{3}{4}$  tej liczby.

— Dnia 5 kwietnia r. b. w Pradze Czeskiej zmarł poseł Zeleny, jeden z najzasłużeńszych patryotów czeskich. Urodził się dnia 26 sierpnia 1825 r. w Borowie; szkoły gimnazjalne odbył wspólnie ze znanym Hawliczkim, w r. 1843 udał się na uniwersytet tamtejszy, a po ukończeniu kursu filologicznego został profesorem przy gimnazjum. W r. 1856 podjął dłuższą podróż po Francji i Włoszech. Gdy nastąpiło w r. 1860 życie konstytucyjne, Zeleny gorliwy brał udział w ruchu narodowym i tak dalece naraził się rządowi centralistycznemu, iż w roku 1863 musiał złożyć professurę. W zawodzie dziennikarskim, jako założyciel i główny współpracownik *Naroda* krzewił narodowe życie,

aż w r. 1865 przez radę miejską został zamianowany dyrektorem nowego miejskiego gimnazjum realnego, na którymto urządzie pozostał aż do śmierci. Zawód literacki rozpoczął od współpracownictwa przy czasopiśmie naukowym *Obzorze*, który zasilął cennymi pracami historycznymi i etnograficznymi. Wydał potem dzieło: *De religionis christianae in Bohemia principiis*. W „Bibliotece historycznej“ ogłosił przekład klasycznego dzieła Macaulay'a. W wydanej pod kierownictwem Riegra wielkiej encyklopedyi czeskiej, bardzo gruntownie opracował dział literatury czeskiej. Od r. 1860 stale był wybierany do sejmku; w ostatnich latach należał do grona tak zwanych „powierników“ klubu poselskiego, którzy ogłaszają listy kandydatów, przygotowują wnioski, rokują w imieniu klubu z innymi frakcyami. Był nadto członkiem wszystkich tutejszych i bardzo wielu zagranicznych stowarzyszeń naukowych.

— Towarzystwo historyczne imienia Jabłonowskich w Lipsku, przeznaczyło na rok 1875 zwykłą nagrodę 90 dukatów autorowi gruntownego studyum, któreby wyświetliło stosunek specjalny, w jakim zostają między sobą wśród rodziny indo-europejskiej języki grupy słowiańskiej i litewskiej do grupy języków germańskich. Zeszłoroczny termin konkursu na temat: „Historja handlu zbożem Polski z zagranicą,” zostaje przedłużony na rok bieżący.

— D-r Artur Wołyński nadzwyczaj cenne materyały do dziejów polskich odszukał w archiwum florenckim. Materyały te będą znakomitą dopełnieniem tego, co hr. August Cieszkowski znalazł w archiwum Dożów weneckich. Pan Wołyński zamierza z szacownej swojej zdobyczy wydać najprzód na światło dzienne relacye posłów florenckich i dokumenta odnoszące się do czasu, kiedy Medyceusze myśleli o koronie polskiej. Dokumenta te mają zawierać mnóstwo szczegółów nader ciekawych i rzucających znakomite światło na ówczesne rzeczywospolitój stosunki.

— Na posiedzeniu Akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, w dniu 17 kwietnia r. b., akademik Giraud podał do wiadomości nieznaną szczegół, o ważnej dla dziejów Polski *korrespondencji agenta dyplomatycznego Charnacé*, który w imieniu Francji traktował w XVII wieku ze Szwecyą i Polską. Korrespondencya ta niewydana, znajduje się w rękach jednego z lordów angielskich, który broni do niej przystępu uczonym; sprawozdawca nie wymienił jednakże nazwiska tak nieprzychylnego lorda.

— Professor Uniwersytetu wrocławskiego Jakób Caro, kontynuator Roepla, w pomnikowym wydaniu historyi państw europejskich (nakład Perthesa w Gotha), wydał trzeci z rzędu opracowany przez siebie tom historyi polskiej. Obejmuje w nim ostatnie lata panowania Władysława Jagiełły, całe panowanie Władysława Warneńczyka, i ośm lat królowania Kazimierza Jagiellończyka: jest to okres lat 25, od roku 1430 do 1455.

— W Paryżu umarł Alfons Royer w siedmdziesiątym drugim roku życia. Pozostawił po sobie nader ważne, nieukończone dzieło: *Historję powszechną teatru*. Część obejmującą dzieje teatru w Polsce, opracowała pani Seweryna z Żochowskich Duchieńska.

— W dziedzinie piśmiennictwa naukowego na chlubną wzmiankę zasługuje dzieło Giesebrecht'a (wyszło w Brunzwiku w 1875 r.), p. t.: „Dzieje cesarstwa niemieckiego.“ Jestto dalszy ciąg obszerniej całości, zawierający panowanie króla Konrada III i obiór Fryderyka I-go.

Historyozofiści francuzcy, jak wiadomo (szczególniej zaś niedawno zgasły Michelet) uważają dzieje nowożytne, prawie bezwarunkowo, za stopniowy i organiczny przejaw cywilizacji francuzkiej. W dziejopisarstwie niemieckim spotykamy się z drugą, nie tą samą wprawdzie, ale taką samą syntezą historyczną: dzieje nowoczesne mają być, w rozumieniu téj szkoły, niczém inném, jak przejawieniem się idei germaństwa. Ramshorn, zasłużony filolog niemiecki, nawet język Rzymian nazywa dobrodusznie *galezią* mowy starogermańskiej. Podziwiamy dumę rassy, ale nie zazdrościmy nauce!

Postać Konrada III nakreśloną została przez Giesebrechta mistrzowsko; jakkolwiek panowanie to przedstawia smutny obraz walk i zamętu. Mąż wielmożnej postawy, ale miernych zdolności, Konrad nie spełnił nawet tego postannictwa czysto-politycznego, do jakiego parł go instynkt tradycyjny władców germańskich: nie doszedł do Włoch—nie osiągnął korony cesarskiej. Dzieło Giesebrechta, pomimo pewnych wad, właściwych szkole, o której nadmieniliśmy wyżej, jest ważnym zjawiskiem w literaturze dziejowej, témbardziej, że po przedstawieniu dalszych okresów, utworzy ogromną całość.

— *Historja drugiej wojny punickiej* (Der zweite Punische Krieg und seine Quellen) przez Ludwika Kellera, Marburg, 1875. Jestto obszerna i zręczna krytyka źródeł, dotyczących olbrzymiego dramatu, w którym pasowały się dwie biegunowe idee starożytności: Rzym, to jest świat indo-europejski z semityckim; geniusz sztuki, prawodawstwa i heroizmu, z ujemnymi potęgami materializmu fenickiego, bałwochwalstwa, opór krwawych i zepsucia.

— *Wojna niemiecko-francuzka w roku 1870—1871*. Opis dokonany przez wojenno-historyczny wydział sztabu generalnego. Część I, historia wojny aż do upadku cesarstwa (z chromolitografiami), Berlin, 1875.

— *Roscher*, „Historja ekonomii politycznej w Niemczech.“ Monachium, 1874. (Tom XIV zawierający dzieje nauki w Niemczech). Jestto część kolosalnego dzieła. Imię Roschera szczydzi się wysokim uznaniem w świecie naukowym. On pierwszy zerwał z przestarzałym dogmatyzmem w ekonomii narodowej. W niniejszój książce (o przeszło tysiącu stronnicach), dostrzegamy wyborne ugrupowanie szkół i ich przedstawicieli. Literaturę przedmiotu autor dzieli na trzy wielkie okresy: a) wiek teologiczno-humanistyczny (do roku 1643), b) po-

licyjno-kameralistyczny (do połowy XVIII wieku); c) okres naukowy, któremu poświęcił większą połowę dzieła.

— *Życie i pisma Gėtogo* (*Goethe's Leben und Schriften*) p. Karola Goedeke. Sztuttgart 1874. Wśród ogromnej liczby studyów, życiorysów i komentarzy dotyczących Gėtogo, dzieło obecne stanowi drogocenny materiał, ożywiony tym ogarniającym poglądem, jakimś przywykłym podziwiać w Gedeke. Szczególniejszy budzi interes pogląd autora na drugą część Fausta. Faust w drugiej części (szczególniej w akcji ostatnim) zdaniem autora, ma ukrywać tło *alegoryczne*. Nie podzielając poglądu Gedekego, przyznać jednak musimy, że po pracach Dünzera i Hartunga nie wszędzie wyczerpujących tajemnicę Fausta, przybyła nam w tym dziele ważna jakoby nić Aryadny, bez której trudno się nie zbłąkać w labiryncie.

— *Zawojowanie Prus przez Niemców w wieku XIII*, (*Die Eroberung Preussens durch die Deutschen im XIII. Jahrhundert*). P. A. L. Ewald Halla.

W obecnej (pierwszej) księdze Ewald przedstawia pierwszy akt usadowienia się Niemców przy kotlinie bałtyckiej w imię chrystyanizmu i naturalnie cywilizacji germańskiej. Wypowiada on wymownie jak orzeł niemiecki, udzieleny Hermanowi Salza (wielkiemu mistrzowi) przez cesarza Fryderyka w stolicy Dożów, powędrował z zakonem do Prus, i później stał się herbem państwa. Autor nie uosabia walki z Prusami (pierwotnymi); owszem kreśli ogólniejszy obraz szerzenia się germaństwa na brzegach morza Wschodniego. W dziwny, acz zbyt dobrze znany sposób przeprowadzonym tu jest dogmat posłannictwa germanów, posłannictwa „pokoju, postępu duchowego i uobyczajenia.“

— Obiór papieża Innocentego XIII, podług źródeł oryginalnych (*die Papstwahl Innocent*) p. Mayer'a. Wiedeń 1874.

Nie rozległe lecz zajmujące dziełko wzięte z włoskiego sprawozdania (kardynała Szratenbacha) o konklawe z r. 1721. Wybornie tu nakreślona została charakterystyka Alberoniego.

— Studya Florentyjskie (*Florentiner studien*) przez Scheffer-Boichorsta. 1874 w Lipsku. Sceptyczny kierunek dotknął w ostatnich czasach trzy najgłośniejsze pomniki dziejowej literatury włoskiej: Giurnali (dzieło Giavenazzi'ego), Florentyjską historią (Malespini'ego) i kronikę Compagni'ego. Rzecz godna uwagi, że sceptykami pod których nóż krytyczny dostają się zabytki przeszłości obcych im narodów, są po największej części Niemcy. Nie byliśmy nigdy zwolennikami przesadzonego krytycyzmu, przyznać jednak trzeba, że dziełko Boichorsta z pożytkiem czytane być może, ze względu na erudycją i mnóstwo historyograficznych szczegółów, nie wszystkim dotąd znanych.

— Odczyty *O Hamlecie Szekspira*, wypowiedziane przez Karola Werdera w uniwersytecie berlińskim. Berlin, 1875.

Znakomita monografia Ulrici'ego, w swoim czasie wywołała podziw i głębokie uznanie publiczności niemieckiej, ogłaszając Szekspira

za poetę, apostoła ducha protestantyzmu i za męża prawdziwie nowjery w sztuce.

Odczyty Werdera są nierównie wyższego polotu. Wygłaszane przed tłumną publicznością, z najwybrańszych członków społeczeństwa złożoną, zjednały sławę mówcy, który z katedry dzielił się ze słuchaczami wrażeniami arcydzieł Szyllera i Szekspira. W cudownych wycieczkach do Hamleta, najpiękniejszej i najbardziej filozoficznej postaci, Werder dowiódł wszechświatowego znaczenia *utworu*.

— Historia Sycylii w czasach starożytnych przez Ad. Holm'a (*Geschichte Siciliens im Alterthum*). Lipsk, 1874.

To obszerne i wielkiej doniosłości dzieło wzbudziło prawdziwy zapal w kołach naukowych. Z głęboką erudycją, popartą żywym poglądem na materyały, Holm kreśli tu obraz dziejowych losów wyspy, która w ciągu wieków stanowiła jakoby oś polityki świata starożytnego, poczynając od wojny peloponeskiej. Tu nastąpiło zetknięcie się Rzymu z Kartaginą. Utrata Sycylii przez Kartagińczyków stanowiła jak wiemy, jeden z najgłówniejszych bodźców, który popchnął Hannibala na widownię świata.

Autor nakreśla trzy zasadnicze okresy dziejów Sycylii, które rozwija w trzech księgach:

Księga I-a opisuje walkę Ateńczyków z Syrakuzami; II-a obejmuje czasy panowania Dyonizydów i podźwignięcie się Sycyliotów, pod wodzą Tymoleona; III-cia smutną epokę Agatoklesa, chwilową świetność pod Pirrusem i czasy Hierona.

Charaktery (nie powieściarskie lecz historyczne) wielkich działaczy, a rodziły się one i wyrastały tam w całej potęgze strefy południowej, jaskrawe typy tak bezprawne jak i heroizmu ludowego, postacie Dyonizjusza jak i Tymoleona, autor przedstawił nam żywo w dramatycznym majestacie prawdy. Niejednokrotnie spotykamy się tu z napomknieniami o czasach ostatnich, jakie chwilami nasuwały się mimowolnie przed oczy historyka. Szczególniej dosadnie i z gorącym tętnem odmalowanym jest Tymoleon; przyczem jako *lupus in fabula* nastreczył się tu autorowi pochod męża Kaprery od Marsali do Melazzo.

✠ Dnia 26 kwietnia r. b. w Krakowie umarł **Feliks Benda**, zdolny artysta, szczególnie w komedyi. Urodzony w Krakowie 1833 roku, zakończył życie licząc lat 42 wieku. Scena tamtejsza wiele straciła z jego zgonem.

--- **Emil Stahlberger**, Lwówianin, professor fizyki w akademii marynarki w Fiume (czyli Rieka w Kroacyi), zmarł tamże 3 maja r. b. Urodził się w r. 1835. Po ukończonych we Lwowie szkołach średnich, a następnie w Wiedniu politechnicznych studiach, był on najprzód przez lat kilka asystentem fizyki w Wiedniu przy profesorze



Heslerze, zanim został professorem przy akademii marynarki. Niezmordowanie pracując w swoim przedmiocie, wynalazł: przyrząd służący do obserwacji trzęsienia ziemi, później tak zwany reobatometr czyli przyrząd do zmierzenia chyżości fal morskich i zbadania dna morskiego, aparat zaszczycony na wystawie wiedeńskiej dyplomem uznania. Rząd węgierski przyznał mu za cenną pracę „O przyptywie i odpływie morza“ znaczną nagrodę pieniężną, i ogłosił dzieło w językach: niemieckim i węgierskim. Cesarz Franciszek Józef ozdobił go medalem zasługi naukowej. Ostatnia jego praca, na tydzień przed zgonem dokonana i do sekcji marynarskiej w Wiedniu do ocenienia odesłana, tyczy się pewnych ułatwień, potrzebnych przy obliczeniach nautyczno-astronomicznych.

— Dnia 20 maja r. b. zmarł w Warszawie *Tomasz Dziekoński*, jeden z zasłużonych pedagogów, a zarazem i pisarzy, licząc lat wieku 85. Życiorys jego jako i wyszczególnienie prac drukiem ogłoszonych, mamy podany przez F. M. Sobieszczańskiego w Encyklopedyi Powszechnej S. Orgelbranda. Do prac tam wyliczonych należy dodać tłumaczenie Historji Rzymskiej Momsena, w 4-ch tomach, które wykonał już w sędziwym wieku.

## OD REDAKCYI.

W styczniowym zeszycie pisma naszego z r. 1872 ogłoszony został konkurs na dzieło dla dzieci od 10 do 14 lat wieku, z oznaczeniem premium w wysokości rsr. 150.

Z powodu nieosiągnięcia zamierzonego celu, redakcyja ogłasza konkurs ponownie, podnosząc premium do rsr. 215 z dodaniem do nich procentów, jakie narosną do czasu przyznania nagrody. Wybór treści pozostawia się w zupełności autorom, którzyby rękopisma swe do konkursu przedstawić chcieli, z zastrzeżeniem tylko, aby dopełnione były warunki przez ofiarodawcę podane a mianowicie: aby książka, traktująca przedmiot z zakresu moralności, historii lub umiętności, czy to oddzielnie, czy w połączeniu, dążyła do zaszczipiania zasad cnoty, pobudzała duszę do energii i wzbogacała umysł temi wiadomościami, któreby mu do poważnej myśli wątku dostarczały. Forma opowiadania ma być dla umysłu dzieci pociągającą, bez oschłości w moralizowaniu i definicyach. Co do objętości, to ma zawierać około 10 arkuszy druku. Rękopisma mają być nadsyłane do redakcyi Biblioteki z zachowaniem zwykłych warunków konkursowych, to jest, bez podpisu autora, którego imię, nazwisko i miejsce zamieszkania winny być wymienione w mającej się dołączyć kopercie. Rękopism uwieńczony nagrodą, pozostanie własnością autora.

Termin składania rękopismów oznacza się na dzień 1 października 1875 roku.

---

**Sprostowanie.** W korespondencyi wydrukowanej w zeszycie na maj r. b., co do czynności Towarzystwa ubezpieczeń warszawskiego, na stronnicy 320, cyfry podane należy następnie sprostować:

„.....W ciągu upłynionego roku agentura zdołała podnieść tę summę do przeszło 76,000 rubli, mając z górą 3,000 ubezpieczeń na summę blisko ośm i pół milionów rubli.“

I dalej:

„.....Pociągnęła do ubezpieczenia się przeważnie ludność wiejską, gdyż w wymienionych 76,000 rubli składki, figuruje około 50,000 rsr. ze wsi płynących.“

---

*Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójoicki.

Wydawca Józef Berger.

---

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Мая 1875 года.

# SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1875.

stron.

## *Filozofia.*

- Religia pozytywna, czyli nowa powszechna religia ludzkości; rozbiór drugiej połowy działalności umysłowej Comte'a. Z powodu nowego wydania jego katechizmu. Napisał Seweryn Smolikowski. 357

## *Historya.*

- Epizody z życia Nerona. Według dzieła E. Renana. Przez Edwarda Lubowskiego. . . . . 76
- O kurchanie na łąkach wsi Wola Marzeńska, nad rzeką Grabią w powiecie Łaskim. Przez J. R. . . . . 152
- Wyznania religijne w Indyach Wschodnich i wpływ jaki na nie wywarły rządy angielskie. Przez Adama Sierakowskiego. . . . . 173
- Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Rzut oka na gubernię Wileńską. Przez Dra. J. Karłowicza. . . . . 315
- W sprawie rodowodu i nazwiska rodziny Moniuszków. Przez Zygmunta Glogera. . . . . 452

## *Literatura i sztuki piękne.*

- Pamiętnik z pobytu w Ameryce. III. Przez Krystynę Narbuttównę. 1, 429
- Odyseja Homera w przekładzie Lucyana Siemieńskiego. Kraków roku 1873. Przez Feliksa Jezierskiego. . . . . 63
- Przegląd teatralny. Przez Ed. Lubowskiego. . . . . 285

*Nauki Społeczne.*

Stan gospodarstwa wiejskiego i produkeyi rolniczój w Królestwie Pol- skiem. Przez Witolda Załęskiego. . . . .	19
Przesilenie spekulacyi w 1873 roku, czyli Krach Wiedeński. Przez Al. Oskierkę. . . . .	270

*Nauki Przyrodnicze.*

Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . .	439
--	-----

*Powieść.*

Z Siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kra- szewskiego. Tom I. . . . .	35, 192, 381
---	--------------

*Literaturę zagraniczną.***KRONIKA ZAGRANICZNA LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.**

Historycy angielscy. Hallam: Stan Europy w średnich wiekach. Ma- caulay, Historia Anglii, od wstąpienia Jakóba II. Tomasz Carlyle. Życie Fryderyka II-go. Fronde: Henryk VIII. Maxwell: Klasztorne życie Karola V-o. Palgrave: Historia Anglosaksonów. Freeman: Historia podboju normandzkiego. Jerzy Grote. Historia Grecyi. Historycy pozytywiści: William Draper: Historia roz- woju intelektualnego w Europie. Bukle: Historia cywilizacyi. —Dramat p. Bornier: Córka Rolanda. Legendy Palatynów p. Autran członka akademii francuzkiój. Zmarły malarz Corot. Pośmiertne wydanie Fetisa. Historia sztuki muzycznój, od czasów najdawniejszych, t. IV.—Towarzystwo geograficzne paryżkie. Wyprawy do Afryki. Kongres geograficzny i wystawa. Prós- sencé: Katakumby. Korrespondencye księcia Fr. X. saskiego. —Amerykanki i Wiktor Hugo.—Biblioteka Nilson. . . . .	86
Dzieło p. Wallon: Ludwik święty i jego czasy.—Sorbona: stan nauk i sztuk pięknych. Pieśni Truwerów. Katedry XIII-go wieku. Architektura francuzka.—Przyjęcie do akademii prof. Caro.— Historia literatury współczesnej w Rosyji p. Courrière.—Życio- rys Juliusza Janin, przez p. Piedagnel.—Pieśni Żołnierza p. Derouledé.—Pani Ancelot.—Tragedya Karol Wielki, p. Rene Fabert.—Komedyja Niewdzięczni, przez Juliusza Claretie.—Teza doktorska panny Stefanii Wolickiój: Griechische Frauengestalten. Edgar Quinet.—Arykol Perdiguier, reprezentant robotników francuzkich w Izbie, 1848 r. . . . .	240

- Podróż po Niemczech p. Tissot. Berlin: arsenał, bursa, francuzkie lupy, akademia berlińska, professorowie. — Legendy Paladynów p. Autran: Król Franków, Las dębowy. — Podróż do Stanów Zjednoczonych p. Simonin. — Abraham Linkoln, historia obalenia niewolnictwa w Północnej Ameryce p. Jouault. — Listy Prudhona: wojna z poetami i autorkami. — Anatomia pszczoły p. Michała Girtwojna, w przekładzie francuzkim. — Nowa mapa Eugeniusza Cortembert: wpływ miejscowości na rozwój gieniuszu. — Zebranie Towarzystw naukowych z miast prowincjonalnych w Sorbonie. — Wystawa rolniczo-archeologiczna w Blois. — Kongresa tegoroczne. — Protestacya p. Leger przeciw bulgarskim pieśniom. — Zmarły Amedeusz Achard. — Powieści z nad zatoki Juan pani Lambert. — Rozprawa o Hercegowinie, p. de Sainte Marie. — Stodziesięcioletni malarz Waldeck. — Jubileusz Michała Anioła we Florenoyi. — Konkurs dramatyczny na stóletnią uroczystość ogłoszenia niepodległości w Stanach Zjednoczonych. — Nowa geografia powszechna, Elizeusza Reclus. . . . . 455

*Rozbiory krytyczne i sprawozdania z ważniejszych dzieł wszelkiej treści, tak krajowych jak zagranicznych.*

- Paul Janet, Philosophie de la révolution française. Paris, 1875, str. 173. Przez Henryka Struvego. . . . . 118
- Sprawozdanie komisji fizyograficznej byłego c. k. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu r. 1872, oraz materyały do fizyografii Galicyi, z mapą litografowaną. Tom VII in 8-vo, str. 313. Przez Dra. W. Szyszło. . . . . 124
- Whitneya: Odczyty o zasadach porównawczego językoznawstwa, opracowane dla publiczności niemieckiej i rozszerzone przez D-ra Juliusza Jolly. Monachium, 1874 r. Przez M. Wład. Dębickiego. 131
- Fonetyka języka kaszubskiego. Studium P. Stremlera. Przedrukowano z „Zapisek Filologicznych“ Woroneż 1874 r. Fonetika kaszebskiego jazyka, Izsledowanie P. Stremlera. Przez D-ra Ludyana Malinowskiego. . . . . 141
- Ludność Galicyi przez Władysława Rapackiego. Lwów, nakładem autora. Z drukarni K. Pillera 1874 r. (w 12-ce str. 126). Wiadomości statystyczne o mieście Lwowie. Rocznik I, zebrał i opracował Tadeusz Romanowicz. Lwów 1874 r. Przez W. . . . . 146
- Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstantego Świdzińskiego. T. I. Warszawa. Nakład Świdzińskich. 1875 roku (w wielkiej 8-ce str. 193). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . . 322
- Więś Paczołtowiec (monografia) przez Józefa Louis, w Krakowie w drukarni Leona Paszkowskiego, 1874 r. (w 12-ce, str. 174). Przez Wł. . . . . 330

	stron
Dawny zabytek języka polskiego w Żywocie Ojca Amandusa. Opisał ks. Ignacy Polkowski z jedną tablicą podobizny. Gniezno, 1875 rok. Przez F. J. . . . .	332
Sprawozdanie komisji konkursowej i rozdanie nagród za utwory sceniczne w r. 1875. Rok V. Nagrody hrabiów Fr. Łubieńskiego, Art. Potockiego, p. Lud. Oraczewskiego i dyrektcy teatru krakowskiego. Krakow, w druk. L. Paszkowskiego. 1875, w 18cc, str 33. Przez R. . . . .	335
1) Pamiętnik Warszawskiego Inst. głuch. i ociemniałych z roku szkolnego 1872/3, rok IV. Warszawa, r. 1873, 8ka więk. str. 276 i LII. 2) Tenże Pamiętnik z roku szkolnego 1873/4, rok V, 1874, str. 317 i XLIII. 3) Systematyczny sposób początkowego wykładu nauki religii i moralności dla głuchoniemych, opisany przez nauczycieli religii Warsz. Inst. Głuchon. i Ociemn., kurs pierwszoletni. Warszawa, 1874, 8ka więk. str. 224. Przez Władysława Nowickiego. . . . .	337
O uprawie wina w ogrodach, skreślił Michał Czepiński. (Z dwiema tabl. figur) Warszawa. Nakładem i drukiem F. Fryze i Sp., 1874 rok, (w 8cc str. 83). Przez W. . . . .	344
Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgowaniu ciała ludzkiego, przez Dra. St. Jerzykowskiego członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Warszawa, nakładem Czerwińskiego i Sp. str. 254 in 8-vo, z 20 drzeworytami w tekście. Przez Dra. W. Szyszło. . . . .	482
Einleitung in die slavische Literaturgeschichte und Darstellung ihrer älteren Perioden, von Dr. Gregor Krek, Professor der slavischen Philologie und Literatur an der Universität Graz. (Wstęp do historii literatury słowiańskiej i przedstawienie najdawniejszych jej peryodów). Erster Theil. Einleitung in die slavische Literaturgeschichte. Graz. 1874. Verlag von Leuschner u Lubensky. 8-vo. str. VIII,—336. Przez Ad. Ant. Kryńskiego. . . . .	489
Dawne ustawy miasta Kalisza, wydał Adam Chodyński. Przez Ed. Grab. Projekt Encyklopedyi Starożytności Polskich J. I. Kraszewskiego, przyjęty przez Komisję Archeologiczną akademii Umiejętności w Krakowie. (Kraków. w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1875, 8-vo str. 39). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . .	494
O języku litewskim, napisał dr. Jan Karłowicz. (w 8-cc str. 242). Przez K. . . . .	497
Akademia umiejętności w Krakowie. . . . .	153
WIADOMOSCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. . . . .	160, 346, 498
NEKROLOGIA. . . . .	171, 356, 506
OD REDAKCYI. Sprostowanie. . . . .	172, 356, 508

# HISTORYA

## OŚMNASTEGO I DZIEWIĘTNASTEGO WIEKU

DO UPADKU

### CESARSTWA FRANCUZKIEGO

ZE SZCZEGÓLNĄ UWZGLĘDNIENIEM DUCHOWEGO ROZWOJU LUDZKOŚCI

PRZEZ

**F. K. SCHLOSSERA.**

TLÓMACZENIE Z PIĄTEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO.

## PROSPEKT.

Czém dla Starożytności były wojny perskie albo punickie,— czém dla Wieków Średnich okres wojen krzyżowych,— dla epoki nowożytnej reformacya i odkrycie Ameryki;— tém dla naszego dziewiętnastego stulecia są olbrzymie wypadki poprzedzającego je bezpośrednio wieku ośmnastego. Wprawdzie na przewrót, wypadkami temi spowodowany, pomiędzy któremi oczywiście rewolucya francuzka z roku 89 najpierwsze i najważniejsze zajmuje miejsce, na przewrót ten w całym zgoła ustroju społeczeństw złożyły się również całe dzieje poprzednie;—lecz wiekowi ośmnastemu to właśnie główną nadają wagę, iż nie tylko już naznaczonej społecznościom przez Opatrzność miary dopełnił, ale we wszystkich kierunkach streścił sobą poniekąd znaczenie i wynik długo-wiekowego tych społeczności rozwoju. Objawy jego niekiedy wprawdzie mniej są potężne, i wówczas nie zdola on jeszcze przebieć zastygłej skorupy dziejowej,—ale praca jego trwa ciągle, i w spadku schodzący z pola poprzednik przekazał ją swemu następcy, stuleciu w którym obecnie żyjemy. Dla tegoto śmiało twierdziemy, że ze wszystkich części dziejowego ogromu, wiek XVIII nie może być nigdy zbyt ściśle rozpatrywanym, nie może stać się nigdy przedmiotem studiów nadto wyczerpujących, tych zwłaszcza które teraz dopiero, w pewnym już oddaleniu, dostrzedz potrafią braki dawniejsze i wyrównać pozostałe ztąd szczyby.

W samej rzeczy na razie trudno było ocenić całą wielkość wypadków, których wiek ośmnasty był streszczeniem i zbiorem. Ludzie, którym szło o to, by ich potęgę umniejszyć, przypisywali je drobnym przyczynom i pojedynczym osobistościom;—później upatrywano wyjątki w nich wpływy filozofii i literatury. Prawda, że te ostatnie same się tyle takim wpływem swoim chwa-

liły, iż dopraszały się niejako téj roli; wszakże po bliższej rozważeniu dostrzedz musiano, że społeczność wieku zeszłego nie składała się z samych tylko autorów, z arystokracji piszącej i demokracji która czytała,—lecz że istniały już wówczas inne klasy, interesa odrębne, których wpływu na dzieje współczesne zbyt mało cenić nie wolno. Zaczęto przeto zwracać uwagę na obyczaje minionego stulecia, na opinie społeczne, słowem, na fakta ogólne, które poddawano nawzajem poglądom rzekomo historycznym, owę teorię ułożoną przez Opatrzność porządku, w jakim się Ludzkość na ziemi rozwija. Nieprzecząc atoli bynajmniej wzniosłości takich poglądów, zgadzając się nawet zupełnie na prawa wieczyste, według których jedna po drugiej następują wszystkie fazy cywilizacyi, niepodobna przecież nie uznać, że duch ludzki i własna jego świadomość nie uwalniają się przez to od obowiązku samoistnego przebieżenia naznaczonej im drogi, dosięgania wytkniętych na drodze téj celów. Zgadając się na to, że kres i punkt wyjścia wskazane są z góry i nieuniknione, przyznać jednak winniśmy, iż między jednym a drugim ścieżek mogło być kilka, i że w danej chwili wybór téj albo owéj mógł być korzystniejszym od tego, jaki Ludzkość w samej rzeczy spełniła. Ludzkość to bowiem nie jest ciałem bezwładnym i martwym, któreby według praw duchowego ciężenia krążyło w przestrzeni przeznaczeń. Odpowiedzialność jednostek, odpowiedzialność nawet narodów, jest niezbędną i niedającą się niczem uchylić częścią naszego jestestwa, i dla tego prawdziwy historyk, stojący na wysokości dzisiejszych pojęć i wyobrażeń, bez przerwy fakta dziejowe zestawiać musi z prawem moralnym, z poczuciem obowiązku w duszy naszej złożonym.

Historja inaczej pojęta, byłaby niemą i niepouczającą. Nie

byłaby ona przedmiotem ani pochwał, ani przygany; ani przestrogi z niej nie poczerpnąłbyś, ani też doświadczenia; traktowana wzorem nauk stosowanych i przyrodniczych, mogłaby posłużyć na to jedynie, iż staranoby się w niej dobadać niezbędnych prawideł ruchu umysłowego; szczytu zaś swego dosięgłaby wtedy, gdyby zdołała, niby zaćmienia słońca albo księżyca, ująć w stałe formułki wszystkie przejścia Ludzkości. Bez wątpienia, niepospolitego potrzeba umysłu, by dostrzedz ogniwa, łączące ze skutkami wszystkie przyczyny, by unosić się nad całym tym ruchem człowieczym, wznieść się nadeń do tój wysokości, z której tracąc już z widoku jednostki, oko dostrzega jedynie grupy i masy. Ale i ta praca dziejopisarstwa nie obejmie całego człowieczeństwa, — przedstawia wprawdzie jój widok, lecz nie odtwarza istotnej rzeczywistości. Będzie to Ludzkość, zapewne; ale Ludzkość bez samego człowieka.

Otóż dziejopisarzem, który przejąwszy się w szczegółach zaletami metody, i władając nią w pełnej świetności talentu, potrafił przecież wzbić się do jój uogólnienia i zjednać sobie sławę nieubłaganego wprawdzie, lecz najsprawiedliwszego sędziego, najgruntowniej poważnego i bystrego badacza, jest autor dzieła, którego pracę bez zaprzeczenia najznakomitszą, przyswojoną literaturze ojczystej, publiczności naszej dziś przedstawiamy. Stanowisko, pojęcia, poglądy bieżącego stulecia wniósł Schlosser do oceny wieku XVIII, którego sam jednym z najszlachetniejszych był synów, skoro pierwsze 24 lata swego życia jeszcze pod jego przepędził egidą. Dla nas zaś, którzy jesteśmy wyłącznie już dziećmi naszej epoki, w tém szczęśliwem zespoleniu się światła nauki i prawdy z całym urokiem bezpośredniej, bo osobiście odczutej miłości dla wszystkiego co dobre i piękne, wstrętu do fałszu i wszystkich rzeczy poziomych, niewyczerpane roztwiera się źródło uszlachetniającej nauki, głębokiego pożytku i niewysłowionej w ogóle roskoszy duchowej. Już *Dzieje powszechne* Schlossera, wydaniem których w języku pol-

skim zajęło się jedno z przedsięwzięć we Lwowie, zapoznać mogły żądną pożywczej strawy umysłowej powszechność z właściwościami tego wielkiego historyka, naznaczającemi mu miejsce jedno z najpierwszych dziśczesnych; śmiało jednak wyznać należy, że jego *Historja wieku osmnastego i części dziewiętnastego* nie tylko jego niezaprzeczonem jest arcydziełem, ale jedną z najświetniejszych stanowi epok w dziedzinie nowożytnego dziejopisarstwa. Wszystkie kierunki występują tu przed naszymi oczami z plastycznością niemal rzeźbiarską, a koloryt w charakterystykach wypadków i ludzi, to przypomina swoją wiernością, ściśle z najdokładniejszym rysunkiem złączoną, ludzącą prawdę wewnątrz niderlandzkich, to w strumieniach światła i cieni wzrusza lub wstrząsa blaskiem Tycyanów, albo ponurością Rembrandta. Wszędzie występuje tam człowiek, — nie konwencyonalny, nie rozłożony w pryzmat uprzedzeń stronniczych, ale człowiek taki, jakim istotnie wytworzyła go jego epoka, albo jaki sam ją wytwarzał, — człowiek historyczny każdym rysem, każdym ruchem, — każdą myślą wypowiedzianą, lub w duszy podśluchaną jedynie przez przenikliwego umysłów ludzkich badacza. Ta wierność rzeczy pojedynczych i ta szerokość poglądów ogólnych czyni oberne dzieło Schlossera obok strony pouczającej, jaką ono celuje, zarazem niesłychanie poczytną i rzekłbyś że to poemat pełen wzniosłych obrazów i uczuć, że to wnikaające w głąb serca ludzkiego studium psychologiczne najznakomitszego powieściopisarza, że to wzruszające perypetye dramatu, które biegły opowiadacz skreślił wprawdzie w ciąg pragmatyczny, nieodbierając im przecież całej bezpośredniości akcji, odegrywającej się jakoby w oczach samego czytelnika.

Powziąwszy zamiar obdarzenia piśmiennictwa naszego dziełem tak wysokiej wartości, przedewszystkiem iść musiało nam o to, żeby przekładu podjął się pracownik odpowiadający tak ważnemu zadaniu; — jakoż zapewnić możemy, że praca ta dokonana została z wszelką ścisłością i językiem ze wszech miar poprawnym.

## WARUNKI PRENUMERATY:

Historja XVIII i XIX wieku F. K. Schlossera wyjdzie w 24-ch miesięcznych zeszytach, od 10 do 12 arkuszy w formacie wielkiej 8-ki, które stanowić będą 8 tomów. Zeszyt 1-szy wyjdzie 1 Stycznia 1875 r.

**Cena całego dzieła rs. 16.** Prenumeratę składać można: przy odbiorze pierwszych 4-ch zeszytów po rs. 1, przy następnych po 60 kop.

Z przesyłką pocztową całe dzieło kosztować będzie rs. 18, które można nadsyłać w całości, w polowie lub w 6 kwartalnych ratach po rs. 3.

**Nadsyłający na całe dzieło rs. 16, kosztów przesyłki nie ponoszą.**

Prenumeratę przyjmują księgarnie podpisanych, oraz wszystkie inne w kraju i za granicą.

Warszawa, w Grudniu 1874 r.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KSIĘGARZY.

SEBETHNER I WOLFF. MAURYCY PERGELBRAND.  
MICHAŁ GLÜCKSBURG. G. SENNEWALD.  
EDWARD WENDE.



Nakładem Spółki Wydawniczej Księgarzy wyjdą:

DZIEŁA  
KLEMENTYNY Z TANSKICH HOFMANOWÉJ,

WYDANIE NOWE POD REDAKCYĄ

NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ.

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I OBJAŚNIENÍ.

---

WSZYSTKIE  
DZIEŁA DRAMATYCZNE  
**WILLIAMA SHAKESPEARE**  
(SZEKSPIRA)

PRZEKŁAD

St. KOŹMIANA, F. PASZKOWSKIEGO I J. ULRICHA

Z DODANIEM

ŻYCIORYSU POETY I OBJAŚNIENÍ POD REDAKCYĄ

J. I. KRASZEWSKIEGO,

OZDOBIONE 545 PIĘKNEMI DRZEWORYTAMI ANGIELSKIMI.

3 TOMY WIELKIEGO FORMATU.

---

TECHNOLOGIA CHEMICZNA

PRZEZ

RUDOLFA WAGNERA,

PRZEŁOŻYŁ Z NIEMIECKIEGO PROF. GRABOWSKI.

DWA TOMY Z WIELU DRZEWORYTAMI.

---

Oddzielne prospekty podadzą szczegóły powyższych wydawnictw.

---

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KSIĘGARZY WYSZŁY:

## Z BIBLIOTEKI MIĘDZYNARODOWEJ

wychodzącej w *Paryżu, Londynie i Lipsku.*

- a) TYNDALL JAN, Woda, jej kształty i przeobrażenia, jako: obłoki i rzeki, lód i lodniki.  
Tłóm. prof. K. Jurkiewicz. Cena kop. 90.  
b) BAIN ALEKSANDER, Duch i ciało. Rs. 1.

Warunki prenumeraty jak niżej.

### SETTEGAST, HODOWLA ZWIERZĄT,

PRZEŁOŻYŁ ALEKSANDER TRYLSKI,  
Z DRZEWORYTAMI. CENA RS. 3.

### SETTEGAST, NAUKA ŻYWIENIA ZWIERZĄT,

PRZEŁOŻYŁ L. BOGUCKI.  
Z DRZEWORYTAMI. CENA Rs. 1 kop. 50.

### HEYDEN, NAUKA O NAWOZACH,

PRZEŁOŻYŁ ROBERT BRÜHL.

CENA Rs. 1 kop. 35.

Z ODCZYTÓW ZA GRANICĄ DRUKIEM OGŁOSZONYCH:

- a) Oppenheimer, Wpływ klimatu na człowieka.  
b) Bluntschli, Założenie Unii amerykańskiej w r. 1787.  
c) Perty, O parazytyzmie w naturze organicznej.  
d) Cohn F., Światło i Życie.  
e) Schmoller G., O wynikach statystyki zaludnienia i obyczajów.  
f) Waldbrühl W., Wiara w czary wobec badań przyrodniczych.

Cena każdego zeszytu kopiejek 15.

Z Biblioteki międzynarodowej wychodzącej w Paryżu, Londynie i Lipsku

wyjdą wkrótce:

- Bagehot W.**, Przyroda i społeczeństwo, przekład z angielskiego. Rs. 1.  
**Balfour-Stewart**, Zasady zachowania energii tłóm. prof. Wł. Kwietniewski. Kop. 90.  
**Pettigrew J. Dr.**, Ruch zwierzęcy, tłóm. prof. Nawrocki. Rs. 1 kop. 50.  
**Schmidt O.**, Nauka o pochodzeniu gatunków i Darwinizm tłóm. prof. A. Wrzeźniowski. Rs. 1 kop. 35.  
Cena dla osób zamawiających 4 powyższe dzieła, oraz już wydane dwa tomy tejże Biblioteki, t. j. Tyndall, Woda i Bain, Umysł i ciało, wynosi **Rs. 5** z przesyłką **Rs. 6**.

Z odczytów za granicą drukiem ogłoszonych wyjdą w ciągu 1-go półroczia 1875 r.

- |  |  |
|--|--|
| a) <b>Müller A.</b> , Jak powstały pierwsze istoty organiczne i jak z nich następnie wytwarzały się gatunki. | d) <b>Helmholtz</b> , O stosunku nauk przyrodzonych do ogółu wiedzy. |
| b) <b>Bohn</b> , Szczepienie ospy.   | e) <b>Claus C.</b> , Pszczoły, tłóm. W. Stępowski.                   |
| c) <b>Virchow R.</b> , Pokarmy i artykuły spożywcze.   | f) <b>Virchow R.</b> , Pierwotne ludy Europy.                        |

Cena każdego odczytu osobno w Warszawie 15 kop. z przesyłką pocztą 20 kop.

Zamawiający zaś powyższe wszystkie sześć odczytów oraz wysłże już sześć, płacą w Warszawie 1 rs. 35 kop., z przesyłką pocztą 2 rs.